EWA NOWACKA

SZUBAD ŻĄDA OFIARY

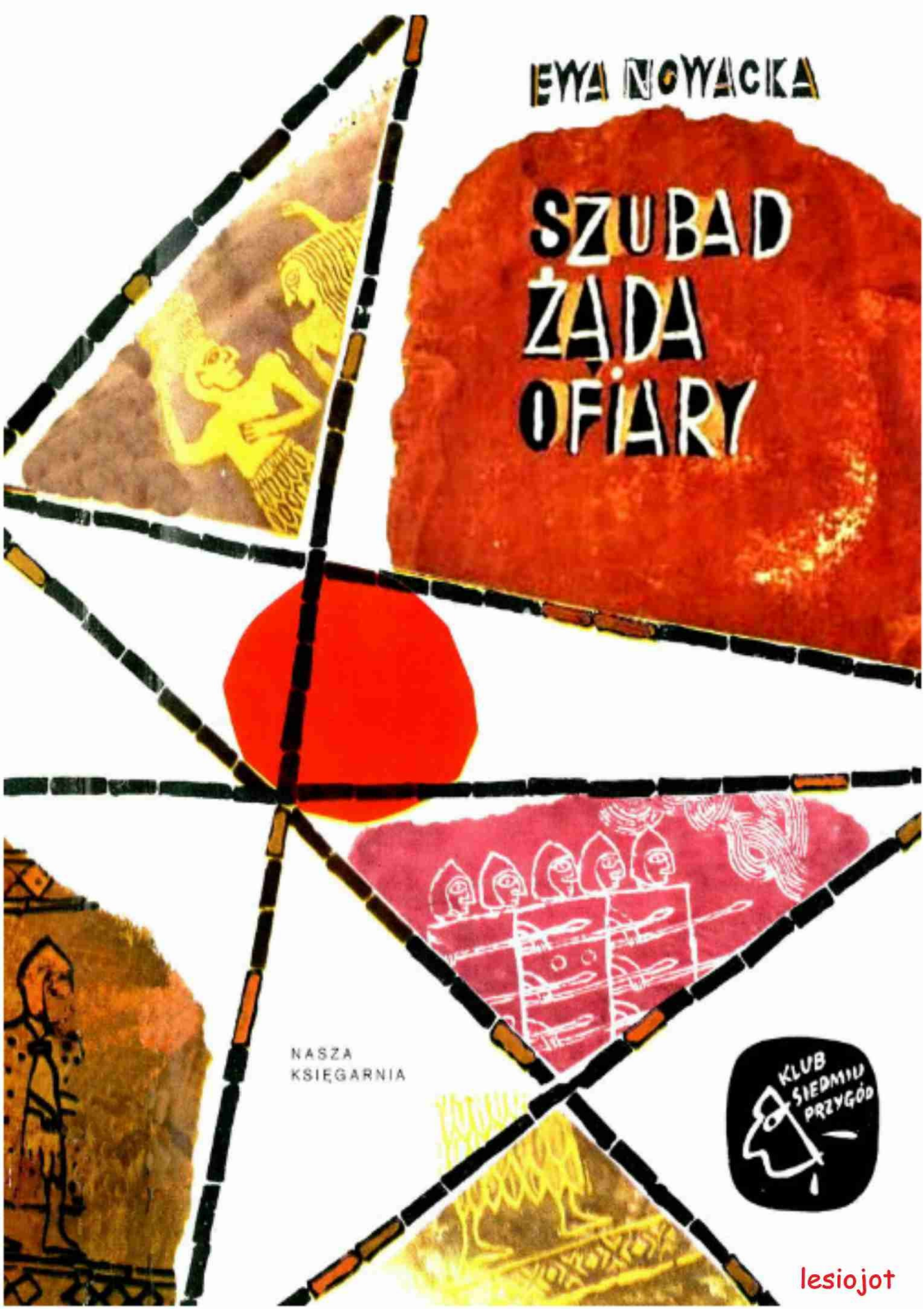

NASZA KSIĘGARNIA

KLUB SIEDMIU PRZYGÓD

lesiojot

EWA
NOWACKA

NASZA
KSIĘGARNIA
WARSZAWA
1972

Spójrzcie na mapę Azji tam, gdzie spotykają się dwie potężne rzeki: Tygrys i Eufrat. Zbliżają się do siebie, rozchodzą, by wreszcie połączyć się i wspólnie wpaść do Zatoki Perskiej.

Między Tygrysem a Eufratem, na nizinnej, urodzajnej ziemi Mezopotamii znajdowała się kolebka jednej z najstarszych cywilizacji świata — Sumerów. W porównaniu z historią Sumeru piramidy egipskie wydają się zupełnie młode, a świątynie starożytnej Grecji — prawie że nam, współczesne.

Kiedy w Sumerze od dawna już wznoszono wspaniałe sakralne budowle, zakładano miasta, uprawiano liczne rzemiosła, rozwijano rolnictwo, hodowlę i zapisywano pierwsze księgi świata, pozostałe prymitywne plemiona tonęły jeszcze w mrokach barbarzyństwa oddając się zbieractwu, myślistwu i pasterstwu.

Pomyślcie: najstarsze zabytki sumeryjskie pochodzą sprzed sześciu tysięcy lat!

Kim byli ludzie, którzy stworzyli tę wspaniałą cywilizację?

To ciągle jeszcze kwestią sporna. Może przywędrowali do Mezopotamii z wyżyn Azji Środkowej, a może z Indii?

Na tym obszarze geograficznym, gdzie rozkwitała niegdyś kultura Sumerów, powstały później, w pierwszym tysiącleciu p.n.e., potężne mocarstwa Babilonu i Asyrii. Uczeni badający te kultury zauważyli, że wiele zjawisk występuje od razu w postaci gotowej (pismo, system religijny, kodeksy praw itd.), że nie można prześledzić form rozwojowych tych zjawisk. 1 tak na przykład pismo przecież zawsze rozwijało się od rysunków do znaków określających poszczególne słowa, od tych znaków do oznaczeń sylab i tak dalej. Pisma Asyrii i Babilonii były już zupełnie ukształtowane. Podobnie było z innymi zjawiskami kulturowymi. Czyżby więc spadły z nieba w gotowej postaci?

Uczeni nie wiercą w cuda. Założyli więc sobie, że musiała istnieć jakaś zaginiona kultura, która poprzedziła kultury Ba-

bilonu i Asyrii. Jaka? To właśnie przez długi czas stanowiło tajemnicę.

Dopiero w latach 1927/28 archeolog angielski Leonard Wooley odkopał w Ur groby sumeryjskich królów. Zagadka została wreszcie rozwiązana. Po tysiącleciach odkryto na nowo prastarą cywilizację, którą pochłonęły już dawno piaski pustyń i zapomnienie. To ona stanowiła dziedzictwo dla przyszłych kultur.

Sumerologia jest nauką bardzo młodą, wiele jeszcze tajemnic czeka na rozwiązanie, wiele jeszcze jest spraw niejasnych i nieznanych.

A teraz, po tych krótkich wyjaśnieniach, zostawiamy was już z Entemeną, Nin-dadą i innymi bohaterami tej książki. Ich dzieje rozgrywają się właśnie to tych zamierzchłych czasach, w których istniał świat Sumerów.

E. N.

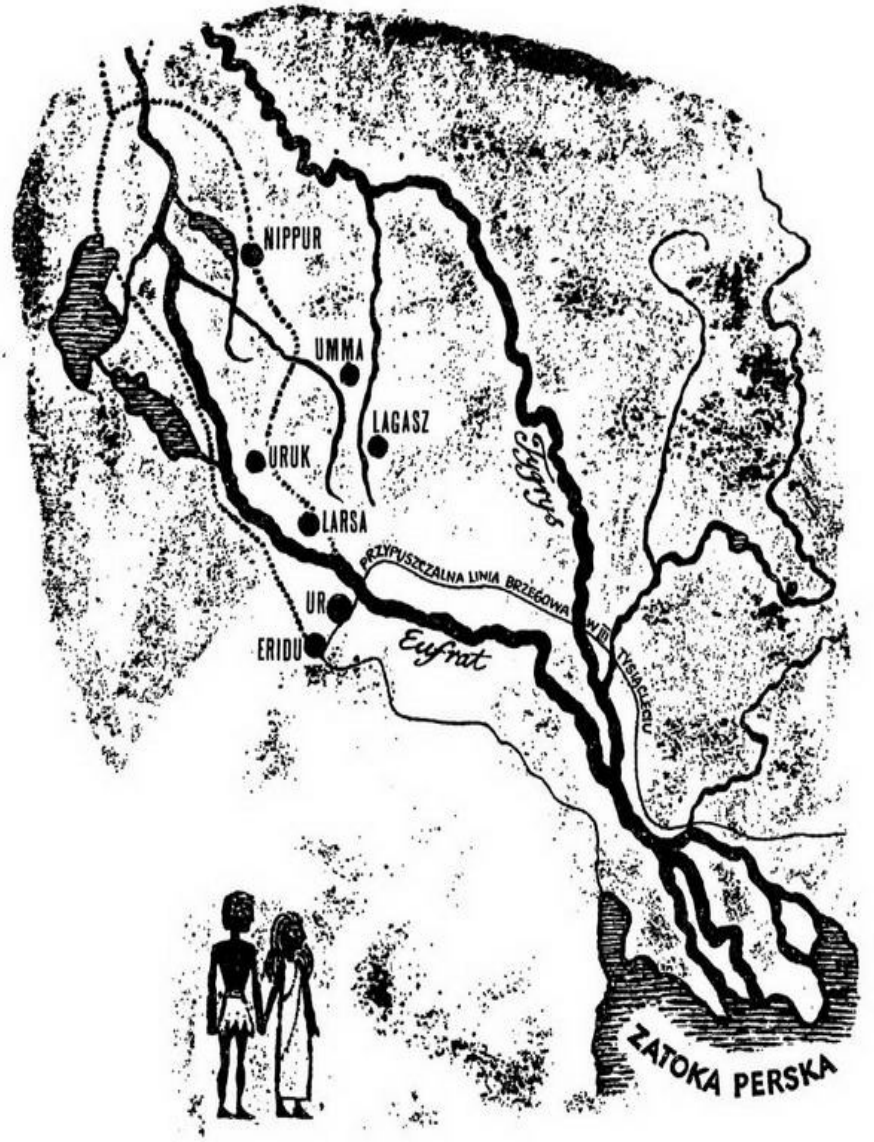
NIPPUR
UMMA
LAGASZ
URUK
LARSA
UR
ERIDU
Tygrys
Eufrat
PRZYPUSZCZALNA LINIA BRZEGOWA
VIII TYSIĄCLECIU
ZATOKA PERSKA

ROZDZIAŁ I

W którym dowiadujemy się, jakie niebezpieczeństwo grozi małej Nin-dadzie z królewskiego pałacu w mieście Ur

Płaczki już krzyczały, ich krzyk wypełniał dziedzińce pałacu i wstrząsał murami, gdy sługa świątyni dotknął świętą gałęzią ramienia Nin-dady. Widziałem to własnymi oczami, ja, Entemena. Nin-dada stała nie rozumiejąc, patrząc bez myśli i oddechu, jak kapłan znaczy jej czoło czerwoną farbą, znakiem tych, którzy odchodzą dobrowolnie do Kur, za Rzekę Pożerającą Człowieka, gdzie panuje wieczny mrok i unoszą się kwilące dusze podobne nietoperzom lub nocnym ptakom.

Gdy stało się oczywiste, że starania najbieglejszych lekarzy nie przezwyciężą choroby najdostojniejszej Szubad, małżonki królewskiej, powiedziałem do Nin, przechodzącej obok mnie z glinianym dzbanem na ramieniu:

— Nie byłoby wcale źle, Nin, gdybyś nie kręciła się w pobliżu komnat najdostojniejszej Szubad, gdy jej dusza odleci do Kur.

— Nie rozumiem. Przecież wiesz, że muszę iść tam, gdzie mnie wołają. Jeśli nie usłyszę wołania, zostanę oćwiczona. Najwięcej dzbanów wody noszę do komnat najdostojniejszej Szubad, bo tam jest wielki zbiornik mieszczący tyle dzbanów, ile dziesięć po dziesięć razy palców u rąk,

— To zrób tak, żeby napełnić zbiornik jeszcze dzisiaj.

— Nie mogę.

— Ja cię tylko ostrzegam — powiedziałem.

— Czy nie możesz mi po prostu powiedzieć, co masz na myśli?

— Czy nie możesz mi uwierzyć bez długich tłumaczeń? — odpowiedziałem pytaniem na pytanie. — Zbytnia ciekawość, moja Nin, zaprowadziła już niejedną gazelę prosto w paszczę lwa.

Bo ja naprawdę nic nie mogłem wyjaśnić. To, czego mnie uczą w szkole, jest tajemnicą, której nie wolno nikomu powierzyć. W dodatku Nin, to cudzoziemska niewolnica. A w ogóle żadna

dziewczyna, nawet Nin, nie jest godna poznania świętych tajemnic. Widzę, że powiedziałem „nawet Nin", co może dowodzić, że uważam ją za najmądrzejszą ze znanych mi dziewcząt I tak jest w istocie. Nin nie paple byle czego bez potrzeby i potrafi słuchać. A czy znacie wiele dziewcząt, które potrafią słuchać bez przerywania niemądrymi pytaniami?

— Nie lubię, jak mówisz zagadkami, Entenemo — Nin oparła mocniej dzban na ramieniu i poprawiła włosy. — Wcale nie lubię zagadek, których nie potrafię rozwiązać.

— Nikt nie lubi. Powiedz mi, Nin, jak zdrowie najdostojniejszej Szubad?

— Źle.

— Podobno odprawiono lekarzy?

— Podawali leki w winie palmowym, w oleju morskim i w pierwszy raz ściągniętym piwie z najlepszego jęczmienia — wyjaśniła — ale dostojna Szubad była coraz słabsza i słabsza. Nie pomogło także obwiązywanie skórą plamistego węża ani mirt utarty z miodem skalnych pszczół. Więc ich odprawiono.

— A zaklinacze?

— Ci są stale przy łożu najdostojniejszej Szubad.

Przykładają do jej piersi tabliczki i wzywają boginię Bau, żeby uśmierzyła cierpienia królowej.

— No cóż. Bogini Bau jest widocznie zajęta gdzie indziej i nie słyszy ich zaklęć. Ziemia jest bardzo duża, Nin, a bogini Bau stara i być może nie dosłyszy.

Nin umieściła z powrotem dzban na głowie.

— Do widzenia, Entemeno. Muszę już iść.

— Szkoda.

— Nie stój przy bramie. Ktoś może cię zobaczyć.

— I tak mnie wszyscy widzą. Wcale się nie ukrywam.

— Ale nie powinieneś ze mną rozmawiać. Twój ojciec będzie się gniewać, jak się dowie.

— Ja cię i tak wykupię, Nin, kiedy odziedziczę warsztat, dom i pole. Dam za ciebie tyle miar jęczmienia, ile zażądają. Nie będę się targował, możesz mi wierzyć.

— Aha powiedziała Nin bez zbytniej wiary w moje słowa.

Odeszła przez pusty, wymarły dziedziniec, mała figurka z

ogromnym dzbanem na głowie. Zrobiło mi się nieznośnie czczo na sercu, tak jakbym zjadł za dużo dojrzałych fig. Nin miała rację, mój czcigodny ojciec będzie się bardzo gniewał, jeśli się dowie, że rozmawiam z kuchenną niewolnicą, branką z kraju naszych wrogów. Wszystko mi jedno, nie mogę jej tak zostawić. Muszę ją ostrzec.

Pobiegłem pędem przez dziedziniec, jak strzała wypuszczona z cięciwy mocną ręką łucznika.

— Poczekaj, Nin! Chciałbym, żebyś pamiętała, o czym ci mówiłem.

— Pamiętam, Entemeno.

Gdzieś zaplaskały stopy o kamienne płyty. Ktoś nadchodził.

Zamiast odejść nie zauważony, oparłem się o ścianę i patrzyłem za oddalającą się Nin. Ciekawe, co powiem, gdy ktoś zapyta, po co stoję przy pałacowej bramie, gdy inni chłopcy w moim wieku pracują na polu lub w warsztatach, pchają ramię żurawi czerpiących wodę z kanałów, pasą owce lub siedzą na matach przed nauczycielem i kreślą rylcem miękką glinę tabliczek. Oczywiście mogę odpowiedzieć, że przysłał mnie tu ojciec, bym się dowiedział o zdrowie najdostojniejszej Szubad. Mój ojciec jest złotnikiem i wiele razy wzywano go do pałacu. Niedawno zrobił z miękkiego złota najpiękniejszą koronę, jaką ktokolwiek widział. Szerokie wstęgi przeplatały się z rozchylonymi kielichami kwiatów, ułożonymi z błękitnych turkusów. Najdostojniejsza Szubad włożyła koronę na ogromną perukę z czarnej wełny, kędzierzawą jak broda starego kozła. Wszyscy powtarzali, że królowa wygląda w tej koronie jak bogini Inanna, gdy jest przystrojona w swój czarodziejski pas. Ale to wcale nie była prawda, bo bogini Inanna jest bardzo piękna, czego nie można powiedzieć o najdostojniejszej Szubad. Jeśli ktoś jest podobny do Inanny, to chyba Nin, ale Nin nie ma szat z haftowanym pasem, pięknie barwionych chust i złotych koron.

Kroki zbliżyły się, były już całkiem blisko. Stary kapłan ze świątyni Enlila minął mnie nie patrząc. To dobrze. Często żałuję, że nie mam czarodziejskiej przepaski, która czyni człowieka niewidzialnym. Ale ucieszyłem się za wcześnie. Kapłan obejrzał się, pokiwał głową jak chora owca i skinął na mnie zakrzywio-

nym palcem.

— Ty jesteś synem złotnika?

— Tyś powiedział — pochyliłem nisko głowę.

— Powtórz swemu ojcu — wycelował paluch oskarżycielsko w moją pierś tak, jakby to było ostrze włóczni — powtórz swemu ojcu, że bogowie są gniewni. Dlaczego nie ma klejnotów dla posągu Enlila? Dlaczego nie ma złotej misy?

— Wszystko powtórzę — przyobiecałem.

— Bogowie nie lubią dwa razy powtarzać jednego słowa. To także powiedz swemu ojcu.

— Powtórzę podług twojej woli.

— Nie należysz przecież do sług pałacu? Czyżby ojciec oddał cię ostatnio za długi wielkiemu królowi?

— Jestem jedynakiem. Mój ojciec prędzej sprzedałby swoje pole, dom i warsztat, niż uczynił ze mnie niewolnika.

— Więc co tu robisz?

— Przysłano mnie, bym się dowiedział o zdrowie .najdostojniejszej Szubad.

Przyjął to wyjaśnienie i odszedł, szurając sandałami po kamiennych płytach. Ja też winienem był podążyć w jego ślady, gdybym miał szczyptę rozumu. Naj-przezorniej byłoby wziąć nogi za pas i znaleźć się jak najdalej od pałacowej bramy, im dalej, tym lepiej. Wcale nie chcę powiedzieć, że nie mam tej szczypty rozumu, nie to mam na myśli. Po prostu pomyślałem sobie, że nie ostrzegłem Nin tak, jak by należało ją ostrzec. I dlatego muszę jeszcze raz z nią porozmawiać, nawet gdyby mój ojciec kazał mnie potem wychłostać, jak wtedy, gdy wrzuciłem jaszczurkę do bukłaka wypełnionego śmietaną. Byłem jeszcze zupełnie mały, a ktoś mi powiedział, że jaszczurka ubija łapkami śmietanę na masło. Ojciec rozkazał wylać śmietanę, a ja zostałem wychłostany. Pierwszy i ostatni raz.

Nie wiem, jak długo stałem na dziedzińcu. Przechodziły obok mnie rozszeptane niewolnice, przepędzono czarnego byka w wieńcu kwiatów na szerokim karku („oho, będą składali ofiarę" — pomyślałem), mijali mnie jacyś ludzie. A ja wypatrywałem Nin, która wciąż nie przychodziła.

Skoro słońce przetoczyło się tak wysoko na niebie, to i tak nie

mogę pójść do szkoły i przykucnąć na macie między rówieśnikami. Nikt mi nie uwierzy, że zaspałem. Zresztą widzą mnie tu i ci wszyscy ludzie, wiele z nich zna mego ojca lub mego nauczyciela, któryś z nich na pewno opowie, gdzie widziano Entemenę w godzinach nauki. Ale nie myślcie, że postąpiłem jak nieposłuszne koźlę, które zwodzi pasterza, by biegać nad skrajem przepaści. Chociaż nie jestem pilnym uczniem, nie lubię nikogo oszukiwać. Przyszedłem do pałacu, bo bałem się o Nin. Taka jest prawda.

— Wielki król Eannatum zszedł do Kur — recytował nasz nauczyciel kiwając się na macie z przymkniętymi oczami — przybył nad Rzekę Pożerającą Człowieka i zaklaskał w dłonie. Zapłacił złotem przewoźnikowi i dotarł na drugi brzeg. Poszedł do pałacu bogini. Złożył wielkie ofiary. Bogini poczuła dym ofiarny i powiedziała: „Kim jesteś?" „Jestem wielkim królem." „Gdzie są twoi słudzy?" „Pozostali na ziemi" — odparł Eannatum. „Ponieważ ucieszyłeś moje serce, będziesz ich mógł wziąć ze sobą — przyobiecała bogini — albowiem bez sług król jest jak wyschnięte źródło".

Nim nauczyciel skończył, Lugal-azida podniósł już rękę do góry na znak, że chce o coś spytać.

— O ile dobrze pojąłem twe słowa, czcigodny nauczycielu, to król nie byłby królem, gdyby nie miał w Kur swoich niewolników?

— Cieszy mnie twoja dociekliwość, Lugalu. Ale uczyłem was kiedyś, że gdy coś raz zostało nazwane, to na zawsze pozostaje tym, czym jest. Tylko prawdziwy mędrzec, który zna tajemne nazwy wszystkiego, co istnieje, może rządzić żywiołami.

— Więc słońce naprawdę nie nazywa się wcale słońcem, a gwiazda — gwiazdą? I woda wcale nie jest wodą?

— Niedbale słuchacie moich nauk. Nikt nie zna prawdziwych nazw wszystkiego. Gdybyśmy je znali, moglibyśmy rozkazać słońcu, by zgasło na zawsze, a rzece, by popłynęła wstecz od źródeł do ujścia. I dlatego prawdziwe imiona rzeczy są ukryte przed ludźmi.

Chociaż wywód nauczyciela wcale nie był śmieszny, rozbawił mnie (przyznaję, że nigdy nie należałem do chłopców, którymi

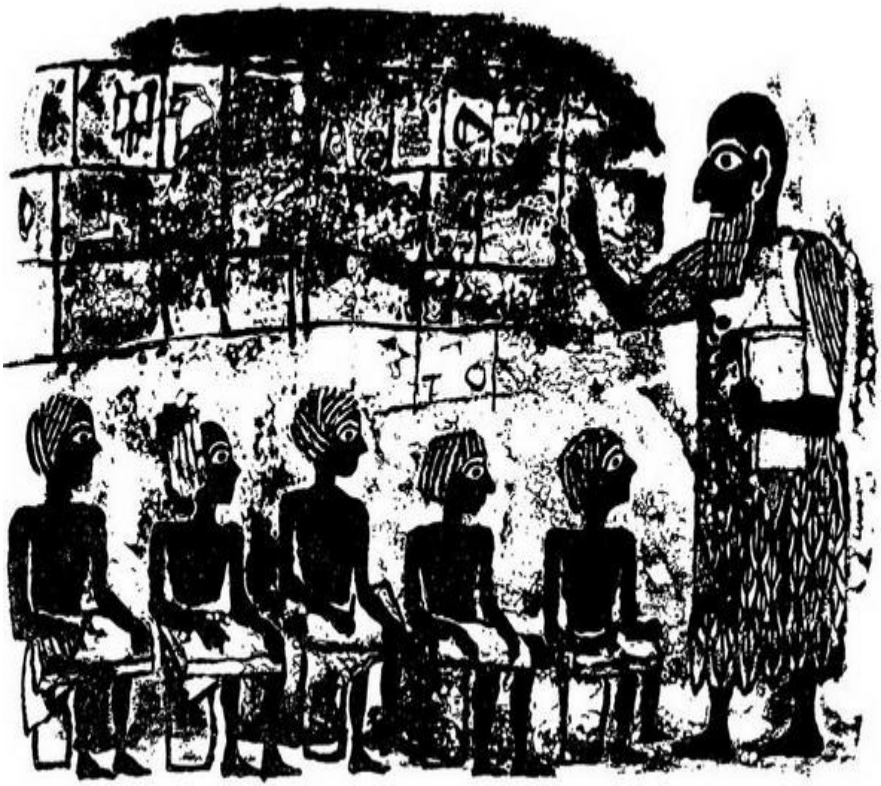

chlubią się nauczyciele), zresztą, być może, roześmiałem się z czegoś innego. Nauczyciel powiedział surowo:

— Entemeno, jesteś osłem, który został stworzony po to, by ryczeć głośno i zuchwale. Będziesz ukarany.

Potem nauczyciel mówił dalej, zwracając się szczególnie do Lugala, bo Lugal-azida był jego ulubieńcem. Między nami mówiąc, to paskudny lizus. Nie lubię go.

— Zapamiętajcie, uczniowie moi, że podążający za swoim władcą do Kur odchodzą dobrowolnie.

— Słyszałem, że wcale tego nie pragną! — zawołałem głośno.

W rezultacie nauczyciel zadał mi za karę olbrzymi ustęp z poematu o potopie. To zresztą nieistotne. Tak jak wszyscy w naszym mieście wiedziałem, że żołnierze nie idą dobrowolnie do

Kur, by osłaniać króla tarczą, tkaczki, by w mrokach pochylać się nad krosnami, łaziebni, by przygotowywać dla swego pana kąpiel, niewolnice, by nosić wodę i gotować posiłki. W ogóle nikt nie idzie dobrowolnie do Kur. Tak powiadają kapłani, a naprawdę ludzie zamykają się w domach, gdy orszak odprowadza mary do królewskich grobów w dolinie. Nin przecież nie ma domu, nie ma się gdzie ukryć. Zresztą jej nawet nie przyjdzie do głowy, że trzeba się ukrywać.

Kiedy nauczyciel mówił nam o tajemnicy dobrowolnego odejścia do Kur, wcale się nie bałem o Nin. Najdostojniejsi król i królowa byli zdrowi i wyglądało na to, że będą żyli aż do skończenia świata. A póki oni byli zdrowi, mała Nin mogła nosić wodę od źródła przy bramie do komnat najdostojniejszej Szubad i czekać spokojnie, aż będę tak dorosły, że ją wykupię. Mogła być najwyżej ukarana za rozbicie dzbana. Dzban był bardzo ciężki i łatwo wyślizgiwał się z rąk.

Przypomniało mi się to wszystko, gdy tak stałem przy bramie i czekałem na Nin. Prawdę mówi ojciec, że nieszczęście czyha zawsze tak blisko, że nie potrzeba nawet wyciągać ręki, by go dotknąć. Inna rzecz, że bezczynne stanie nie przyniosło jeszcze nikomu żadnego zysku. Nin już chyba nie przyjdzie do źródła. W każdym razie nie teraz. Trzeba się dowiedzieć od kogoś wiarygodnego, jak jest naprawdę ze zdrowiem najdostojniejszej Szubad, odejść i wrócić jutro. Tylko kogo spytać? Nie macie pojęcia, ile ciekawych rzeczy opowie wam człowiek kręcący żarna, tylko że z tej gadaniny nie wyłuskasz ani słowa prawdy. A ja nie chcę bajek, nawet najciekawszych, chcę znać prawdę i nic ponadto.

Na szczęście dziedzińcem kroczył jeden z członków dostojnej Rady Królewskiej. Znałem go, bo przychodził do warsztatu mego ojca. W odpowiedzi na mój ukłon raczył się zatrzymać.

— W smutnym dniu spotykam cię, chłopcze — westchnął. — W bardzo smutnym dniu. Kiedy twój ojciec odeśle mi zamówioną pieczęć? To pilne zamówienie. Muszę pieczętować wszystko znakiem mego brata, lwicą na polu lilii, choć każdy wie, że moim znakiem jest kozioł i winorośl.

— Ojciec prosi cię, panie, o jeszcze trochę cierpliwości. To on

przysłał mnie tutaj, bym się dowiedział o zdrowie najdostojniejszej królowej.

— Niestety, demony choroby są nieubłagane.

— Mój ojciec, obawiając się tej wieści, całkowicie pogrążył się w rozpaczy.

— A co? — zainteresował się dostojnik. — Jeszcze nie otrzymał zapłaty za koronę?

— Tyś powiedział.

To zresztą było prawdą. Mój ojciec mawiał, że prędzej zobaczy barana grającego na harfie niż swoją należność.

— Obawiam się, że nie zobaczy zbyt prędko zapłaty — dostojnik potarł dłonią czoło, zastanowił się. — Stan królowej jest groźny. Wszystkie złe moce zebrały się u drzwi jej komnaty. Odradzam twemu ojcu upominanie się w tej chwili o należność. Możesz mu to powtórzyć.

— Więc naprawdę jest tak źle?

— Niedbale słuchasz słów nauczyciela. Czy nikt ci nie mówił, że wypowiadanie głośno złych słów przyciąga demony?

— Wybacz mi, panie, zapomniałem o tym.

Teraz już wiedziałem. Ale chociaż wiedziałem, ostrzeżenie Nin wcale nie było łatwiejsze niż przed chwilą. Po pierwsze, nie mogłem jej zdradzić świętej tajemnicy. Po drugie, mogłem stać tutaj wiele jeszcze godzin i wcale nie zobaczyć się z Nin. Po trzecie, gdybym złamał pieczęć milczenia, to dokąd miałem zabrać Nin?

Nie pozostawało mi nic innego, jak odejść. Przez te wszystkie zmartwienia i rozmyślania całkiem zapomniałem, gdzie ukryłem swoje tabliczki i rylec. Pokłułem się cierniami, nim w kępie krzaków odnalazłem swoją zgubę. Powlokłem się do domu. W głowie szumiało mi tysiąc pustynnych wiatrów.

— Nigdy nie wracasz tak wcześnie — powiedziała moja matka, oblepiając ciastem ściany glinianego piecyka. Każdego innego dnia stanąłbym przy niej i poczekał, aż cienki placek zbrązowieje i odpadnie, by jeść gorące jeszcze ciasto. Dzisiaj nawet nie pomyślałem o tym. To ją zaniepokoiło.

— Wyglądasz tak, jakby demon febry ukąsił cię prosto w serce. Pokaż czoło. Dziwne, zdawało mi się, że masz gorączkę, ale

twoje czoło jest chłodne. Czy nie było dziś lekcji?

— Wezwano nauczyciela do pałacu. On zna wszystkie zaklęcia. Przeciw febrze, bólowi głowy, łamaniu w kościach, mętnieniu wzroku i w ogóle — wyliczałem. 1

— Szkoda, że nie zna zaklęcia przeciw lenistwu — westchnęła moja matka.

— Nie mów tak. Nauczyłem się wszystkich pieśni. No, może nie wszystkich — dodałem uczciwie — ale najważniejszych na pewno tak.

— Inni chłopcy mówią, że nauczyciel nie jest z ciebie zadowolony.

— Chłopcy? Jacy?

— Lugal-azida. Wiem, że wywołałeś gniew nauczyciela przekręciwszy pieśń o zstąpieniu bogini Inanny do Kur.

Gdy Inanna stanęła przed błękitnym pałacem
Groźnym jak zbocze sikały,
Za wrót piekielnych chwyciła kołatkę,
Przed zejściem w otchłań hardo wzniosła głowę.
„Hejże, odźwierny — zawołała dumnie —
Otwieraj wrota, przybywam bez trwogi".
Neti, odźwierny podziemnego świata,
Spytał boską Inannę: „Kim jesteś, o pani?"
„Jam jest władczynią niebios, i słońca na niebie".
„Jeśliś jest nieba panią i słońca jasnego,
Czego szukasz w podziemiach, zapytuję ciebie?
Stąd już nie ma powrotu, ,tu królestwo cieni..."

— I tak dalej — powiedziałem przerywając recytację. — Sama widzisz, że mógłbym deklamować aż do wieczora. Lugal mi zazdrości pamięci. On ma pamięć jak dziurawe sito. Żuje chleb i zadane pieśni. Każdą zwrotkę trzeba mu powtarzać z dziesięć razy. A ja raz usłyszę i już mogę powtórzyć. Najwyżej coś przekręcę.

Nie wstydziłem się wcale, że nie lubię Lugala. Był blady jak wymoczona szmata, tchórzliwy jak szakal i pokorny jak roboczy wół. Wszyscy w szkole drwili z jego bojaźliwości. Kiedyś ze-

pchnąłem go z wysokiego nasypu do kanału. Szkoda, że nie słyszeliście, jak krzyczał.

— Lugal-azida jest chlubą waszego nauczyciela — stwierdziła krótko matka i ruchami wachlarza z palmowych liści podsyciła dogasający żar w piecyku.

— Uhm. Chyba tak — potwierdziłem.

— Chcesz świeży podpłomyk?

— Nie. Nie jestem głodny.

— Ty naprawdę nie jesteś zdrowy — zaniepokoiła się znowu matka. — Naprawdę nie chcesz podpłomyka? Sera też nie chcesz?

— Nie, mamo. Czy słyszałaś historię o człowieku, który wykradł królewską niewolnicę z pałacu?

— Słyszałam. To było bardzo dawno. Co ci chodzi po głowie?

— Pytam tak sobie. Nie pamiętasz, co się z nimi potem stało?

— Jego sprzedano w niewolę, a jej przebito nozdrza i oddano na zawsze do świątyni.

Z piecyka uniósł się gęsty kłąb czarnego dymu. Zakaszlałem.

— Przez ciebie spaliłam placki. Stoisz i zawracasz mi głowę.

Mimo że matka rozgniewała się nie na żarty, pytałem dalej:

— Czy spotkali się kiedyś?

— Kto?

— No, oni.

— Daj mi spokój. Dlaczego nie spytasz ojca? — gniew matki był jak najbardziej uzasadniony. Sama rozcierała ziarno na żarnach, by mąka była sypka jak piasek nadrzeczny i biała jak pióra czapli, chociaż mogła zlecić kręcenie ciężkich kamieni którejś z niewolnic. Sama przesiewała pod wiatr mąkę na sicie i sama pilnowała, by piecyk rozgrzał się tak, jak trzeba, nie za dużo i nie za mało, podkładała oszczędnie suszony nawóz i trzcinę. Moja matka była świetną gospodynią. Nikt w całym mieście nie umiał piec tak chrupkich placków jak ona, niczyje sery nie były takie tłuste, niczyje palmowe wino tak słodkie, jak wino mojej matki.

— Przepraszam — bąknąłem w formie usprawiedliwienia. — Jak chcesz, pokręcę żarna. Będzie nowa mąka na nowe ciasto.

— Nie mam czasu na powtórne zaczynianie. Ojciec się będzie

gniewał, kiedy podam za mało placków.

— Może zjeść moje, jeśli będzie miał ochotę. Nie gniewaj się już.

Matka uderzyła mnie lekko po ręku wachlarzem z palmowych liści i uśmiechnęła się. Wszystko było dobrze. Moja matka nie potrafiła się długo gniewać.

— Poczekaj! — zawołała za mną, gdy wchodziłem w drzwi domu. — Nie powiedziałam ci jeszcze, że był twój nauczyciel.

Aż przystanąłem.

— I co?

— Nie wiem. Rozmawiał z ojcem.

Stała się najgorsza ze wszystkich rzeczy, jakie mogły się zdarzyć. Spodziewałem się, że wreszcie wydadzą się moje wyprawy na pałacowy dziedziniec, ale nie przypuszczałem, że to się stanie tak prędko. Gdybym miał trochę czasu, na pewno zdołałbym wymyślić jakieś rozsądne tłumaczenie. Ale teraz? A co będzie, jeśli ojciec rozkaże, by Lugal-azida towarzyszył mi co dzień do szkoły i z powrotem? Co się stanie z Nin? Kto ją ostrzeże i obroni?

— Wróciłeś? — ojciec przerwał stukanie małym młoteczkiem w cienki blat srebrnej blachy, wyprostował się i popatrzył na mnie w sposób nie wróżący nic dobrego. — Gdzieś się włóczył do tej pory?

— Byłem w pałacu — ze strachu zapomniałem o wszystkich wykrętach. Lepiej było powiedzieć prawdę.

— Po co tam chodziłeś?

— Dowiedzieć się o zdrowie najdostojniejszej Szubad.

— Ciebie tam tylko brakowało! Nikt bez wezwania nie powinien chodzić do pałacu. Po co tam chodziłeś?

— Myślałem, że będziesz zadowolony, jak się dowiem, czy ci zapłacą za robotę korony — zełgałem wcale gładko.

Ojciec leciutko postukał młoteczkiem w płat srebra.

— Hm. I czego się dowiedziałeś?

— Spotkałem wielce czcigodnego Adda-kalli i on powiedział, że najdostojniejsza królowa opuści nas, by przenieść się do Kur. I dlatego nieprędko otrzymasz zapłatę. I nie radzi upominać się teraz o nią.

— Adda-kalli jest jak wilk, który pożarł całego barana i zachęca inne wilki do postu — sarknął ojciec. — Tak. Przyjmijmy, że mówisz prawdę. Jednak to nie tłumaczy faktu, że zamiast chodzić na naukę, biegasz i samopas po mieście i wtrącasz się do nie swoich spraw. Czy masz mi coś do powiedzenia? Milczałem nisko zwiesiwszy głowę.

— Milczeniem pieczętujesz mój wyrok. Dowiedz się tedy, Entemeno, że ja i twój nauczyciel wyznaczyliśmy ci Starszego Brata. To hańba i dowód, że jesteś krnąbrnym i niesfornym uczniem. Twoim Starszym Bratem będzie Lugal-azida. Rozumiesz?

Rozumiałem aż nadto, Lugal ma tysiąc oczu, jak wielki wąż mieszkający w ciemnym oceanie, Lugal-azida widzi i słyszy wszystko, a najlepiej to, czego wcale nie powinien widzieć i słyszeć. I teraz ja, ja będę musiał go słuchać i pokornie przyjmować kary, jakie zechce dla mnie wymyślić. To nauczyciel naznaczył mi Lugala, bo wie, że z każdym innym chłopakiem doszedłbym tak czy inaczej do porozumienia.

— Czy straciłeś słuch, Entemeno?

— Nie, ojcze.

— To doskonale. Jutro przed progiem domu zaczekasz na Lugala. Po powrocie zda mi sprawę z twoich postępków. Potem będziesz mi pomagał w pracy. Masz pstro w głowie i ręce ciężkie jak kamienna stępa, ale postaram się znaleźć ci takie zajęcie, które potrafisz wykonać.

Żegnajcie, tajemne spotkania z Nin! Żegnaj, jej ciężki dzbanie, który nosiłem na ramieniu do samej bramy! Mogłem się też pożegnać z mocną siecią, którą wyławiałem z kanału senne, wielkie ryby, i z sidłami rozstawionymi w szuwarach na kaczki. A także z wyprawami przez kolczaste żywopłoty do cudzych ogrodów na dojrzałe owoce i z nadmuchiwaną owczą skórą, na której tyle razy wypływałem na rzeczne rozlewiska! Mogłem się pożegnać w ogóle ze wszystkim.

Dlaczego koniecznie ojciec chce mnie uczynić pisarzem? Wcale nie mam ochoty spisywać królewskich zwycięstw ani obliczać, ile gur jęczmienia zsypano po żniwach do spichrzów. Wolę być ogrodnikiem albo pasterzem, chętnie zostanę łowcą

ptaków albo myśliwym.

Pogrążony w takich niewesołych myślach siadłem przed domem. Zastanawiałem się, co robić.

Nasz dom stał na niewysokim wzniesieniu, gdy wody przybierały, rozmywając niżej położone siedziby, nigdy żadna fala nawet nie liznęła glinianych ścian. Ojciec często żartował, że nasz dom jest jak łódź Ziusidry.

— Nie będę się martwił o parę dla naszej ośliczki — mówił gładząc mnie po głowie.

— Dlaczego? — pytałem, chociaż doskonale znałem tę historię i wiedziałem, że w czasie Wielkiego Potopu zwierzęta wsiadały parami do arki dobrego Ziusidry.

— Bo mamy w domu małego osiołka.

To nie było zbyt pochlebne, rozumiałem, że ojciec miał mnie na myśli. Ale oczywiście żartował, więc wcale się nie czułem obrażony. Mógł zresztą porównywać nasz dom do arki, bo gdy przybierająca woda szumiała w ciemnościach, przerażeni sąsiedzi chronili się pod nasz dach wraz ze swoim dobytkiem. Beczały owce i kozy, szczekały psy, ryczały osły i wszyscy czuliśmy się tak, jak w prawdziwej arce.

Ze wzgórza, na którym stał nasz dom, widziałem prawie całe miasto i rzekę toczącą powoli swe muliste wody w obrzeżu gęstych zarośli, skąd podrywały się chmury krzyczących ptaków. Domy, podobne do naszego, ciągnęły się jak sznur wzdłuż jej brzegów, skupiały się lub rozbiegały tonąc wśród ogrodowych żywopłotów. W bezchmurnym powietrzu kołysały się liście palm daktylowych i palm dum, od rzeki płynął dym ognisk, smażono ryby ciasno owinięte w szerokie liście. Między domami biegały małe dzieci, wałęsały się rude psy i stadka kóz, czasem z góry spadał sęp — pożeracz nieczystości, czasem psy zanosiły się ujadaniem, płosząc szakale podkradające się do wysypisk śmieci. Wśród tych zwyczajnych, glinianych domów rozpierał się ceglany pałac, podobny do ogromnej skały leżącej obok garści drobnych kamyków. Jego ciemna brama pożerała maleńkich ludzi, nie większych od glinianych lalek, jakie się daje do zabawy dzieciom.

Gdy odwracałem wzrok od rzeki, widziałem potężną jak góra

świątynię Enlila. Jej tarasy zbudowane z barwionej cegły piętrzyły się jedne nad drugimi: czarny, biały, czerwony, złoty, zielony, brunatny, aż do ostatniego — błękitnego jak pogodne niebo, gdzie w małej świątynce mieszkał Enlil i gdzie nie wolno było nikomu wchodzić prócz najwyższego kapłana. W niebieskiej świątynce znajdowało się złocone łoże i stół zastawiony ofiarnymi darami. Teraz, w dzień, gdy świeciło słońce, przybytek był pusty. Enlil pojawiał się tam dopiero wtedy, gdy słońce zanurzało się w Wiecznym Morzu, a cienie przypełzały z pustyni.

Enlil układał się na spoczynek, na ziemi zapadała ciemność, a z jam, rumowisk, bagien wychodziły demony przynoszące nieszczęścia, choroby i straszne sny. Podczas snu Enlila światem władał bladolicy Nanna, ale jego zimne światło nie przepędzało demonów. W księżycowe noce były one wprawdzie nieco bojaźliwsze i ostrożniejsze niż w zupełnym mroku, w takie noce dawały się odstraszyć odpowiednim zaklęciem.

Odwróciłem wzrok od świątyni i jej trójbieżnych schodów prowadzących prawie do obłoków na niebie.

Znowu patrzyłem na pałac. Na pałac, za którego murami jest Nin! Jeśli rano poczłapie za mną Lugal dźwigając podwójnie wypchaną torbę (nosi trzy razy więcej tabliczek i rylców niż każdy, woreczek z ziarnami soczewicy do rozwiązywania trudniejszych zadań arytmetycznych i starannie obłupane z kory patyczki, z których układa się trójkąty i prostokąty), to wykluczone, żebym zdołał zmylić jego czujność i zboczyć choć na chwilę pod pałacową bramę! W najlepszym razie Lugal-azida poczłapie za mną i będzie nastawiał uszy jak głodny szakal. Nawet gdybym się skrył na dnie najgłębszych wód, gdzie rośnie Ziele Dające Nieśmiertelność, mógłbym zamiast smoka strzegącego ziela zobaczyć krzywo uśmiechniętego Lugala!

Nad czym się zastanawiam! Mogę przecież iść do pałacu jeszcze dzisiaj wieczorem, gdy Nin będzie nosiła wodę na wieczorną kąpiel. Takie to proste i dotąd nie wpadło mi do głowy! Zrobię to przed zapadnięciem mroku, bo któryś z pałacowych wartowników mógłby celnym rzutem włóczni odebrać mi raz na zawsze ochotę do spacerów pod ochroną zmierzchu. Wiadomo,

że nocami chadzają tylko czarownicy i złoczyńcy, spokojni ludzie układają się na swoich posłaniach do snu zaraz po zachodzie słońca.

Rozwiązawszy w ten prosty sposób sprawę rozmowy z Nin, odzyskałem dobry humor. Ponieważ do wieczora pozostało jeszcze wiele czasu, poszedłem z krzywym nożem na moczary i wyciąłem tyle trzciny, że po wysuszeniu powinna była starczyć na podpałkę aż do przyszłych żniw. Nosiłem tę trzcinę w wielkich snopach, zginając się wpół pod jej ciężarem.

Żeby nie tracić czasu, powtarzałem sobie półgłosem „Nauki czcigodnego ojca dla leniwego syna", które mieliśmy przygotować wiele dni temu:

O, mój synu, poznawaj wiedzę naszych przodków, szukaj jej! Uczęszczaj pilnie na naukę — tam znajdziesz dla siebie największe korzyści. Nie włócz się po ulicach i placach, nie wałęsaj się nad brzegami rzeki. Bądź pokorny i uległy wobec swego nauczyciela. Jeśli będziesz się do niego odnosił z czcią i trwogą, twój mistrz cię polubi.

Wyobrażałem sobie, jak bardzo zdziwi się nauczyciel, gdy zamiast ukrywać się za plecami kolegów, wyjdę na środek i bez jednego zająknięcia powtórzę całą „Naukę". Być może ze zdziwienia wcale mnie nawet nie pochwali, bo będzie zaskoczony, jak człowiek, który w sandale pozostawionym obok łoża znajdzie nieoczekiwanie piaskowego węża.

Dlaczego nie starasz się dorównać twoim towarzyszom? Bierz przykład ze swego Starszego Brata. Pośród ludzi zamieszkujących ziemię i uprawiających różne zawody, które ustanowił bóg Enki — żaden zawód nie jest talk trudny, jak sztuka pisarska. Gdyby nie ta sztuka, nie słuchałbyś teraz moich rad, a ja nie mógłbym ci powtórzyć mądrości mego ojca.

Układałem trzcinę do suszenia przed domem i wracałem nad kanał, by przynieść nowe snopy. Nim słońce zakreśliło koło na widnokręgu i zaczęło się zniżać, byłem gotowy ze swoją pracą.

Wysłuchałem podziękowań matki, zatrutych jednak jadem niedowierzania.

— Dziękuję ci, synu. Widzę, że strach przed nauczycielem i ojcem zmienia cię w posłuszne i pracowite dziecko. Wolałabym, żebyś był taki na co dzień.

— Od dzisiaj będę taki na co dzień.

— Chcę wierzyć. Weź sobie placek i mleko, spracowałeś się i pewno jesteś głodny. Znowu gdzieś idziesz?

— Opuściłem dziś naukę. Muszę pójść do kolegi i dowiedzieć się, jaki tekst przepisywali.

— Ale pospiesz się. Ojciec będzie się gniewał, jeśli się spóźnisz.

Po zejściu z naszego wzgórka rozejrzałem się dokoła i pędem pobiegłem do pałacu.

Dziedzińce były jak wymarłe, bramy puste.

Ź daleka dobiegały trwożne, zmieszane głosy. Śpiewano jakąś nie znaną mi pieśń.

Już wiedziałem, że stało się coś złego.

Pieśń nagle urwała się w połowie, jak zerwana nić, i zamiast niej — buchnął rozdzierający krzyk.

Zatrzymałem się niepewny, co robić. Ale wahałem się tylko krótką chwilę. Przebiegłem przez zewnętrzną bramę i znalazłem się na dziedzińcu przed komnatami najdostojniejszej Szubad.

Kłębił się tam zbity tłum, głosy płaczek brzmiały wysoko i ostro jak jęk nie strojonych fletów. Pałacowe niewolnice rozdarły na znak żałoby swe szaty i pomazały twarze kurzem i popiołem. Niewolnicy kaleczyli policzki ostrymi odłamkami skorup, spływała krew.

Stałem bez ruchu pośród biegających niespokojnie tu i tam ludzi. Wypatrywałem Nin. Miałem zamiar podejść do niej i po prostu powiedzieć:

— Chodź ze mną, Nin! Ukryj się! Kiedyś ci wytłumaczę dlaczego.

Ale nigdzie nie było Nin. Uczernione twarze błyskały obco białkami oczu i bielą zębów, żadna z nich nie była podobna do twarzy Nin.

Zacząłem się przepychać przez tłum zaglądając ludziom w oczy, ale to było tak, jakbym chciał znaleźć w piasku pustynnym mały zagubiony paciorek.

„O ty, która odeszłaś do Kur — krzyczały płaczki — nam pozostawiłaś łzy i rozpacz! Zrobiliśmy dla ciebie wszystko, co było w naszej mocy, wygłaszaliśmy największe zaklęcia i daliśmy za ciebie liczne ofiary, nie żałowaliśmy złota ani bydła, nie kryliśmy w swych sercach podstępu. Odejdź w spokoju do Kur, odejdź za Rzekę Pożerającą Człowieka..."

Ktoś powiedział przyciszonym głosem do swego sąsiada, zakrywającego twarz skrajem płaszcza, by nikt nie mógł rozpoznać jego oblicza:

— Kapłani się spóźniają. Jeśli nie przyjdą zaraz, trzeba zamknąć bramy. Ludzie się rozejdą!

Ten, do którego mówiono, potrząsnął głową.

— Nie obawiaj się. Przyjdą na czas.

Gdzie jest Nin? Wiele kobiet zakryło głowy chustami, nie mogłem przecież zdzierać zasłon z ich twarzy lub pytać każdej, czy nie jest tą, której szukałem. Kręciłem się bezradnie, jak liść niesiony nurtem rzeki.

Nagle rozległ się chrapliwy dźwięk rogu, zadudniły bębny. Z otwartej bramy prowadzącej do tej części pałacu, gdzie przebywał najdostojniejszy król, wyszli białym szeregiem kapłani. Idący na przedzie niósł świętą gałąź, którą podnosił wysoko w górę, wąskie liście błyszczały, jakby wykute ze srebra.

Na dziedzińcu zapadała cisza. Tylko płaczki jęczały dalej zaklinając ducha najdostojniejszej Szubad, a tamci szli powoli, rozglądając się wokół wpół przymkniętymi oczami, jak czyhający lew, który nie patrząc — widzi.

Święta gałąź zachwiała się ledwie dostrzegalnie i opadła dotykając ramienia młodego woźnicy. Woźnica pochylił głowę, przytłoczony nagle jakimś niezmiernym ciężarem, jego plecy zadrżały od tłumionego łkania. Nie jestem pewien, czy płakał, tak mi się zdawało.

Stara tkaczka krzyknęła przenikliwie i zakryła oczy rękami, gdy musnęły ją srebrne wąskie liście.

Na czołach dotkniętych świętą gałęzią inny kapłan malował czerwoną farbą znak tych, którzy dobrowolnie odchodzą do Kur. Strażnicy z włóczniami o żebrowanym ostrzu odsuwali wybranych na bok i otaczali ciasnym pierścieniem. Bali się, że ktoś zetrze krwawe piętno i z powrotem wmiesza się w tłum.

Przypatrywałem się uważnie dotkniętym, gdy w osłupieniu przyjmowali wyrok. Nie było między nimi Nin. Raz tylko szarpnąłem się do przodu, pochylenie głowy i ruch dłoni wydały mi się znajome, ale to nie była Nin, tylko kędzierzawa dziewczyna z pustynnych piasków.

Tłum w pilnowanym przez strażników kolisku rósł coraz hardziej i bardziej i duch najdostojniejszej Szubad mógł być spokojny, że w Kur nie zabraknie mu niewolników.

— Dosyć — szepnął wąskimi wargami kapłan z świętą gałęzią.

Co do mnie, towarzyszyłem orszakowi przezornie trzymając się z boku. Ktoś mógł pomyśleć, że jestem świątynnym sługą. Poruszałem ustami, jakbym śpiewał hymn, i trzymałem ręce złożone na piersiach.

Orszak już zawracał. Odetchnąłem z ulgą. Nin była ocalona!

I wtedy ją zobaczyłem.

Stała z boku, z odkrytą twarzą, śmiało patrząc na świętą gałąź. Nie cofnęła się za kolumnę, gdy padło na nią niewidzące spojrzenie starego kapłana.

— Nin! — krzyknąłem, aż wszystkie oczy skierowały się na mnie.

Wszyscy usłyszeli moje ostrzeżenie, lecz ona nie. Postąpiła jeszcze krok naprzód.

I wtedy ja, Entemena, zobaczyłem, jak kapłan dotyka świętą gałęzią ramienia Nin-dady.

Stała z szeroko otwartymi oczami, patrząc bez myśli i bez oddechu, jak znaczy czerwoną farbą jej czoło znakiem tych, którzy dobrowolnie odchodzą do Kur, za Rzekę Pożerającą Człowieka, gdzie panuje wieczny mrok i unoszą się kwilące dusze podobne nietoperzom lub nocnym ptakom. Nie pojmowała, co się stało, ale ja rozumiałem i płakałem, nie wstydząc się tej niemęskiej słabości.

Już ją odprowadzono do kręgu zamkniętego strażnikami. I wtedy dopiero oczy Nin otworzyły się szeroko, usta wygięły żałośnie. Zaszamotała się słabo, chciała uciekać — i zastygła.

Kapłani odeszli równie niespodziewanie, jak przyszli, brama zapadła za nimi z głuchym łoskotem.

Zapalono pochodnie i kaganki, dziedziniec napełniły ogromne, czarne cienie.

Skoroś do Kur ruszyła posępnego kraju,
Płacz wieki, lament gorzki do niebios wznosimy,
Szlochamy, opłakując nadzieję minioną.
Bogowie bijąc w bębny cień twój powitają,
W domu bogów uderzą ci czołem,
Lecz my na ziemi płaczemy po tobie,

Lament i krzyk żałosny wstrząsa nasze łono.
Szaty żałobne nędzne przyoblec musimy,
Skoroś do Kur ruszyła posępnej krainy...

Śpiewały płaczki.

Za plecami milczących sług pałacu ostrożnie pod-kradłem się do strażników. Byłem tak blisko, że mógłbym dotknąć Nin, gdybym wyciągnął rękę.

Odezwałem się najcichszym szeptem:

— Nin, to ja!

Nie usłyszała. Powtórzyłem głośniej:

— Nie bój się, Nin!

Widziałem, że jej powieki lekko drgały, ale nie odwróciła głowy.

— Przyjdę po ciebie — szepnąłem.

Strażnik odwrócił się, zaniepokojony podejrzanym szelestem. Cofnąłem się przezornie. Jeśli mnie odkryją, nie będę mógł uratować Nin!

Słudzy pałacowi mówili między sobą, że wybrani zjedzą wieczerzę z czerwonych owoców granatu, suszonych fig i pieczonego mięsa, a potem dostaną napój, który daje szczęśliwe sny i pozwala o wszystkim zapomnieć. Dopiero jutro przybiorą ich w białe szaty, wieńce kwiatów, naramienniki i sandały plecione z rzemieni. Mówili to wszystko szeptem, rozglądając się trwożnie na boki, jakby koło nich mogło spod ziemi wyrosnąć widmo ze srebrnolistną gałęzią w dłoni.

Klasnąłem w ręce, by zwrócić uwagę Nin. Spojrzała na mnie. Widziała mnie! A jeśli mnie widziała, to wie, że nie zostawię jej samej. I to było najważniejsze.

Setki, tysiące myśli huczały mi w głowie. Co robić? Do kogo zwrócić się o pomoc? Odganiałem głupie dziecinne pomysły, jak natrętne szakale kręcące się blisko domu i, podobny rybakowi rzucającemu sieć w głębinę wód, szukałem tej jednej, jedynej dobrej rady.

— Dlaczego nie jesteś w domu?

Wzdrygnąłem się, bo poznałem głos mego czcigodnego nauczyciela.

Stał przede mną, oświetlony migotliwym płomieniem kaganka.

Zamiast skłamać, że przysłał mnie ojciec (tyle razy kłamałem, że mogłem skłamać raz jeszcze), rzuciłem się głową naprzód, jak atakujący byk, i skoczyłem w bramę. Przebiegłem parę kroków. Tu już byłem bezpieczny.

Nie mogłem tracić ani chwili, jeśli chciałem uratować Nin.

ROZDZIAŁ II

W którym Entemerm, po odwiedzeniu chaty na bagnisku rozmawia ze swymi czcigodnymi rodzicami

Tyle razy trafiałem tam przy jasnym blasku słońca, że miałem nadzieję odnaleźć bez trudu chatynkę brata pałacowego strażnika. Ale teraz w gęstej ciemności potykałem się o korzenie, wpadałem w wykroty, a wreszcie błądziłem długo po cuchnącym bagnem rozlewisku, łamiąc trzciny jak spłoszony dzik. Trwożnie krzyczały zbudzone ptaki, coś, czego nie widziałem, musnęło mnie wilgotnymi skrzydłami po czole. Zadrżałem, chociaż nie jestem tchórzem.

Wcale bym tam pewnie nie trafił, gdyby nie wątły poblask ognia rozświetlający ciemność. Ale wcześniej niż zobaczyłem pełganie płomienia, poczułem zapach wędzonej ryby. Poszedłem za nim jak pies myśliwego za tropem gonionej zwierzyny.

Chatynkę rybaka trudno jest odnaleźć i dlatego chłopcy, którzy uciekali ze szkoły, chętnie tu się kryli. Podobna raczej do ptasiego gniazda niż do ludzkiej siedziby, tuliła się na przesmyku, między dwiema odnogami kanałów, ulepiona, jak prawdziwe gniazdo, z błota wymieszanego z kawałkami trzciny.

— Hej, to ja! — krzyknąłem składając ręce przy ustach. Musiałem to zrobić, bo rybak celnie rzucał ościeniem, a przecież nie mógł wiedzieć, co wędruje po szuwarach pod osłoną nocy.

— Jaki ja?! — odkrzyknął.

— Entemena!

— Wyłaź czym prędzej z błota i chodź tutaj!

Wyszedłem z błota wymazany szlamem, mokra opaska z chlupotem obijała mi się o kolana, włosy jeżyły się patykami i liśćmi. Najodważniejszych mógłby przestraszyć mój wygląd.

— Co się stało? — zapytał. Rybak nie lubił mówić dużo, ryby, które łowił, nauczyły go milczenia.

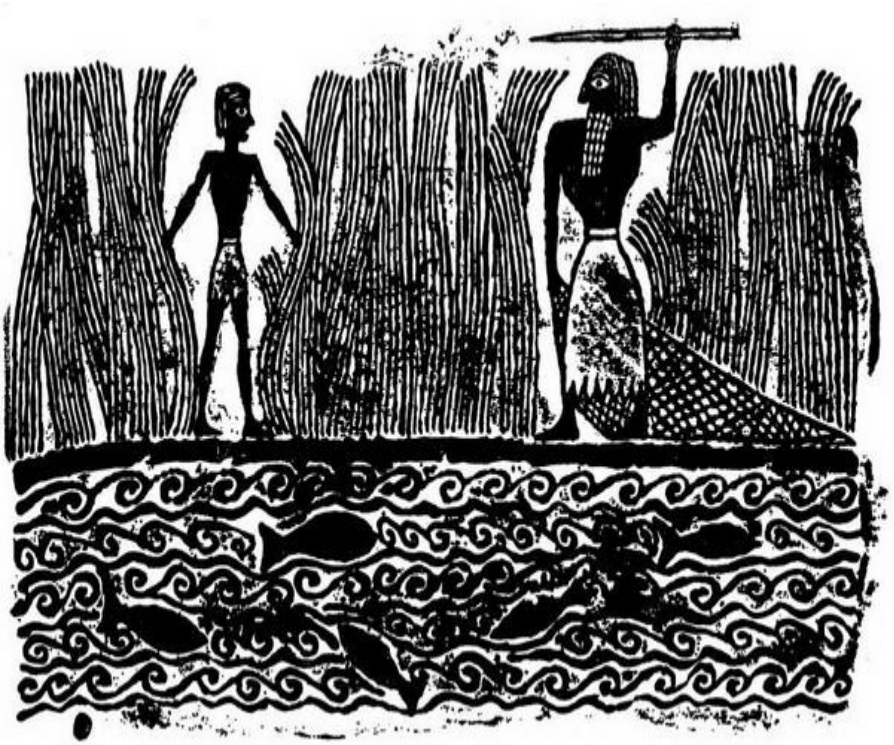

Kucnąłem przy ognisku. Na sznurach w dymie wędziły się ryby.

— Mało brakowało, a nadziałbym cię na oścień. Łamałeś trzciny jak ranny bawół.

— Nie mogłem odnaleźć twego domu.

Wszystko, co sobie obmyśliłem po drodze, wydało mi się teraz nagle niepoważne i nieprzekonywające. Co wreszcie mogłem powiedzieć? Że któregoś dnia zobaczyłem w załomie pałacowego muru płaczącą dziewczynkę? Nie lubię dziewczyn, ale zrobiło mi się żal tej małej. To właśnie była Nin. Stłukła dzban i bała się wracać. Cała zapuchła od tego płaczu, wcale mi się nie podobała, powtarzała ciągle, że się boi. No i jakoś tak wyszło, że przyobiecałem jej wystarać się o nowy dzban. Prawdę mówiąc, zabrałem go mojej matce, ale u nas w domu było parę dzba-

nów, więc myślałem, że się obejdziemy bez tego jednego.

— Masz i nie becz — powiedziałem dziewczynce.

— Naprawdę mogę go wziąć? Przyniosłeś ten dzban dla mnie?

— Oj, nie mów tyle. Bierz dzban i zmykaj. Uśmiechnęła się i jakoś podobał mi się ten uśmiech na zapuchniętej od płaczu buzi. Wyglądał tak, jak promień słońca błądzący wśród mroku.

— Jak się nazywasz? — zapytałem, chociaż jeszcze przed chwilą wcale nie miałem zamiaru tego robić.

— Nin-dada. A ty?

— Entemena.

— Mieszkasz w pałacu?

— Nie. Jestem synem złotnika. A ty?

— Noszę wodę do komnat królowej.

— Jesteś branką?

— Przywieziono mnie tutaj, jak byłam bardzo mała. Wiesz, co robiłam wtedy? Nosiłam wachlarz za najdostojniejszą Szubad. I ona była dla mnie bardzo dobra. Raz dała mi ciastko z miodem.

Sam nie wiem, dlaczego dalej rozmawiałem z tą dziewczynką pod bramą pałacu. Nie mówiła nic specjalnie ciekawego ani ważnego, ale dobrze mi się z nią rozmawiało.

— Teraz już nie jest dobra dla ciebie? — spytałem.

— Jak byłam starsza, najdostojniejsza Szubad powiedziała... a nie będziesz się śmiał ze mnie?

— Nie będę.

— Powiedziała, że z mówiącego osła i pięknej niewolnicy jest niewielka pociecha. I kazała mi nosić wodę. A do noszenia swego wachlarza wzięła inną małą dziewczynkę.

Jeszcze raz się uśmiechnęła. Naprawdę była inna niż wszystkie dziewczyny, jakie znałem. Inna niż moje kuzynki Lusasa, Aratta i Eluti, które zawsze głupio chichotały, przechwalały się swymi strojami i piszczały jak oparzone ukropem na widok małej, piaskowej jaszczurki. Ta dziewczynka była inna.

I tak się zaczęła moja przyjaźń z Nin-dadą. Spotykałem się z nią jeszcze przed pójściem na naukę, bo zaczynała nosić wodę, kiedy Utu jeszcze nie rozpoczynał swojej wędrówki po niebie, dopiero złocista zorza zapowiadała jego nadejście. Dłonie Nin od porannego chłodu były zawsze zaczerwienione i spierzch-

nięte, chusta ochlapana wodą. Pomagałem jej dźwigać ciężki dzban. Czasami przynosiłem przysmaki, które wtykała mi matka przed wyjściem do szkoły. Nin zjadała bez namysłu. Często była głodna.

Ale jak miałem o tym wszystkim opowiedzieć teraz rybakowi? Jak wzruszyć jego serce, by ratował Nin?

— Mówiłeś kiedyś, że chciałbyś mieć takiego syna, jak ja — zacząłem ostrożnie. — A ja zapamiętałem twoje słowa.

— I po to mnie szukałeś po nocy? — zdjął ze sznurka znad ognia jedną z ryb, powąchał i odciął kawałek. — Gotowa. Zjedz to.

— Nim słońce zapadło w Wieczny Ocean, królowa odeszła od nas. Słyszałeś o tym?

— Krzyczeli tak, że aż ryby uciekły.

— Wiesz, że królowa nie sama odejdzie do Kur?

— Wiem. Tak zawsze było.

— Wśród naznaczonych jest ktoś... — przerwałem i dopiero po chwili mówiłem dalej — ktoś, kto nie powinien odejść.

Rybak nie odpowiedział. Milczeliśmy.

— Pomóż mi... — prosiłem. — Twój brat jest w straży. Jeśli mu powiesz, zgodzi się na pewno!

Tylko trzciny szeleściły cicho. Nagle rybak wstał i podniósł oścień. Ze zmarszczoną brwią wpatrywał się w ciemność.

— Co się stało?

— Coś się skrada. Przyczaiło się — odłożył oścień i ukucnął przy ognisku. Tarł ręką czoło. Nie wiem, ile czasu tak siedzieliśmy.

— Chodź — powiedział wreszcie i wstał. — Idziemy. Do mego brata.

Poprowadził mnie wąskim przesmykiem wśród ziejących zgnilizną moczarów. Szliśmy bardzo krótko i nagle w gęstej ciemności zamajaczyły potężne jak skała mury pałacu. Na murach tu i ówdzie pełgał ogieniek: palono suchy nawóz. Głosy płaczek dochodziły do moich uszu jak niewyraźny szmer, tłumiły je grube mury.

— Zostań tutaj i czekaj — szepnął rybak.

Zniknął tak, jakby wchłonęła go ciemność. Trzasnęła sucha

gałązka. Potem usłyszałem krzyk nocnego ptaka. Krzyk powtórzył się trzykrotnie i umilkł.

Położyłem się z nosem przy ziemi i czekałem. Coś szeleściło za mną. Trochę się bałem. Mogła na mnie skoczyć szukająca żeru głodna pantera, mógł mnie stratować dziki bawół, który zwietrzył człowieka w pobliżu swego bagiennego legowiska. Mógł się do mnie przyczepić któryś z demonów o sinej twarzy i zielonych jak kocie oczach. Na wszelki wypadek wymamrotałem zaklęcie. Pomyślałem o swoim domu. Matka pewno nie śpi, oczekując mnie płacze i patrzy w noc. Ojciec ją pewno uspokaja. Obiecuje, że mnie surowo ukarze, kiedy wrócę. Pociesza, że nie jestem małym dzieckiem i nic mi się nie stanie. Ale w głębi serca boi się o mnie tak samo, jak matka. Kiedy uratuję

Nin, nigdy już więcej nie sprawię im przykrości. I nigdy nie będę kłamał. Stanę się najlepszym synem, tak jak oni są najlepszymi rodzicami.

Nie usłyszałem powrotu rybaka. Umiał poruszać się tak cicho, jak skradający się lew.

— Mówiłem z bratem. On się boi.

— Nie chce?!

— Boi się — powtórzył. — Powiedział, że może to zrobić, jeśli kapłan ze świątyni Enlila wyrazi zgodę.

Byłem bliski płaczu. Zawiodło mnie to, na co liczyłem. Byłem jak spragniony człowiek, który zaczerpnąwszy upragnionej wody z kanału, widzi, że ma w dłoni cuchnące błoto,

— Kto to jest? — zapytał rybak.

— Niewolnica z pałacu. Nosiła wodę. Nazywa się Nin-dada.

— Nie płacz. To nic nie pomoże. Pogłaskał mnie jak dziecko po głowie.

— Brat mówi, że naznaczeni są własnością bogów. Włada już nimi bogini Ereszkigal i siedmiu straszliwych sędziów z Kur. Chociaż żyją, lecz są już mieszkańcami Krainy Z Której Nie Ma Powrotu. Tylko Enlil może zezwolić, by powrócili do żyjących. — Nigdy nie słyszałem, by rybak powiedział naraz tak wiele słów. — Brat boi się — mówił dalej — że gdy odbierze bezprawnie bogom ofiarę, okryje się trądem, wyschnie jak liść zwarzony upałem, że doścignąą go mściwe demony, które pomszczą stratę

Ereszkigal. Jest ich władczynią. Powiedz swemu młodemu przyjacielowi, rzekł mój brat, że uczynię dla niego wszystko, co w mojej mocy, ale tylko wtedy, gdy kapłan ze świątyni Enlila zezwoli.

Już się opanowałem. Wytarłem pięścią oczy (moje łzy kryła ciemność, zdradzał mnie tylko schrypnięty głos) i powiedziałem:

— Pójdę do świątyni.

— Teraz?

— Potem będzie za późno. Muszę iść zaraz.

— Jestem tylko biednym rybakiem, który dlatego nie ma takiego syna jak ty, że nigdy nie mógł kupić sobie żony, bo nie posiadał ani złota, ani srebra, ani jęczmienia, ani bydła. Mogę ci jednak dać dobrą radę. Słuchaj mnie uważnie. Kapłani lubią złoto. Jesteś synem złotnika. Proś ojca. Nawet podczas najciemniejszej nocy będzie wysłuchany ten, kto otwiera drzwi złotym kluczem. Pamiętaj, że pomogę ci — pogłaskał mnie znowu po głowie. — Jeśli tylko będę mógł ci pomóc, uczynię to.

Odszedł cicho, bezszelestnie jak duch. Zostałem sam pod ciemnymi murami pałacu.

Tam gdzieś jest Nin, która wierzy, że ją ocalę. Chociaż najchętniej uciekłbym na koniec świata, przemogłem się. Pójdę do mego ojca. Poproszę go. Ojciec jest surowy, ale nigdy nie odmówił prośbie, która wydawała mu się słuszna. Zresztą niech postąpi ze mną, jak uważa za stosowne. Ale niech mnie najpierw wysłucha.

Okrążyłem pałac przypadając do ziemi jak pełzający wąż. Nie zauważyli mnie strażnicy czuwający przy bramach.

Nie pomyliłem się. Matka nie spała. Siedziała u progu domu i zapuchniętymi od łez oczami starała się przebić gęstą zasłonę ciemności.

— Nie martw się, matko. Wróciłem.

Zerwała się na równe nogi, schwyciła mnie w objęcia i przytuliła do siebie, jak małe dziecko. Poczułem na twarzy jej łzy. Płakała i tuliła mnie coraz mocniej.

— Jak mogłeś sprawić mi takie cierpienie! — powtarzała. — Jak mogłeś pozwolić, bym przez ciebie płakała i drżała ze stra-

chu!

W drzwiach domu zamajaczyła postać ojca.

— Zostaw tego niewdzięcznika. Kto nie umie cenić rodzicielskiego domu, niech wraca tam, skąd przyszedł!

Ojciec oderwał mnie siłą od płaczącej matki.

— Gdzie byłeś?!

Tyle niepokoju i troski kryło się pod surowością jego głosu, że ukląkłem przed nim i pochyliłem głowę.

— Uczyń ze mną, ojcze, co uważasz za słuszne, ale zechciej wysłuchać najpierw mego tłumaczenia!

— Nawet lwiątko nie rozdziera pazurami serca swej matki! Jesteś gorszy od lwa, Entemeno!

— Nie chciałem wam sprawić bólu.

— Gdzie byłeś?!

— Nim wytłumaczę, powiedz mi wpierw, ojcze, czy pomożesz ocalić naznaczonego krwawym piętnem?

Matka krzyknęła półgłosem.

— O kim mówisz?! — w głosie ojca wyczułem trwogę.

— O niewolnicy z pałacu.

— Chcesz ją ocalić?!

— Tak. Dlatego odszedłem, a was okłamałem, że zaraz wrócę.

Ojciec podszedł, chwycił mnie mocno za ramię i odchylił mą głowę, wpatrując się w ciemnościach w moją twarz. Z bliska jego oczy wydawały się wielkie jak jeziora. Potem uderzył mnie tak mocno, aż zatoczyłem się w tył.

— Podejdź tutaj!

Postąpiłem parę kroków i znów staliśmy twarzą w twarz.

— Wiesz, dlaczego cię uderzyłem?

— Nie wiem, ojcze.

— Za to, że nam nie wierzysz.

Zgarbił się, jak pod wielkim ciężarem.

— Dawno już wiemy o twoich wycieczkach na pałacowy dziedziniec. Myślałem sobie, że postąpisz jak dojrzały młodzieniec, przyjdziesz do mnie i powiesz: „Ojcze, odkup niewolnicę z pałacu „. I na promienie Utu, zrobiłbym tak! Masz już piętnaście lat, Entemeno, i możesz stać się samodzielny. Ale ty postępowałeś jak bezbronne dziecko, a my musieliśmy wysłuchiwać

twoich fałszywych wykrętów. Prawdę mówią, że gdy wrzucić takiego, jak ty, do wody, woda zacznie cuchnąć. Serce mężczyzny brzydzi się kłamstwem, Entemeno!

Więc rodzice wiedzieli o moich spotkaniach z Nin! Wiedzieli i milczeli. Nie mogłem tego pojąć.

— Ojcze, zostałem ukarany za brak ufności do was. Nin ma odejść za najdostojniejszą Szubad do Kur! Jeśli tak się stanie, pójdę za nią!

— Nie zrobisz tego! — zawołała moja matka.

— Słuchaj mnie, Entemeno. Nie raczyłeś mnie pytać o radę, ale ja wiem, co należy do ojca. Zasięgałem opinii o tej niewolnicy. Wiem, że jest pracowita, posłuszna i cicha. Wiem, że umie prząść wełnę. Gdybyś mnie prosił, wziąłbym ją do swego domu. Czy sądzisz, że jestem ojcem o sercu z kamienia?

Każde słowo mego ojca było jak dobrze wymierzona strzała i raniło mi duszę. Nie znajdowałem słów, żeby odpowiedzieć. Myślałem zawsze, że znam dobrze mego ojca, surowego, ale sprawiedliwego, umiejącego wyzwolić z twardego metalu kwiaty, skaczące gazele, bodące się koźlęta i polujące na zdobycz lwy. Zawsze sądziłem, że ojciec myśli tylko o swojej pracy i pilnuje niewolników, żeby starannie uprawiali jego pole, nawilżali je wodą w czasie suszy i wyrywali chwasty głuszące plony. A okazuje się, że ojciec myślał zawsze o mnie i wiedział o każdym moim kroku, jak wie piastunka o każdym kroku dziecka powierzonego jej staraniu.

— Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym! — krzyknąłem załamującym się głosem.

— Chcesz być mężczyzną, a jesteś dzieckiem! Dojrzały mężczyzna sam wybiera sobie swoją drogę, ma tylko jedno słowo. A ty? Ty jak mały osiołek wyjadasz spod siebie własne posłanie i płaczesz, że przyszło ci spać na gołych kamieniach. Tak, Entemeno. Gdybyś wiedział, czego pragniesz, nie przelewałbyś teraz łez. Taka jest prawda.

Sam wiedziałem, że taka jest prawda. Żyłem dotąd jak królewski rumak, któremu zasłaniają oczy, by nie widział chwiejnych cieni. Nie widziałem nic prócz siebie. Nie myślałem o nikim tylko o sobie. Moje serce było jak zepsuty owoc, plamisty i

nadgniły wewnątrz.

Nie, to nieprawda, że myślałem zawsze tylko o sobie. Teraz myślałem o Nin, o jej ocaleniu. Cóż winna mała Nin, że jestem tylko bezrozumnym chłopcem? Ona czeka na mnie i wierzy, że po nią przyjdę. I muszę przyjść! Sam ojciec mówi, że mężczyzna ma tylko jedno słowo. A ja to słowo dałem Nin!

— Ja przyrzekłem niewolnicy, że ją ocalę — powiedziałem.

Ojciec zamyślił się. Nie widziałem jego twarzy. Noc była ciemna.

Czekałem z bijącym sercem na jego słowa.

— Słowo mężczyzny jest jedno. Co zrobiłeś dotychczas, Entemeno?

— Prosiłem brata królewskiego strażnika, by ją uwolnił.

— Jaką dostałeś odpowiedź?

— On nie może tego zrobić. Boi się zemsty bogów. Ale przyobiecał, że uratuje Nin, jeśli kapłan Enlila zgodzi się na to.

— To wszystko?

— Wszystko. Noc jest jeszcze młoda. Do świtu wiele czasu.

— Tak.

Odsunął się i usiadł obok milczącej matki przy wygasłym ognisku. Znad rzeki zerwał się wiatr, zaszeleściły liście drzew. Wiatr był duszny i parny, taki wiatr przynosi ze sobą deszcz lub gwałtowną burzę. Na skrzydłach takiego wiatru nadlatuje bóg Iszkur, niosący błyskawice.

— Byłem leniwy, krnąbrny i nieposłuszny — zacząłem gorączkowo. — Łgałem i przysparzałem wam trosk swoim niedbalstwem. Możecie mi powiedzieć, żebym odszedł i nie wracał więcej. Ale ja dałem słowo. Dałem słowo mężczyzny i muszę go dotrzymać.

Nawet nie wiem, czy moi czcigodni rodzice usłyszeli mnie. Milczeli. Wiatr szumiał skrzydłami nad śpiącym miastem.

— Czego chcesz od nas, Entemeno? To zapytała matka.

— Gdybyś, ojcze, poszedł ze mną do świątyni! — zawołałem. — Gdybyś zechciał wstawić się za Nin! Kapłan mnie nie wysłucha, odpędzi jak natrętnego szakala. Twoje słowa usłyszy!

— Myślę, że możesz to zrobić — szepnęła matka. — W Entemenie obudziło się serce.

Poczułem taką wdzięczność, taką radość, że wzleciałbym jak ptak, by przynieść gwiazdy z nieba na naszyjnik dla mojej matki. Dałbym jej wszystkie skarby ziemi, przeniósłbym ją na rękach przez skwarną pustynię, gdyby tylko tego zażądała. Pokonałbym lwa gołymi rękami. Zdobyłbym czarodziejskie ziele. Wszystko dla niej!

Nie umiałem wyrazić tych uczuć słowami, bo słowa były za biedne, za małe, bym mógł powiedzieć to, o czym myślałem. Padłem do stóp mojej matki.

— Mamo — szepnąłem tylko. — Mamo...

Matka podniosła mnie. Poczułem na czole pocałunek.

— Jesteś najlepsza na świecie...

— Posłuchaj, Entemeno — mój ojciec położył mi rękę na* ramieniu. — Znasz starą bajkę o pręgowanej kotce? Pamiętasz, co mówiła kotka o swoich dzieciach? „Czy moje dzieci będą płowe jak lew i mężne jak lew, czy plamiste jak hiena i tchórzliwe jak ona, ja je zawsze będę kochała". Warto słuchać starych opowieści, Entemeno. A teraz zbieraj się! Idziemy. Musimy się pospieszyć. Chyba będzie burza.

ROZDZIAŁ III

W którym ojciec i Entemena odwiedzają nocą świątynię

Świątynia w mroku nocnym była szara i ciemna, mdło połśniewały kolorowe cegły. Schody na górne tarasy zdawały się sięgać chmurnego nieba. Jakże inaczej wyglądała w dni świąteczne, gdy po tych schodach wchodziły na górę białe kapłańskie orszaki, otoczone dymem ze spalonych wonności! Migotały kolorowe pęki piór, pachniały kwiaty, beczały ofiarne jagnięta, przystrojone w wieńce i wstęgi.

Teraz jednak w świątyni było cicho. Wydawała się całkiem wymarła i bezludna.

Kiedy sobie pomyślałem, że u szczytu w błękitnej świątynce śpi Enlil okryty obłokiem chmur i kołysany pieśnią wiatru, zrobiło mi się nieswojo. Ojciec przez całą drogę nie powiedział ani słowa. Jego usta zamknęły się dla mnie, jak zamyka się toń wodna nad rzuconym kamieniem. Cóż, syn powinien być chlubą swych rodziców i pociechą ich starości. Ojciec miał rację milcząc.

Kiedy weszliśmy na pierwszy taras, wydawało mi się, że słyszę jakieś skradające się kroki, podążające w nasze ślady. Odwróciłem się. Nie było nikogo. Chociaż przysiągłbym, że słyszałem skrzypienie sandałów po kamieniach.

— Zaczekaj tutaj — powiedział mój ojciec i w sennej ciszy jego głos zabrzmiał bardzo głośno.

— Tu wszyscy śpią.

— Widzisz świat jednym okiem, Entemeno, i to w dodatku lewym. Tutaj zawsze ktoś czuwa przez całą noc. Pójdę kogoś odnaleźć.

Ja też przecież wiedziałem, że kapłani śledzą nocą gwiazdy z wysokich tarasów świątyni, by z ich biegu wnioskować o sprawach na ziemi i niebie. Ileż to razy nasz czcigodny nauczyciel

wspominał nam o tym. Pewno taki Lugal umiałby odnaleźć wśród gwiazd najważniejsze gwiazdozbiory i wskazać ich drogę. A ja ich nawet nie znałem.

Kucnąłem pod balustradą tarasu. Chciałem stać się mały, jak najmniejszy. Tam na dziedzińcu wśród jęku płaczek wydawałem się sam sobie silny, mądry i doświadczony. Teraz dopiero widziałem, jak mało potrafię. Powiedziałem sobie, że uratuję Nin. Ale nie mogę tego uczynić bez pomocy. Jak dobry jest mój ojciec, że zechciał mnie osłonić tarczą swej mądrości. Z nim, z jego oparciem, wszystko wydawało mi się proste i możliwe.

Nagle zerwałem się na nogi. Jakiś szary cień skoczył na balustradę tarasu! Przykucnął na niej. Mimo ciemności rozpoznałem spłaszczoną czaszkę z przywartymi uszami. Stary pawian. W świątyni żyło całe stado pawianów, karmionych przysmakami przez wiernych. Nikogo się nie bały. Szarpały ludzi za odzież i szczerzyły zęby, jak złe psy. Przywieziono je do świątyni dawno, nie wiadomo skąd, może z końca świata, i były.

W ciemności oczy pawiana błyskały zielonkawo, grzywa podnosiła się na karku jak u rozgniewanego lwa. Warknął, a raczej zaszczekał.

Wiedziałem, że szybkie, niespokojne ruchy drażnią zwierzęta. W ogóle najlepiej było pozostać nieruchomo, ale coś mnie podkusiło, żeby wyciągnąć rękę. Małpa wyszczerzyła natychmiast zęby i podniosła się na przednich łapach. Przez krótką chwilę wahała się, czy mnie zaatakować. Mogłem się bronić tylko gołymi rękami. Nie miałem nawet swego małego noża przy pasie. Do świątyni nie wolno wchodzić z bronią.

Jeśli pawian rzuci się na mnie, nie wyjdę z tego żywy. Nie będę przecież krzyczał w świętym przybytku, gdzie odpoczywa Enlil po trudach dnia.

Nieskończenie wolno zacząłem się przesuwać za załom muru. Tam będę bezpieczniejszy. Przynajmniej małpa nie będzie mogła zaatakować mnie z tyłu.

Pawian wyciągnął swój wydłużony psi pysk i patrzył nieufnie na mnie, jego ściągnięte wargi opadały powoli zakrywając zęby. Wyraźnie się uspokajał.

W tej chwili coś zaszeleściło na niskim tarasie. Małpa jednym

susem zniknęła w mroku.

Nagle miedziane uderzenie gongu z wysoka rozcięło ciszę. Powolne, przyciszone głosy zaśpiewały hymn sławiący Enlila.

Enlil, którego sława daleko sięgają,
A każde słowo święte jest,
Pan, który wydaje wyroki,
A każdy wyrok przesądza los.
Ten, który podnosi trony albo kruszy,
Enlil, co władcą władców jest,
Enlil, budzący świętą trwogę
W sercach ludzi i w sercach bóstw.

Monotonne pienie splatało się z poświstem wiatru. Przymknąłem oczy, ukołysany pieśnią. Teraz dopiero poczułem, jak bardzo jestem zmęczony.

Spadła pierwsza kropla deszczu. Ojciec miał rację. Czuło się cały czas w powietrzu nadciągającą burzę.

Jak to będzie dobrze, gdy wróci ojciec i powie, że kapłan wyraził zgodę na uwolnienie Nin. Moi rodzice nie będę się gniewali, że zaraz pobiegnę pod pałac. Już znajdę jakiś sposób, żeby zawiadomić Nin, że jest wolna!

Jeszcze brzask nie rozzłoci nieba, kiedy zaprowadzę

Nin do naszego domu. Będziemy pili pachnące miodnymi ziołami mleko, prosto z czerpaka. Potem pójdę na naukę (zostanę najlepszym uczniem, prawdziwą chlubą mego nauczyciela), a Nin pomoże mojej matce w domowych zajęciach. Może chłopcy będą się śmieli, że ojciec kupił dla mnie narzeczoną. No to co? Wielu chłopców, nawet młodszych ode mnie, ma narzeczone, a mały Aggi, który nie umie jeszcze nakreślić ani jednego znaku, został zaręczony z trzyletnią córką sąsiadów, kiedy miał pięć lat. I jakoś nikt się z niego nie śmieje. Zresztą, ja nie dam stroić z siebie żartów. Niech tylko spróbują!

Pogrążony w marzeniach, stałem jak kamienny posąg. Czekałem. Nawet gdyby Iszkur rzucił grom u moich stóp, nie zauważyłbym tego.

— Wracamy, synu.

Nie musiałem być zbyt przenikliwy, żeby odgadnąć, że ojciec jest rozgniewany.

— Co się stało? Czy mogę już pobiec do Nin, ojcze?

— Milcz!

Zbiegliśmy po schodach tarasu, jakby gonieni przez sforę krwiożerczych demonów. Zobaczyłem, że pawiany, zbite w gromadę, wciskały się pod nawis muru. Bały się nadchodzącej burzy.

Przebiegliśmy przez ogród otaczający świątynię i byliśmy teraz w obrębie niskich budowli, które zamieszkiwały kapłanki i niższa służba świątynna. Tuta], tu i ówdzie, paliło się jeszcze ognisko, smukła dziewczyna w srebrnym naszyjniku uderzała w płaski bębenek, tańcząc w przygasającej poświacie ognia. Nikt jej nie widział, a ona tańczyła tak, jakby patrzyło na nią tysiąc oczu.

— Czy tańczysz dla boga Iszkur, kapłanko — zagadnął tancerkę mój ojciec — by zesłał dobry, ciepły deszcz?

— Tańczyłam dla Iszkura dziś rano.

— Więc dla kogo tańczysz teraz?

— Wprawiam się. Będę tańczyła jutro w orszaku odprowadzającym królową do grobów w dolinie. Dlaczego mnie wypytujesz, nocny przechodniu?

W tej chwili ulewa deszczowych kropli zabębniła o płaskie dachy. Zrobiło się jeszcze ciemniej. Niebo jak czarna wełniana chusta otuliło wszystko.

— Czy pozwolisz nam przeczekać deszcz pod swoim dachem, kapłanko?

— Czego szukacie u stóp świątyni?

— Wielki kapłan kazał mi przyjść później. Nie miał czasu teraz ze mną rozmawiać.

— Dziwną wybrałeś porę na rozmowy. Wprawdzie w świątyni czuwa się całą noc, chroniąc sen Enlila, ale nie ma zwyczaju, by mieszkańcy miasta przychodzili pod osłoną nocy prosić o łaskę bogów.

— Sprawa, która nas sprowadziła, nie może czekać, aż Utu rozjaśni niebo. Wielki kapłan to zrozumiał i kazał się nam stawić przed swoim obliczem godzinę po północy. Więc pozwolisz

schronić się pod dachem?

Kapłanka skinęła przyzwalająco. Weszliśmy do domu i skromnie usiedliśmy przy progu, jak przystoi obcym przybyszom. Ona podsyciła ogień i zawiesiła na ścianie płaski bębenek, z którym tańczyła. Teraz widziałem ją dokładnie. Nie była wiele starsza ode mnie.

— Ach, to ty, złotniku! Nie poznałam cię. Zamawiałam kiedyś u ciebie naszyjnik. Pamiętasz?

— Tak. Tańczyłaś w nim jako bogini Inanna, zakochana w pasterzu Dumuzi. I muszę powiedzieć, że pięknie tańczyłaś.

— Podobało ci się? Bardzo się cieszę. A kim jest ten chłopak, który ci towarzyszy?

— To mój syn, Entemena.

— On też pragnie mówić z wielkim kapłanem?

— Tak. To jego sprawa. Ja przyszedłem, bo w tej rozmowie muszę być jego językiem i rozumem. Takie już życie ojca dorosłego syna.

Kapłanka podała nam czarę z piwem. Prosiła, byśmy się zagrzali przy ognisku i wysuszyli przemokniętą odzież.

— Wiele czasu jeszcze przed wami — powiedziała.

— Możesz nam skrócić czekanie opowieścią. Chciałbym, żeby (mój syn przypomniał sobie opowieść o Gilgameszu i Enkidu.

Deszcz padał monotonnie, szumiał wiatr, pełgało krwawo ognisko. Kapłanka przyniosła harfę, mocno naciągnięte struny zadźwięczały pod jej palcami.

— Potężny był jak lew, silny jak bawół wielki Gilgamesz, władca Uruk — mówiła śpiewnie. — Przed jego tronem zginali czoło królowie innych narodów. Jego miecz jak błyskawica porażał wrogów na polu bitwy. I rosło pychą serce Gilgamesza, bo myślał, że nie ma sobie równego na ziemi i niebie. Widząc jego serce wielcy bogowie trwożyli się, że Gilgamesz wedrze się siłą do niebios i stanie się im równy.

„Musimy coś zrobić, by pomniejszyć Gilgamesza!"

„Cóż możemy uczynić?"

„Czy nie ma na ziemi i niebie kogoś, kto jest od niego potężniejszy? Ojcze Enlilu, *stań* przeciw Gilgameszowi!"

„Jestem bardzo zajęty. Nie mam czasu."

„Ojcze Enki, stań przeciw Gilgameszowi."

„Wśród was jest wielu godniejszych tego zaszczytu."

„Piękna Inanno, złam serce Gilgamesza."

„Nie potrafię. Już próbowałam."

„Ojcze An, ty możesz go skruszyć."

„Jestem bardzo stary. Mam synów. Moi synowie powinni podjąć tę pracę za mnie. Ja już nie dosłyszę, niedowidzę, a moja prawica nie jest już tak silna, jak wtedy kiedy stwarzałem świat. Nie, nie skruszę Gilgamesza."

Kiedy tak martwili się bogowie, wstał Enki, pan mądrości, ten, który stworzył pismo, i rzekł:

„Nie martwcie się. Mam pomysł."

„Mów, Enki! Słuchamy cię pilnie." Prośmy starą, mądrą boginię Aruru, by ulepiła z gliny olbrzyma. Tchniemy w niego życie i wyślemy przeciw Gilgameszowi."

I uczynili tak. Aruru z ciężkiej gliny ulepiła olbrzyma, jakiego nie widziało oko człowieka, i uczyniła go silnym jak skała i mężnym jak lew. Enlil tchnął w niego życie.

Gdy na równinie pod Uruk starł się olbrzym Enkidu z niepokonanym Gilgameszem, bogowie jak tchórzliwe szakale pochowali się po kątach, i nie śmieli nawet spojrzeć na walkę.

A oni walczyli ze sobą jak dwie błyskawice, jak dwa rozżarte lwy, ziemia drżała pod ich stopami, niebo drżało nad ich głowami. Kłębili się jak dwie fale morza, jak płomienie, jak wichry. Nie ustąpił ni na krok potężny Gilgamesz przed olbrzymem Enkidu, nie skruszył prawicy Gilgamesza olbrzym Enkidu. Zbladły zorze poranka, wzniósł się wysoko Utu, zapaliły się gwiazdy, wstał drugi świt, a oni wciąż walczyli, lecz nie było w tej walce zwycięzcy ani pokonanego. I nagle niepokonany Gilgamesz rzucił oręż na ziemię i rozwarł ramiona.

„Bądź moim przyjacielem, najdzielniejszy z dzielnych!"

I rzucił swój oręż na ziemię olbrzym Enkidu. „Bądź moim przyjacielem, ty, którego lękają się nawet bogowie!"

Poszli razem do Uruk i tam pili piwo i wino, śpiewali pieśni i byli weseli. Za to w niebie bogowie kłócili się głośno, zarzucając sobie wzajemnie tchórzostwo i małoduszność. Wreszcie powiedzieli:

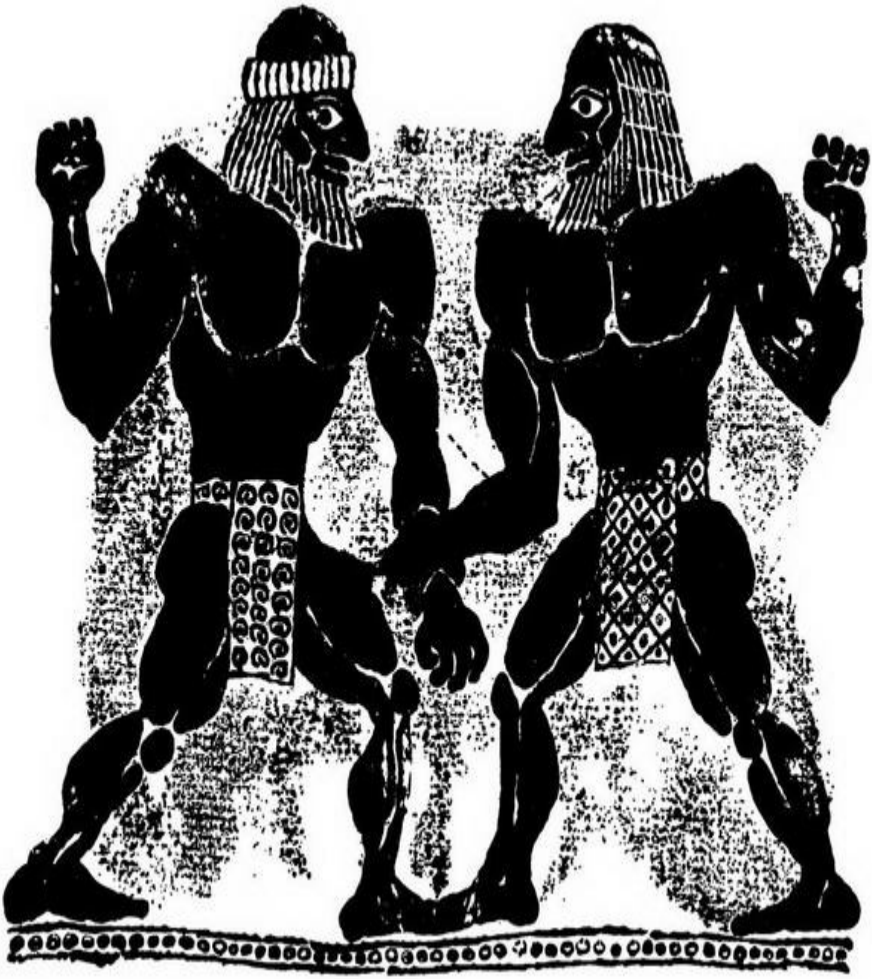

„Olbrzym był tylko człowiekiem, a żaden człowiek nie pokona Gilgamesza. Ulepimy z gliny potężnego byka, jego rogi będą jak sierp księżyca, jego dech będzie jak gorący wiatr pustynny, pod jego krokiem ugnie się ziemia. On zabije władcę Uruk, a my będziemy spali spokojnie, bez lęku."

Aruru z ciężkiej gliny ulepiła potężnego byka. Bogowie tchnęli w niego życie.

Niebiański byk zszedł do Uruk, piersią powalał domy, racicami tratował wojowników, rogami podrzucał aż do chmur wyso-

kie drzewa, oddechem wysuszał wodę w kanałach.

Stanęli przeciw niemu ramię w ramię — niezwyciężony Gilgamesz i olbrzym Enkidu.

Zatrzęsło się niebo, bogowie jak szakale przycupnęli po kątach.

Uderzył maczugą Enkidu, byk ugiął kolana. Schwycił rogi jak sierp księżyca Gilgamesz i miecz utopił w sercu byka. Zapłakali bogowie, zakryli twarze.

Przejął ich lęk.

„Jakże potężny jest człowiek, dzieło rąk naszych!" — jęczeli.

„Potężniejszy jest od nas!" — płakali. „Budzi w nas lęk!" — mówili.

Kiedy tak jęczeli opłakując swój los, wstał An, Stworzyciel, i pocieszył ich mówiąc:

„Nie opłakujcie swojego losu! Dane jest człowiekowi serce niespokojne, które się zwróci przeciwko niemu. Nikt nie zwycięży Gilgamesza, to on sam pokona siebie."

Rozradowali się bogowie, uderzyli w bębny. Echo potoczyło grom nad szczytami gór.

W królewskim mieście Uruk wielki Gilgamesz leżał na miękkim łożu, pił słodkie wino, wąchał wonności. Obok niego, po prawicy, leżał olbrzym Enkidu, przyjaciel najwierniejszy.

„Dokonaliśmy więcej niż bogowie — rzekł on do Gilgamesza. — Teraz wypoczniemy po trudach. Będziemy orali ziemię i siali w nią ziarno. Wychowamy synów. Będziemy żyli długo i pomrzemy, kiedy synowie naszych synów staną się dojrzałymi mężami."

„Nie ma dla nas spoczynku po trudach. Będziemy walczyli dalej. Jeśli będzie trzeba, powędrujemy na skraj ziemi, by znaleźć to, co zakryte przed naszymi oczyma" — odrzekł niepokonany Gilgamesz.

„Dlaczego nie mamy się cieszyć spokojem?"

„Spokój to zapomnienie, Enkidu. Wolę żyć krótko i napełnić całą ziemię sławą moich czynów niż długo i odejść nie dostrzeżony. Czy będziesz mi towarzyszył?"

„Nie."

„Przeto pójdę sam."

A w najwyższym niebie bogowie uradowali się słysząc słowa Gilgamesza. Klaskali w ręce i tańczyli. Wołali, że są już na zawsze bezpieczni. Oni wiedzieli, że serce Gilgamesza zwróciło się przeciw niemu, tak jak przepowiedział An Stworzyciel.

Kapłanka skończyła opowieść. Siedziałem zasłuchany. Opowiadała, jak nikt inny na świecie! Mógłbym słuchać takich opowieści przez całe życie i nigdy nie miałbym dosyć.

To zupełnie coś innego niż opowieści naszego nauczyciela. Zresztą, jak można słuchać uważnie, kiedy w każdej chwili nauczyciel może przerwać, spytać cię o coś lub pobudzić twoją uwagę świśnięciem giętkiej trzciny.

— Deszcz ustaje — powiedział mój ojciec.

— Zbliża się czas. Zaraz was wezwie wielki kapłan.

— Skąd wiesz?

— Wiem.

— Nie możesz odczytać godziny z drogi Utu na niebie ani z gwiazd, noc jest pochmurna i nie widać nieba.

Kapłanka roześmiała się.

— Wy, ludzie z miasta, nie znacie wielu tajemnic. Można mierzyć czas nie patrząc na niebo.

Sługa świątyni, z krańcem opończy zarzuconym na ramię, stanął w drzwiach.

— Pospieszcie się. Czekają na was. Straciłem wiele czasu, nim was odnalazłem.

— Dziękuję ci za opowieść — ojciec skłonił głowę przed kapłanką. — Nie chcę być twoim dłużnikiem. Czy przyjmiesz srebrny pierścień za to, że ucieszyłaś nasze serca?

— Zachowaj go, złotniku. Twój syn przypominał burzową chmurę, kiedy weszliście pod mój dach. Teraz jest jak pogodne niebo, gdy wychodzi stąd. Jeśli rozpędziłam jego troski, nie potrzebuję zapłaty.

Poszliśmy więc za sługą.

Po przejściu schodów weszliśmy na czwarty taras. Biała szata wielkiego kapłana odcinała się ostro od ciemności nocy. Deszcz przestał padać, powietrze, chłodne i świeże, pachniało wilgocią.

Upadliśmy na twarz i czekaliśmy, aż wielki kapłan do nas przemówi.

— Jaka jest twoja prośba, złotniku? Mów.

Poznałem ten głos, wydobywający się jakby z trudem spomiędzy wąskich warg. To on dotknął srebrno-listną gałęzią ramienia małej Nin! Stał teraz przede mną ten sam stary kapłan, którego widziałem przed wieczorem na pałacowym dziedzińcu.

— O, najświątobliwszy, ty, który obcujesz z bogami — rozpoczął mój ojciec nie podnosząc się z klęczek — wysłuchaj prośby nędznego robaka pełzającego w ziemskim pyle. Otwórz swe uszy na moje słowa, zważ na szali swej mądrości nasze błaganie.

— O co prosisz? Mów — powtórzył wielki kapłan.

— Syn mój ma wśród służby pałacowej narzeczoną, niewolnicę najdostojniejszej Szubad. Pragniemy ją wziąć do naszego domu, zapłaciwszy uprzednio w jęczmieniu, owcach, srebrze lub złocie należne odszkodowanie wielkiemu królowi i świątyni.

— Dlaczego nie możesz poczekać ze swoją prośbą do czasu, w którym przyjmuję proszących? Dlaczego naprzykrzasz mi się swoimi prośbami po nocach, kiedy śledzę bieg gwiazd, a serce moje jest dalekie od ziemskich spraw?

— Nie mogę czekać, najświątobliwszy. Ta dziewczyna... ma odejść jutro do Kur!

Serce we mnie zamarło. Czekałem na odpowiedź wielkiego kapłana tak, jak czeka rolnik na deszcz po długiej suszy, tak jak czeka zgłodniały — na kęs strawy.

— Wybierz inną dziewczynę dla swojego syna, złotniku.

Krew wzburzyła się w moich żyłach. Zapomniałem o szacunku, jaki winienem wielkiemu kapłanowi. Krzyknąłem głośno:

— Nie!

Nie otwierając wąskich warg kapłan powiedział:

— Szczenięciu nie wolno skomleć, gdy ryczy lew.

— Wybacz memu synowi, najświątobliwszy. On jest jeszcze bardzo młody i nierozumny jak młode koźlę. Ale zważ sam, jak mogę wybrać inną dziewczynę dla niego, skoro jego serce wybrało tamtą niewolnicę? Na sykomorze nie wyrośnie słodki daktyl, owca nie urodzi pantery. Wyznacz cenę za dziewczynę, w złocie czy klejnotach, a zapłacimy, błogosławiąc twoją dobroć

i mądrość.

— Bogowie ją naznaczyli.

Ojciec dał mi znak ręką, żebym zamilkł. Ale ja nie mogłem milczeć. Musiałem wykrzyczeć to, o czym myślałem przez nieskończenie długie godziny wczorajszego dnia i dzisiejszej nocy.

— Nin nie może odejść do Kur! Ona jest mała i słaba!

Chociaż tego nie widziałem, mógłbym przysiąc, że wargi kapłana wykrzywił drwiący uśmiech.

— Mogę nie dosłyszeć twoich zuchwałych słów, niech je zabierze Iszkur i uniesie daleko stąd.

— Nigdy nie zdołamy odpłacić twojej dobroci! — zawołał mój ojciec i znów padł na twarz.

Ja nie padłem, klęczałem tylko i śmiało patrzyłem na wielkiego kapłana. Po odejściu chmur noc stała się jaśniejsza, widziałem jego twarz podobną do twarzy posągu Enlila, który kamiennymi oczyma patrzy w wieczność.

Jeszcze daleko huczało echo gromów, ale burza przeszła bokiem, nie zawadzając swym ognistym skrzydłem o nasze miasto.

— Prośba wasza jest oddalona.

Te słowa były jak zawalenie ciężkim głazem wejścia do lochów. Zrozumiałem, że nie ubłagamy wielkiego kapłana, że nie przekupimy go , ani złotem, ani łzami.

— Chcąc oświecić wasz rozum powiem, dlaczego taki jest mój wyrok. Tamta dziewczyna należy do bogów, a człowiekowi nie wolno wyciągać ręki po ich własność. Myślicie może, że bogom szczególnie nie zależy na małej niewolnicy królowej? Mylicie się. Gdyby zrobić wyjątek dla niewolnicy, znajdzie się setki błagających o życie innych. A cóż wtedy zostanie dla bogów? Któż pójdzie dobrowolnie do Kur? Zresztą tak postanawia nasze odwieczne, obyczajowe prawo i nie moją rzeczą jest zmieniać mądrość przodków.

Dał znak, że posłuchanie skończone, i odwrócił się ku balustradzie. W niebie wymytym deszczem lśniły nieśmiało gwiazdy.

Na dolnym tarasie podeszła do nas młoda kapłanka.

— Słyszałam, jak wam odmówiono.

— Po co poszłaś za nami?

— Byłam ciekawa, o co można prosić pośrodku nocy.

— Teraz wiesz.

— Wiem. I mogę ci coś powiedzieć. Gdybyś, złotniku, nie żądał zapłaty za klejnoty dla Enlila, prośba twoja mogłaby zostać wysłuchana. Teraz ci odpłacono.

W głosie tej dziewczyny nie było złej radości z mego nieszczęścia, był w nim smutek.

— Ty się martwisz? — zapytałem. — Przecież nie znasz Nin ani mnie. Więc dlaczego?

— Umiałam tańczyć. Zawsze to lubiłam. Byłam jeszcze małą dziewczynką, która nie nosi szat, gdy tańczyłam przed progiem domu, z kawałkiem deski zamiast bębenka. Mój ojciec był bardzo pobożnym człowiekiem, dzierżawił pole od Wielkiej Świątyni, składał hojne dary po każdych żniwach.

Na twarz kapłanki opadły włosy jak czarny obłok.

— Ktoś ze sług świątyni zobaczył mój taniec. Ojciec był szczęśliwy, a ja...

— A ty?

— Mnie nikt nie pytał, czy chcę służyć bogom. Zresztą byłam wtedy tak mała, jak sadzonka drzewa sarbat. Nie rozumiałam wiele.

— Dlaczego stąd nie odejdziesz?

Odrzuciła włosy z czoła wąską dłonią. Uśmiechnęła się.

— Dokąd mam odejść?

— Do domu swego ojca.

— My, słudzy świątyni, nie mamy ojców ni matek. Należymy do bogów. Nasze miejsce jest u ich stóp.

— Słyszałem, że wielki wykup...

— Kto go zapłaci? Zresztą nie chcę, by mnie wykupił jakiś bogacz i uczynił jedną z kobiet swego domu. Nie, wolę zostać w świątyni i tańczyć.

Uśmiechnęła się bez wesołości, tak się uśmiecha dziecko, które boi się kary.

— Powiedz mi imię swojej dziewczyny. Odnajdę ją w orszaku najdostojniejszej Szubad i dodam otuchy. Mogę ci to przyobiecać.

— Nie znasz przecież ani jej, ani mnie.

— Już mi to powiedziałeś, synu złotnika, nie powtarzaj bez potrzeby zbyt wielu słów.

— Dziękuję ci, jesteś nie tylko piękna, ale i dobra. Miasto spało. Po wymytych deszczem ulicach jak cienie przesuwały się płochliwe szakale. Szliśmy z ojcem ramię przy ramieniu nie odzywając się ani słowem.

Ojciec był głęboko pogrążony w myślach, ja też.

Nie śmiałem rozpraszać jego milczenia. I tak zrobił dla mnie więcej, niż mogłem oczekiwać. Dla mnie i dla małej Nin.

Na niebie wśród gwiazd błysnął wąski sierp łodzi Nanna. W bladym świetle twarz ojca wydała się biała jak mąka.

— Zawsze czciłem bogów, ozdabiałem ich świątynie swoimi darami — przerwał milczenie mój ojciec. — Lecz muszę żądać zapłaty za swoją pracę, nie jestem bogaczem, który może rozrzucać złoto jak dziecko garście piasku. Moją ręką nie kieruje Enki, Enlil nie napełnia mojej spiżarni, Inanna nie tka moich szat,

Przerwał nie kończąc swojej myśli, ale ja rozumiałem, co chciał powiedzieć.

— Dzięki, ojcze. Byłeś i tak aż za dobry dla mnie. Poradź mi jeszcze, co mam teraz uczynić?

Zatrzymał się i potarł ręką czoło, jak człowiek zbudzony nagle z głębokiego snu.

— Czy to prawda, że przysiągłeś ratunek tej niewolnicy?

— Tak. To prawda...

Staliśmy na środku ulicy w powodzi księżycowego blasku. Gdzieś naszczekiwały psy, pewno wilki lub lwy podkradały się do śpiących stad. Cicho szeleściły liście. Zwierzę, człowiek czy demon kryło się w ich gąszczu? Nie wiedziałem.

— Jesteś moim jedynym synem, Entemeno. Uczyniłem dla ciebie więcej, niż uczyniłbym dla siebie samego, niż uczyniłbym dla boga. Mogę uczynić dla ciebie jeszcze coś. Po przyjściu do domu zbudzę Kubatum. Przekupię straże. Ona zastąpi jutro tę małą niewolnicę.

Ojciec niedawno kupił Kubatum, by moja matka miała pomoc i wyrękę w gospodarstwie. Nigdy na nią nie zwróciłem szcze-

gólnej uwagi. Kręciła żarna i zbierała na pastwiskach suchy nawóz. Wstawała jeszcze przed świtem i kładła się, gdy Utu gasił już swój blask. Była cichsza od wody i milcząca jak graniczny kamień, który strzeże krańców pola. Zresztą wszystko jedno, jaka jest ta Kubatum. Ojciec dobrze radził, to jedyna droga ratunku. Za złoto uda się dokonać zamiany, ludzie za złoto i ozdoby często gotowi są oszukać nawet bogów. Kubatum pójdzie za wozem królowej, a Nin będzie uratowana.

ROZDZIAŁ IV

W którym Entemena spotyka się z kimś Nieoczekiwanym

Jak zawsze przed świtem, zrobiło się chłodniej, niebo pojaśniało na wschodzie, zbladły gwiazdy, sierp księżyca wtopił się w srebrnawe, bezchmurne niebo.

Z naszego domu wyszła kobieta otulona w białe chusty. Prowadziła ją za rękę moja matka.

— Oto jest Kubatum.

Spod chusty błysnęły źrenice czarne jak smoła ziemna. Pochyliła głowę i milczała. Matka wytarła oczy (zrobiła to ukradkiem, jakby się wstydziła swego wzruszenia) i powiedziała:

— Weźcie ją i postąpcie podług waszej woli.

— Czy jest ona tego wzrostu, co tamta niewolnica? — zapytał ojciec.

— Nin jest niższa.

— Wiele?

— Nie — pokazałem ręką. — Może tyle.

— Pochylisz swoje czoło, Kubatum.

Skinęła głową na znak, że słyszy. Potem postąpiła parę kroków i stanęła obok mnie. Coś załaskotało mnie w gardle, jakby małe zwierzątko przebiegało tam miękkimi łapkami.

— Nie wymienię Kubatum na Nin. Niech zostanie. Usta Kubatum otworzyły się bezgłośnie, chciała coś powiedzieć, dziękować, ale nie wymówiła ani słowa. Uklękła u stóp mojej matki w milczeniu i przytuliła twarz do jej kolan.

— Nin by sama tego nie chciała — plątałem się w pospiesznej mowie. — Wstań, Kubatum! Nigdzie nie pójdziesz. Zostaniesz tutaj i będziesz pracowała tak, jak przedtem.

— Nie pojmuję cię, Entemeno — westchnęła moja matka.

Ojciec słuchał mnie ze zmarszczoną brwią, to zwiastowało gniew, a ja bałem się gniewu ojca.

— Powiedziane jest „dasz głowę za głowę, oko za oko, ciało za ciało, owcę za owcę". Nie ty i nie ja będziemy zmieniali prawo, Entemeno! Wiesz, że nie można oszukać bogów, oni widzą wszystko i zsyłają nieposłusznym nieszczęście, chorobę i śmierć. Jeśli nakazałem zaprowadzić do pałacu Kubatum, to myślałem, że bogowie w swej łaskawości przymkną oczy na tę zamianę. I tak dostanę to, co im się należy. A ty łamiesz prawo, Entemeno, zuchwale występujesz przeciw zwyczajowi!

— Pozwól mi, ojcze, a pójdę sam. Przebiorę się za dziewczynę, zakryję twarz i...

— Nie! — krzyknęła moja matka i zapłakała. ,

— Ja przysięgałem, ojcze.

— Straciliśmy twego małego brata, kiedy stawiał pierwsze kroki — matka ścisnęła moje ramię tak, że czułem ból. — Zdusiły go demony. Ty nam jeden zostałeś. Nie żałowaliśmy ci niczego. Byłeś w naszym domu jak jedyne jagnię w zagrodzie biedaka.

— Zważ sam, że staraliśmy się pomóc ci ze wszystkich sił — dodał ojciec. — Czyż wielu rodziców tak by uczyniło? Kazaliby wychłostać krnąbrnego syna i zbyliby śmiechem jego żale. Ja chciałem przekupić straż i dać na miejsce naznaczonej Kubatum. Zastanów się, Entemeno, bo nim słońce podniesie się do kresu niebios, orszak wyruszy. Jeśli odrzucisz moją pomoc, sam wydasz wyrok.

Ze zmęczenia i niedospania w głowie huczało mi sto gromów, przed oczyma wirowały czerwone koła. To, co mówił mój ojciec, dochodziło do mnie z niezmiernego oddalenia, jakby dzieliły nas rozległe pustynie, pola i rzeki. Nie starałem się nawet zrozumieć jego słów, przepływały obok mnie, podobne do obojętnej fali, która płynie i płynie, bez względu na to, co się dzieje na brzegach rzeki.

— Odpowiedz, Entemeno!

Nie wiedziałem, co mam odpowiedzieć. Pamiętałem jedno, że w pałacu jest Nin i ja tam powinienem pójść i ją ocalić, bo ona nie może odejść do Kur. Tylko te nogi ociężałe, tylko ten szum w uszach — uuu — jak walenie kamiennej stępy miażdżącej ziarno, tylko te ognie zapalające się boleśnie w mej głowie i parzące mi rozum!

Moja twarz musiała widocznie się zmienić, bo matka spojrzała na mnie z niepokojem, odsunęła klęczącą Kubatum i weszła do domu. Niebo na wschodzie bladło coraz bardziej, niedługo światło Utu pochłonie gwiazdy i łódź Nanna.

— Wypij to, Entemeno.

Napój pachniał gorzkimi ziołami, jak lekarstwo przeciw bagiennej gorączce. Wypiłem go jednym haustem. I nagle rozjaśnił się mój umysł, zgasły czerwone ognie, ustał w uszach szum, poczułem się silny jak przedtem, gotowy stawić czoła nawet olbrzymowi Enkidu.

— Słyszysz mnie teraz, Entemeno?

— Słyszę cię, ojcze.

Tak, teraz słyszałem, co ojciec mówi do mnie.

— Nie odrzucaj mojej rady. Kubatum uczyni, co jej każesz. Strażnicy przyjmą dary i zgodzą się niczego nie dostrzegać i niczego nie słyszeć. Nie możesz żądać więcej!

Powtarzał swoje rady jak małemu dziecku, głośno i wyraźnie, żebym je dobrze zrozumiał. Ojciec też był zmęczony. Na twarzy mojej matki kładły się sinawe cienie.

— Ja nie chcę — przerwałem, jakiś strach nie pozwolił mi dokończyć myśli, bałem się powiedzieć głośno, że nie mogę kazać pójść milczącej Kubatum do doliny, gdzie wśród wypalonych kamieni kryją się królewskie grobowce.

Gdy ojciec mówił do mnie, matka niezmiernie rzadko zabierała głos, zwykle milczała potakując ruchem głowy jego słowom. Teraz jednak przemówiła:

— Jesteś zuchwały, Entemeno, mój synu. Widzę twoje ukryte myśli. Chcesz zmienić to, czego żaden człowiek zmienić nie może. Chcesz podnieść rękę na własność bogów!

Załamała dłonie i podniosła je nad głową; tak płacze się nad wielkim nieszczęściem.

— Boi się moje serce, że okryjesz nas hańbą, a siebie zgubisz. Mamy tylko ciebie, Entemeno. Nie możemy ci na to pozwolić!

— Wróciłeś tutaj, jak pokonany wojownik 'wraca z pola bitwy — ojciec położył mi rękę na ramieniu. — To nie jest hańba. Uczyniłeś więcej, niż mogłeś uczynić. Jesteś jak rolnik, któremu wiatr zasypał kopany od lat kanał, jak myśliwy, który bez-

skutecznie błądził po moczarach za bawołem, by wrócić do domu z pustymi rękami. Oni nie złorzeczą nikomu, godzą się z wyrokiem bogów. I ty, Entemeno, miast miotać bluźnierstwa, zgódź się z tym, co postanowione. Jesteś młody. Kupimy ci inną niewolnicę, nie będziemy skąpili, wybierzemy młodą i urodziwą. Nikt nie może żeglować pod wiatr, mój synu.

Milczałem.

— Przysięgniesz nam wielką przysięgą, że nie będziesz próbował nierozważnie uwolnić tej niewolnicy z pałacu.

— Nie mogę! Przysiągłem sobie, że ją uwolnię!

— Wychowałem pod swoim dachem stworzenie bez-rozumne jak plamista hiena — ojciec był zrozpaczony, głos jego łamał się — kąsające ostrymi zębami rękę, która je żywiła i głaskała.

— Nie pozwalam ci tego uczynić — głos matki drżał także. — Chyba że chcesz zabić i nas, i siebie!

— Przysięgnij, Entemeno!

— Nie mogę!

Czoło ojca zmarszczyło się jak czoło rozwścieczonego lwa.

— Złożysz natychmiast przysięgę!

Pokręciłem przecząco głową. Ojciec schwycił mnie za rękę, gdy się szarpnąłem, wykręcił moje ramię i powlókł mnie za sobą.

— Nie przekonasz słowami węża. Podaj rzemienie — zwrócił się do matki. — Kto nie słucha głosu rozsądku, ustąpi przed siłą.

Wyrwałem się w zaciętym milczeniu, ale mój ojciec był bardzo silny. Nie mogłem się wyśliznąć z jego rąk, chociaż bardzo tego chciałem. Po chwili ległem w kącie izby skrępowany mocnymi powrozami. Ojciec związał mi nie tylko ręce na plecach, ale i nogi w kostkach tak, jak wiąże się nieposłusznego byka. Po skrępowaniu mnie rzemieniami rodzice usiedli naprzeciw siebie i milczeli oddychając ciężko. Zapadła ogromna cisza. Nie drgnął nawet liść na drzewie ani sucha, spalona słońcem trawa. Zobaczyłem, jak po twarzy ojca toczy się samotna łza i moje serce ścisnęło się bólem. Bardzo chciałem być dla niego i dla mojej matki posłusznym i dobrym synem, ale nie mogłem zostawić samotnej Nin i byłem jak człowiek rozciągnięty na mę-

kach.

Z dalekiej świątyni Enlila doniosła się do moich uszu w przedporannej ciszy pieśń. Mogłem odróżnić każde słowo:

Na początku czarne morze było,
Ziarna jeszcze nikt nie rzucił w ziemię,
Żadne jagnię nie wyszło z łona owcy,
Żadne koźlę nie wyszło z łona swojej matki.
Boga An dzieci, Annunaki
Żuły trawę niczym owiec trzoda,
Piły z bagna gorzką stęchłą wodę,
Zimno przejmowało je do źródła serca.
Enlil rozkazał, by boginie
Z mułu ziemi, z błota wilgotnego
Ulepiły tego, któremu dano Imię.
Zrodzonego z gliny — nazwano — Człowiekiem.

Jeszcze nigdy nie słyszałem tej pieśni. Matka budziła mnie, gdy promienie Utu już z wysoka padały na ziemię. I nagle zatęskniłem strasznie do tamtych poranków, chociaż wtedy udawałem, że nie słyszę wołania matki i naciągając na głowę owczą skórę udawałem, że śpię. Jakie lekkie było moje serce, gdy biegłem ze swoją torbą, w której obok rylców i tabliczek niosłem przysmaki przygotowane ręką mojej 'matki. Jak wesoło było dźwigać na ramieniu dzban, od źródła aż do pałacowej bramy, i rozmawiać z Nin, drepczącą z tyłu. Jak dobrze było pomagać rybakowi z moczarów patroszyć wielkie ryby i czyścić sieci! Ale to wszystko odeszło i minęło. Przez tę jedną noc przestałem być chłopcem pustym jak wołowy pęcherz i wesołym jak młode koźlę i przemieniłem się w dorosłego człowieka.

— Pozwólcie mi odejść — ze zdziwieniem usłyszałem swój własny głos, cienki i słaby jak cykanie szarańczy. — Rozwiążcie mnie i pozwólcie mi odejść.

Moi rodzice milczeli.

Pragnąłem się rzucić w pył u ich nóg, całować ich ręce i zapewnić, że wcale nie chcę ranić ich serc, ale muszę uczynić to, co poprzysiągłem. Zamiast tego szarpałem się tylko w swoich

więzach i zaciskając aż do bólu zęby, milczałem uparcie. Jeśli nie wysłuchali mojego błagania, nie mogłem się poniżać i błagać dalej, jak błaga chłostany niewolnik oprawcę.

I była wielka cisza w naszym domu. Tak musieli milczeć ludzie podczas Wielkiego Potopu, gdy ściany wody runęły z nieba na ziemię i wszyscy nagle pojęli, że nie ma ani ratunku, ani nadziei, ani ucieczki. Tak milczeli moi rodzice, gdy wypowiedzieli już wszystkie swoje słowa, i tak milczałem ja, gdy wykrzyczałem już moją rozpacz. Miałem zamiar poszarpać zębami swoje więzy albo przeczołgać się związany za próg naszego domu. Nie mogłem zostawić Nin bez pomocy, nie mogłem nawet myśleć o tym, że odeszłaby samotnie, ze świadomością, że ją opuściłem. Bo przecież Nin nie wie, że starałem się ją uratować, i myśli, że zapomniałem o niej ze strachu przed karą lub z obojętności, tak jak wędrowiec porzuca bez żalu przypadkowego towarzysza podróży. Im dłużej myślałem o tym wszystkim, tym cięższe stawało się moje serce. I już miałem otworzyć usta, by dalej błagać ojca, gdy nagle usłyszałem rozpaczliwy, zduszony bek owiec. Przeciągle, na trwogę, zaryczały krowy.

Ojciec zerwał się i schwycił krótką włócznię ze ściany.

— Lugaszti, Arnu! — zawołał. — Za mną!

W komorze, gdzie spali niewolnicy, zaklaskały bose stopy.

— Nie idź — matka schwyciła ojca za rękę. — Poczekaj.

Ale ojciec nie słuchał, tylko wybiegł. Za nim wybiegli niewolnicy. Matka zaszamotała się jak strwożony ptak, nie wiedziała, czy ma pobiec w ślad za mężczyznami, czy zostać razem ze mną.

— To chyba lew — zatrwożyła się i załamała ręce. — Chroń ich, Enlilu, nie dopuść nieszczęścia!

— Ojciec da sobie radę z lwem — pocieszyłem matkę. — Nie bój się.

Podeszła do progu i nasłuchiwała, beczenie owiec stało się jeszcze głośniejsze, mieszało się z nim dalekie nawoływanie męskich głosów.

Żeby się czymś zająć, matka zaczęła układać w mojej szkolnej torbie placki i ser. Jej dłonie drżały. Nie patrzyła na mnie i nie zauważyła, że od dłuższej chwili miałem rozluźnione pęta na

rękach. Wiedziałem, że teraz wystarczy jeden silniejszy ruch, by je zsunąć. Rozwiązanie nóg mogłoby być dziełem jednego oka mgnienia.

— Boję się — powiedziała matka. — Zgłodniały lew nie lubi, jak mu przeszkadzać w uczcie. A twój ojciec niczego się nie lęka.

— Gdybyś zdjęła moje więzy, pobiegłbym do niego.

— Nie mogę tego zrobić! A zresztą, ciebie tam jeszcze tylko brakuje!

Udałem, że wcale nie jestem zmartwiony jej odmową. Widocznie uspokoiła ją moja pozorna uległość, gdyż powiedziała:

— Za chwilę wracam. Wyjrzę tylko, co tam się dzieje.

Napiąłem mocno mięśnie i zaraz oswobodziłem dłonie. Wyciągnąłem, nogi i szybko rozsupłałem rzemienie. Byłem wolny! Mogłem pobiec do Nin! Schwyciłem torbę z żywnością. Już byłem gotów, kiedy przypomniałem sobie o skórzanej sakwie, w której ojciec chował klejnoty i pieczęcie. Wiedziałem, gdzie jest ukryta. Miałem chęć zabrać ją z sobą, ale odrzuciłem tę myśl.

Nim matka zdążyła wrócić, wybiegłem chyłkiem z domu i skoczyłem jak pływak do rzeki, głową naprzód, w gęste zarośla obrastające część wzgórza, na którym stał nasz dom. Trochę się bałem, bo pewien odcinek drogi trzeba było przebiec po odkrytej przestrzeni, ale i na to znalazłem radę. Postanowiłem po prostu poczekać trochę w krzakach, przez ten czas matka wróci do domu. Zauważy, że mnie nie ma. Zanim podniesie alarm, na pewno przeszuka wszystkie izby. Znałem dobrze moją matkę i wiedziałem, że tak właśnie będzie.

Czoło miałem mokre od potu, chociaż było zupełnie chłodno, otarłem je wierzchem dłoni. Wtuliłem twarz w wilgotne liście krzewów i zamknąłem oczy. Teraz dopiero usłyszałem przeciągły krzyk (byłem prawie pewien, że poznaję głos mego ojca), po którym zapadła nagła cisza. Na srebrną łódź Nanna, ile bym dał, by być razem z łowcami otaczającymi lwa! Ojciec opowiadał mi wiele razy o takich polowaniach, idzie się na ogromnego płowego lwa z lewą ręką osłoniętą zwiniętym płaszczem, z włócznią gotową do ciosu, wzniesioną nad głową. Trzeba mieć silną prawicę i oczy sokoła, by jednym rzutem przypłaszczyć do

ziemi atakującego lwa. Wielka to chluba być zręcznym myśliwym, ale największą chlubą jest być pogromcą lwów. Ten, kto tego dokona, na zawsze zapisze się w pamięci ludzkiej.

Ale czas naglił, matka już pewno wróciła do domu. Zacząłem rozgarniać przed sobą gałęzie, kłuły mi dłonie ostre ciernie ukryte wśród liści. Usłyszałem nagle ni to westchnienie, ni to przyspieszony oddech; tak oddycha zgonione zwierzę. Przystanąłem bez ruchu, pomyślałem, że ranny lew mógł uciec myśliwym i ukryć się wśród ciernistych zarośli, a ja poza krótkim nożem nie miałem żadnej broni. Westchnienie powtórzyło się. Teraz nie miałem żadnych wątpliwości, coś ukrywało się pod osłoną liści.

Mogłem wrócić do naszego domu, ale to przekreślało wszelkie szanse pomocy dla Nin. Musiałem iść dalej i przejść obok ukrytego niebezpieczeństwa, cokolwiek to było. Nie istniała żadna inna droga, kępa krzaków była niewielka, ale zapewniała mi możliwość dotarcia co najmniej do połowy naszego wzgórza.

Pod stopą trzasnęła mi gałązka. Pochyliłem się i wtedy kątem oka dojrzałem przez gęste zarośla skrawek przepaski. Lew ani demon nie noszą odzieży. Już się nie bałem. W kępie krzaków ukrywał się człowiek, z krwi i kości, a ja się nie lękałem ludzi.

Ruszałem się umyślnie wolno, by zmylić przyczajonego przeciwnika. Noga obsunęła mi się w niewidocznym wykrocie, potknąłem się i runąłem jak długi. Gdy padałem, coś przemknęło obok mnie, zdążyłem wyciągnąć ręce i wczepiłem się na oślep w uciekającego (poczułem pod palcami rzemienie sandała). Szarpnąłem. Nieznajomy upadł, padając uderzył boleśnie kolanami w mój brzuch. Zwinąłem się z bólu. Rozpoczęła się krótka, zacięta walka.

Byłem dobrze wyćwiczony we wszystkich chwytach walki zapaśniczej, pokazywał mi je ojciec, uczyli domowi niewolnicy, często, gdy opuszczaliśmy szkołę, urządzaliśmy w zacisznym miejscu prawdziwe turnieje. Zdarzyło się też, że wysłużony żołnierz ze straży pałacowej włączył się do naszych walk i pokazywał nam wszystkie niezawodne chwyty. Jednym słowem, był ze mnie nie najgorszy zapaśnik. Mój nieznany przeciwnik walczył nieczysto, gryzł i drapał jak osaczony kot, miotał się po ziemi

we wszystkie strony. Za wszelką cenę chciał się wyrwać z moich rąk. Ale to nie było łatwe.

Podczas zmagań nie miałem czasu patrzeć w twarz przeciwnika. Zresztą nie obchodziło mnie to, z kim walczę. Gdy go pokonam, będę miał czas na zastanowienie się. Już wiedziałem, że go pokonam, był dużo słabszy ode mnie i wyraźnie stawiał opór ostatkiem sił.

Gdy wreszcie mój przeciwnik legł na ziemi jak zdychająca jaszczurka, a ja ukląkłem na jego piersi — spojrzałem w jego

twarz,

Spojrzałem i miałem ochotę przetrzeć oczy, jak człowiek budzący się z ciężkiego snu.

Prędzej uwierzyłbym, że gwiazda spadnie mi na głowę, że rzeka popłynie z powrotem do źródeł, że odnajdę ziele dające nieśmiertelność, że owca przemówi do mnie ludzkim głosem! Tak, prędzej uwierzyłbym w te wszystkie rzeczy niż w to, co zobaczyłem w zaroślach o pierwszym porannym brzasku!

Na ziemi przede mną leżał... Lugal-azida!

Wyglądał strasznie. Ubłocony, brudny, zmoczony nocnym deszczem, dzwoniący zębami. Podczas walki rozciąłem mu brew, mocno krwawił. Przyszło mi do głowy, że być może chodził za mną krok w krok przez całą noc. Nie, to niemożliwe, tchórzliwy Lugal i nocne ciemności! A jednak? Skąd się wziął tutaj? Dlaczego tak dziwnie wyglądał? Czego szukał czając się pod naszym domem?

— Przyznaj się — klęczałem jeszcze ciągle na jego piersi. — Przyznaj się, że mnie szpiegowałeś!

Milczał trzęsąc się jak obity pies. Popatrzyłem mu prosto w oczy.

— Odpowiadaj, bo będzie źle! Dlaczego mnie szpiegowałeś?

Nie odpowiedział.

Przemknęło mi przez myśl, że Lugal śledził mnie na polecenie świątyni. Pełnił posługi przy naszym czcigodnym nauczycielu, ciągle miał jakieś sprawy na zewnętrznym dziedzińcu. To było zupełnie możliwe. Przycisnąłem mocniej kolanem jego pierś.

— Radzę ci mówić. Dlaczego mnie szpiegowałeś? Było coś takiego w moim głosie, że Lugal poruszył wargami, chciał odpowiedzieć.

— Głośniej! Kazał ci nauczyciel?

— Nie.

— Ktoś ze świątyni?

— Nie. Ja sam.

— Co to ma znaczyć, „ja sam"? Odpowiadaj!

Kiedy tak leżał drżąc, zauważyłem, jaki ten lizus Lugal jest mały i chudy. Był moim rówieśnikiem, a nie sięgał głową nawet mego ucha. Można mu było policzyć wszystkie żebra, podobne

do rybich ości. Ręce i nogi miał jak zeschnięte badyle. Nawet mały koziołek nie dałby się mu zaprowadzić za rogi do zagrody.

— Dlaczego chodziłeś za mną? — powiedziałem dużo łagodniej, niż zamierzałem. — Jeżeli powiesz prawdę, nie zrobię ci nic złego.

Coś wyszeptał. Nie usłyszałem.

— Mów głośniej!

— Pozwól mi iść z sobą do pałacu — powtórzył.

ROZDZIAŁ V

W którym wyjaśnia się jeszcze jedna tajemnica

Chociaż odpędzałem Lugala, prosiłem go i tłumaczyłem, poszedł za mną krok w krok, głuchy na to wszystko, co mu mówiłem. Człapał za moimi plecami ze zwieszoną głową i opuszczonymi bezsilnie wzdłuż bioder rękami. Przypominał chorego sępa, którego ktoś oskubał z piór i wypuścił na swobodę.

— Jestem twoim Starszym Bratem — oświadczył mi wreszcie kategorycznym tonem. — Musisz mnie słuchać, i już.

Roześmiałem się, chociaż mi wcale nie było do śmiechu. Owszem, w szkole, przed obliczem czcigodnego nauczyciela, Lugal może być moim Starszym Bratem, a ja jestem skłonny udawać, że szanuję jego rady i pouczenia. Ale teraz? Przez tę noc zapomniałem zupełnie, że istnieją na świecie takie rzeczy, jak tabliczki, rylce i zadania rachunkowe! Tylko Lugal może sądzić, że powinien teraz roztaczać nade mną opiekę. Powiedzmy, że pójdzie za mną, nie będę się z nim drugi raz bił, to nie ma sensu. Powiedzmy, że potem powtórzy wszystko czcigodnemu nauczycielowi. I co z tego? Ja nigdy już nie wrócę na naukę. Uwolnię Nin i ucieknę do innego miasta. Prędzej czcigodny nauczyciel zobaczy szatę utkaną z promieni słońca niż mnie przed swoim obliczem! Mogę więc zlekceważyć obecność człapiącego Lugala. Jest nieszkodliwy jak jadowity wąż, któremu wyrwano zęby. Tak, ale Lugal może się okazać inaczej niebezpieczny. Może mnie zdradzić przed strażą, może ostrzec pilnujących naznaczonych krwawym piętnem, by zwrócili szczególną uwagę na Nin. To też prawda.

— Spróbuj mi tylko przeszkodzić — odwróciłem się i pogroziłem Lugalowi kułakiem.

— Przecież idę z tobą.

— Pewno po to, żeby ostrzec straż.

— Mógłbym to zrobić bez ciebie.

Naturalnie, Lugal nie musiał człapać za mną, by ostrzec straż! Miał słuszność, ja jej nie miałem. Mimo to nie byłem wcale mądrzejszy. Lugal szpiegował mnie przez całą noc. Dotąd wszystko jasne. Ale dlaczego, na siedmiu straszliwych sędziów Anunnaki, dlaczego Lugal zaofiarował mi swoje towarzystwo? Dlaczego idzie za mną do pałacu? Nie, tego nie pojmowałem.

Już nad płaskimi dachami niektórych domów poczęły się ukazywać smużki szarego dymu, nieomylny znak, że gospodynie rozniecily z przysypanego popiołem zarzewia poranne ogniska. Na ulicy było jeszcze pusto, minął nas tylko nagi chłopczyk poganiający brodatą kozę, błyskającą nieufnie żółtymi oczyma.

— Odczep się wreszcie. W niczym mi nie pomożesz. Będzie gorzej, kiedy wpadnę w złość.

— Pójdę z tobą.

— Wiesz doskonale, że zamierzyłem coś bardzo trudnego. Możesz o tym powiedzieć nauczycielowi, nie stoję o to wcale.

— Nikomu nie powiem — mruknął Lugal.

— Tak? A kto skarżył na nas wszystkich? Może nie ty?

— Ja. I co z tego?

— Nic. Skądże zrobiłeś się nagle taki szlachetny! Lugal zatrzymał się i zacisnął pięści, myślałem, że się na mnie rzuci.

— Daj mi spokój.

— A ty się odczep ode mnie.

— Nie chcę. Pójdę z tobą. Wcale się ciebie nie boję.

— Jak sobie chcesz — machnąłem z rezygnacją ręką. — Ale cię ostrzegam. Jeśli mi w jakikolwiek sposób przeszkodzisz, możesz być pewny, że nie będziesz się cieszył blaskiem Utu.

— Nie gadaj tyle. Pospiesz się.

Stanowczo nie rozumiałem zamysłów Lugala. I nie miałem czasu zastanawiać się nad nimi. Musiałem się spieszyć. Wkrótce otworzą bramy pałacu. A ja muszę tam być przed kapłanami ze świątyni Enlila, którzy przyniosą naznaczonym święty napój, zaciemniający oczy i rozum człowieka.

Byliśmy już zresztą bardzo niedaleko od. pałacu. Sennie zawodziły płaczki, teraz już je słyszałem. Na pałacowym murze dudniły kroki, to straże czuwały nad snem króla.

— Umiesz naśladować nocnego ptaka? — spytał nagle Lugal.

W pierwszej chwili nie zrozumiałem. Ale on miał rację. Przecież sam słyszałem, jak rybak tym sygnałem zawiadomił brata, że czeka i chce z nim mówić.

— Nie umiem — przyznałem z rozpaczą. Wszystko przepadło przez takie głupstwo! Ja, który potrafię naśladować bek zagubionego jagnięcia, skwierczenie głodnych sępów wypatrujących żeru, szczekanie szakala, jęk hieny, ryk osła, nigdy nie pomyślałem o tym, żeby się nauczyć zewu nocnego ptaka.

— Ja umiem.

— Naprawdę? Zrobisz to?

— Tak. Tylko podejdziemy od strony rzeki do murów. Będę wołał z tego samego miejsca, co rybak.

— Chodziłeś za mną po moczarach!

— Uhum. Nawet myślałem, że rybak mnie wypatrzył. Musiałem się położyć jak długi w mokradle. Na szczęście było ciemno.

Okrążyliśmy pałac. Odnalazłem miejsce, gdzie leżałem w nocy, trawa była jeszcze zgnieciona. Lugal zakwilił trzykrotnie jak nocny ptak.

— Myślisz, że strażnik wyjdzie na mur? — szepnąłem.

— Nie. A ty nie widziałeś, jak oni się spotkali?

— Bałem się i nie patrzyłem. Noc była pełna demonów.

W tej chwili usłyszałem ciche skrzypnięcie wrzeciądzy. Nigdy bym nie zauważył ukrytej w murze furtki. Była doskonale zamaskowana od zewnątrz. Człowiek, który wyszedł, nosił opaskę straży pałacowej, płat tkaniny miał zarzucony na ramię, obciskał go szeroki skórzany pas. Przysłonił ręką oczy i zawołał półgłosem:

— Szukallituda, jestem. Podniosłem się ze swego miejsca.

— Witaj — pozdrowiłem strażnika. — Chcę z tobą mówić.

Wyszarpnął zza pasa nóż.

— Kim jesteś? Skąd znasz hasło mego brata? Mów zaraz, jeśli ci życie miłe.

— Uspokój się, czcigodny. Twój brat, rybak Szukallituda, prosił cię o coś w moim imieniu.

— Ty jesteś Entemena?

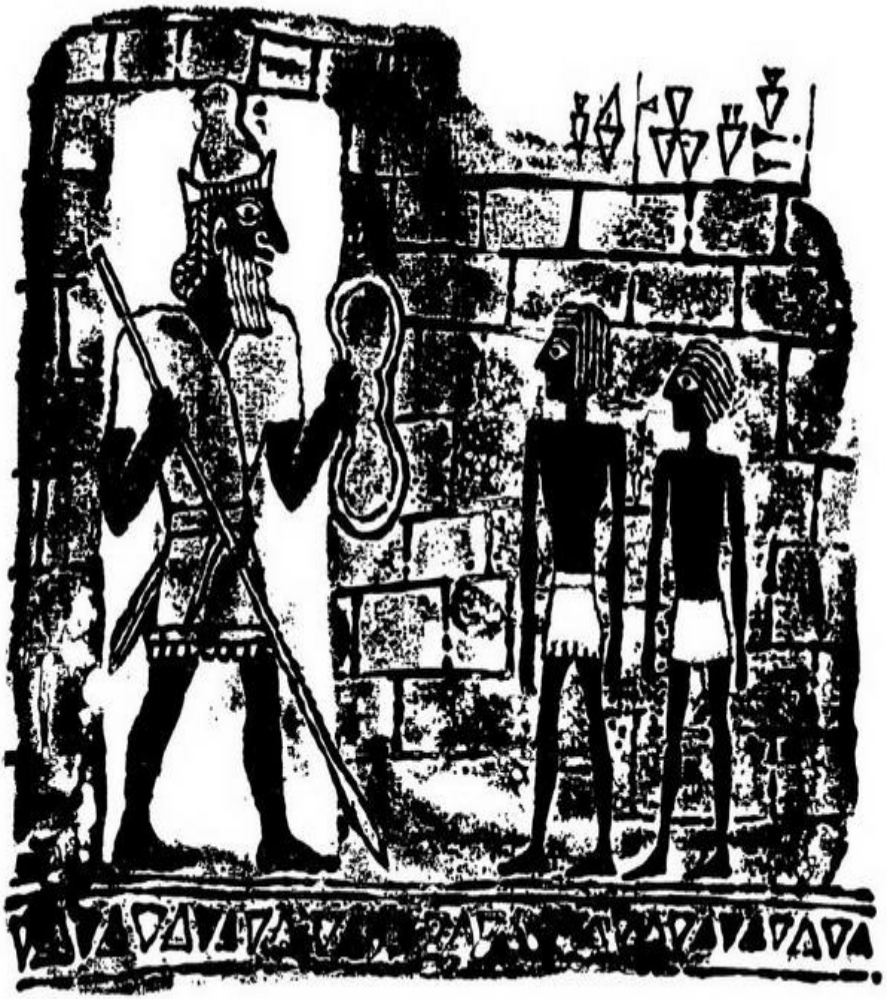

— Ja sam.

— Przynosisz polecenie ze świątyni Enlila? Wsunął nóż za pas.

— Nie, nie mam takiego polecenia.

— Więc po co przychodzisz? Wyraźnie powiedziałem bratu, że nie chcę obrażać bogów. Ereszkigal jest bardzo mściwa. Bez zezwolenia wielkiego kapłana nie mogę uwolnić nikogo z naznaczonych.

— Przecież nie wiesz, o kogo proszę, ja nie powiedziałem tego twemu bratu, rybakowi Szukallituda.

— Ktokolwiek to jest, nie zmienię postanowienia.

— Ona nazywa się Nin-dada — brnąłem rozpaczliwie, chociaż wiedziałem już, że nie przekonam go i nie zmiękczę jego serca. — Na pewno ją .znasz. Jest bardzo młoda. Mogłaby być twoją córką.

— Nin-dada? Ta mała niewolnica z dzbanem?

— Tak!

— Przykro mi, mój chłopcze, ale nie mogę nic dla ciebie zrobić. Żal mi tej małej. Nieraz przynosiła mi wodę, kiedy w południowy skwar trzymałem straż na murze przy wielkiej bramie. Jednak nie złamię prawa ani dla niej, ani dla nikogo innego. Nie mam czasu, żeby z tobą dłużej rozmawiać.

Już odchodził. Padłem na kolana i wyciągnąłem ręce. Chciałem go zakląć wielkim zaklęciem, przemienić jego myśli. Lecz nim zdążyłem wyrzec pierwsze słowo, zza krzaka podniósł się zabłocony Lugal i padł na kolana obok minie.

— A kto to znowu? — zdumiał się strażnik.

— Jestem bratem tej niewolnicy — zawołał Lugal. — Nie mam ani domu, ani rodziców, ani krewnych, tylko ją jedną jedyną na całym świecie. Jeśli jesteś równie dobry jak mężny, wysłuchasz mego błagania.

— Czy to prawda? — zapytał strażnik zwracając się do mnie.

— Prawda. Jestem przyjacielem tego chłopaka. Nie mogę patrzeć na jego boleść.

W głębi ducha odczuwałem podziw dla Lugala. Tak szybko obmyślił takie mądre kłamstwo! Gdybym dumał od wschodu do zachodu Utu, nie wymyśliłbym nic lepszego. Nasze przysłowie powiada, że przyjaźń jest jak cienka nić, a pokrewieństwo jak gruby łańcuch. I może dlatego strażnik wysłucha błagania brata Nin-dady. No, no, że coś takiego wpadło do głowy Lugalowi, kościstemu jak rybi szkielet i słabemu jak ślepe szczenię. To powinienem wymyślić ja, ale mnie to wcale nie wpadło do głowy.

— Siostra, powiadasz? — zastanawiał się półgłosem strażnik. — Ale ty chyba nie przychodziłeś nigdy do niej? Ja cię nie widziałem. Tego twojego przyjaciela widywałem rankami, jak czekał przy źródle, a ciebie nigdy.

— Spotykałem się potajemnie z siostrą. Ona bała się kary. Starałem się, żeby nas nie widziało żadne oko.

— No, jeśli to twoja siostra... — westchnął strażnik. — Zobaczę, może da się coś zrobić.

— Uwolnisz ją?!

— Tego nie powiedziałem. Może będę mógł ci ułatwić widzenie z siostrą. Przynajmniej na pożegnanie. I to coś warte.

Tak powiedział do Lugala.

— A ja? Czy ja będę się z nią mógł zobaczyć?

— Nie, ty nie. Wprowadzając brata tej małej i tak ryzykuję głową. Nie mogę wprowadzić was dwóch. Brat jest bratem.

Rozejrzał się uważnie dookoła. Z murów[1] nikt nie mógł nas widzieć, osłaniały nas trzciny i garb niewielkiego pagórka. Ponieważ mówiliśmy bardzo cicho, nikt nie mógł także usłyszeć naszych głosów.

— Zaczekajcie tutaj, dam wam znak.

— Więc wprowadzisz nas obu?

— Nie. Wprowadzę brata małej niewolnicy. Ty możesz odejść albo poczekać z nim, jeśli wolisz. Ale jeden warunek. Ukryjcie się tak, by was nie zauważono z murów.

Dotknął ramienia Lugala.

— Jesteś chudy jak wygłodzony szakal. Nie przyniosę ci szaty pałacowego sługi, bo ludzie w pałacu w porównaniu z tobą są podobni do karmnych wieprzy. Chyba cię wprowadzę jako wędrownego przekupnia. Nic się nie bój. Zobaczysz jeszcze siostrę. Moja w tym głowa.

Cicho skrzypnęło zamaskowane wejście. Strażnik odszedł.

— Nie ośmielisz się — ścisnąłem rękę Lugala tak mocno, że zbielały mu kostki. — Nie ośmielisz się pójść do niej. Ja pójdę.

— Strażnik wpuści tylko brata Nin.

— Dobrze to wymyśliłeś, przyznaję. Ale nie masz prawa. To ja mam prawo, bo ja ją mogę uratować, nie ty.

— Ty zostaniesz.

— Nie. Prędzej słońce spadnie mi na głowę. Nie wolno ci tego zrobić. Nin musi zobaczyć mnie, a nie kogoś obcego. O co ci chodzi? Czego chcesz? Brat! Prędzej okaże się, że orzeł jest bratem cuchnącego ścierwnika niż ty bratem czyimkolwiek. —

Sam nie wiedziałem, co mówię, ze złości i podniecenia język plątał mi się jak ryba uwikłana w sznury sieci. — Ośmiel się tylko. Powtórz jeszcze raz, że jesteś jej bratem...

— Jestem bratem Nin. Naprawdę jestem bratem Nin.

Osłupiałem. Czułem się jak ktoś, komu nagle runął na głowę dach jego własnego domu.

Nie, to niemożliwe. Musiałem się przesłyszeć. Albo Lugal zwariował. Od tego śledzenia mnie w nocy demony mogły zaćmić jego rozum. Są takie małe, ale szczególnie niebezpieczne demony, które potrafią wnikać wraz z oddechem do ludzkiego serca. Widocznie Lugal w nocnych ciemnościach natrafił na jednego z nich.

— Połóż się — powiedziałem, jak potrafiłem najłagodniej. — Odpocznij sobie. Staraj się zasnąć. Potem porozmawiamy. Chcesz, to będę odganiał od ciebie muchy.

— Nie chcę — patrzył na mnie oczyma płonącymi gniewem. — Czy sądzisz, że postradałem zmysły?

— Wcale nie. Ale lepiej się połóż.

— Nie położę się. Dlaczego mi nie wierzysz? Wypowiedział te słowa z takim gniewem, że uznałem, że trzeba mu przyznać słuszność.

— Ależ ja ci wierzę. Niepotrzebnie się złościsz.

— Czy myślisz, że gdyby Nin nie była moją siostrą, łaziłbym za tobą krok w krok? — machnął desperacko ręką. — Teraz już wiesz wszystko. Możesz mnie zgubić, jeśli chcesz.

Objął rękami głowę i tak zastygł. Widziałem, jak spod półprzymkniętych powiek wypłynęły dwie łzy.

A jeśli Lugal mówi prawdę? To wszystko było takie nieoczekiwane i nagłe, nie mogłem zebrać myśli, które jak przerażone owce rozbiegały się na wszystkie strony. Lugal jest bratem Nin! Przynajmniej tak twierdzi. Zaraz, zaraz... czyim synem jest Lugal? Mieszka w domu czcigodnego nauczyciela, usługuje mu, roznieca ogień, nosi wodę, ale nie jest przecież niewolnikiem, bo nie mógłby chodzić na naukę do szkoły. Szkoła jest dla synów wolnych ludzi. Nie jest także synem czcigodnego nauczyciela. Więc kim jest? Widywałem go od paru lat, często nauczyciel wyznaczał mi na macie miejsce obok Lugala, kiedyś we-

pchnąłem go do kanału, kilkakrotnie szturchnąłem, uważałem go za lizusa i skarżypytę, a w ogóle nie zawracałem sobie nim nigdy głowy. Jeżeli kiedykolwiek myślałem o nim, to ze strachem, ponieważ obawiałem się, że Lugal-azida może wyśledzić moje wyprawy pod pałac czy nad rzekę i donieść o tym nauczycielowi albo memu ojcu. I to było wszystko, co mogłem powiedzieć o Lugalu.

A jeśli to prawda, że Lugal jest bratem Nin? W takim razie byłby niewolnikiem, jak ona. A nie jest. Więc chyba kłamie.

— Przestań beczeć — zwróciłem się ostro do niego. _ Siadaj. Mam tu w torbie coś do jedzenia. Jak zjemy, zastanowimy się, który z nas będzie rozmawiał z Nin.

Wytarł kułakiem oczy. Na przepaskę Inanny, przez chwilę, ale była to bardzo krótka chwileczka, wydał mi się podobny do małej Nin.

Rozłożyłem ser, podpłomyki, suszone owoce (moja matka jest najlepsza na świecie) i zabrałem się do jedzenia. Lugal z początku boczył się jeszcze, jak wy-chłostany pies, który nie chce podejść do swego pana, ale potem przysiadł obok mnie.

— Ty mnie zawsze odpędzałeś od siebie, Entemeno — powiedział. — A ja chciałem, żebyś został moim przyjacielem. Nin mówiła o tobie, że jesteś dobry i mądry, i ja jej wierzyłem.

— Ja się nie przyjaźnię z lizusami, którzy od rana do nocy tkwią nosem w zapisanej tabliczce. Chyba wiesz o tym. Ale że wymyśliłeś tę bajeczkę o bracie Nin, musisz tutaj zostać.

Lugal pokręcił głową.

— Powiedziałem prawdę.

Wepchnąłem wielki kawał sera do ust, omal się nie udławiłem. On znowu swoje! Cierpliwość moja była podobna do cienkiej nici, jeszcze jedno szarpnięcie, a pęknie.

— Powiem ci coś, Lugalu. Albo ciemność nocy nadwerężyła twój rozum, albo chcesz mnie oszukać, tylko nie wiem, co ci z tego przyjdzie. Musisz mi przysiąc na Ereszkigal i siedmiu piekielnych sędziów, iż śledzisz mnie dlatego, że pragniesz ratować Nin. Jeśli nie przysięgniesz, odpędzę cię. Powtarzaj za mną!

Nie zaprotestował. Wstał i wyciągnął rękę w stronę Utu wyta-

czającego swą złotą tarczę na wschodzie nieba.

— Niech mnie sądzi straszliwa Ereszkigal, niech siedmiu piekielnych sędziów patrzy w moje serce — powtarzał za mną — jeśli poszedłem za Entemeną w innym celu niż ten, by ratować dziewczynę zwaną Nin-dada.

Niech mnie porwą demony wielkie i małe, niech się ziemia otworzy pod mymi stopami, jeśli kłamię.

Niech zgaśnie Utu przed moimi oczyma, niech Enki pomiesza mi rozum, a Bau ukarze mnie chorobami, jeśli kryję w sercu podstęp i fałsz.

Opuścił wyciągniętą rękę. Nie przekręcił ani słowa.

— Jesteś moim sprzymierzeńcem — ująłem jego dłoń w swoją. — A teraz powiedz mi prawdę.

I wtedy usłyszałem opowieść Lugala. I więcej. Uwierzyłem w nią. Uwierzyłem w każde słowo, które wypowiedział.

— Nie pamiętam mego domu, Entemeno. Nie wiem, czy nasi dobrzy rodzice byli ludźmi bogatymi, czy biednymi. Pamiętam tylko, jak zapłonęły domy w mieście mego dzieciństwa, jak gdzieś biegliśmy krzycząc z trwogi, chociaż nie wiedzieliśmy, przed czym uciekamy. Bo do tamtego miasta wtargnęli żołnierze w szerokich pasach z bawolej skóry, zbrojni we włócznie i topory. Miasto płonęło, waliły się domy, a oni chwytali ludzi i pędzili ich jak owce na plac przed świątynią. A może to wcale nie była świątynia? Tak mi się zdaje, ale nie jestem pewny. "Zaraz mnie złapali, bo dźwigałem na plecach Nin. Ona jeszcze nie miała dwóch lat i płakała. Gdyby nie płakała, toby żołnierze nas nie znaleźli, wcisnęliśmy się pod kolczasty żywopłot i wcale nie było nas widać. Ale ona zapłakała i jeden żołnierz wywlókł nas spod żywopłotu jak piaskowe szczury z nory.

— Nie zrobię na takich dzieciakach dobrego interesu. Kto toto kupi? — powiedział, a ja zrozumiałem jego mowę, chociaż mówił inaczej niż my, ale przecież podobnie. Wziął Nin pod pachę jak małe jagnię, które jeszcze nie potrafi biegać, a mnie pognał drzewcem włóczni przed sobą.

Potem wędrowaliśmy przez pustynię, piasek parzył stopy, słońce o zachodzie oblewało szare piaski krwią. Strasznie chciałem pić i Nin też, dopiero wieczorem tamten żołnierz

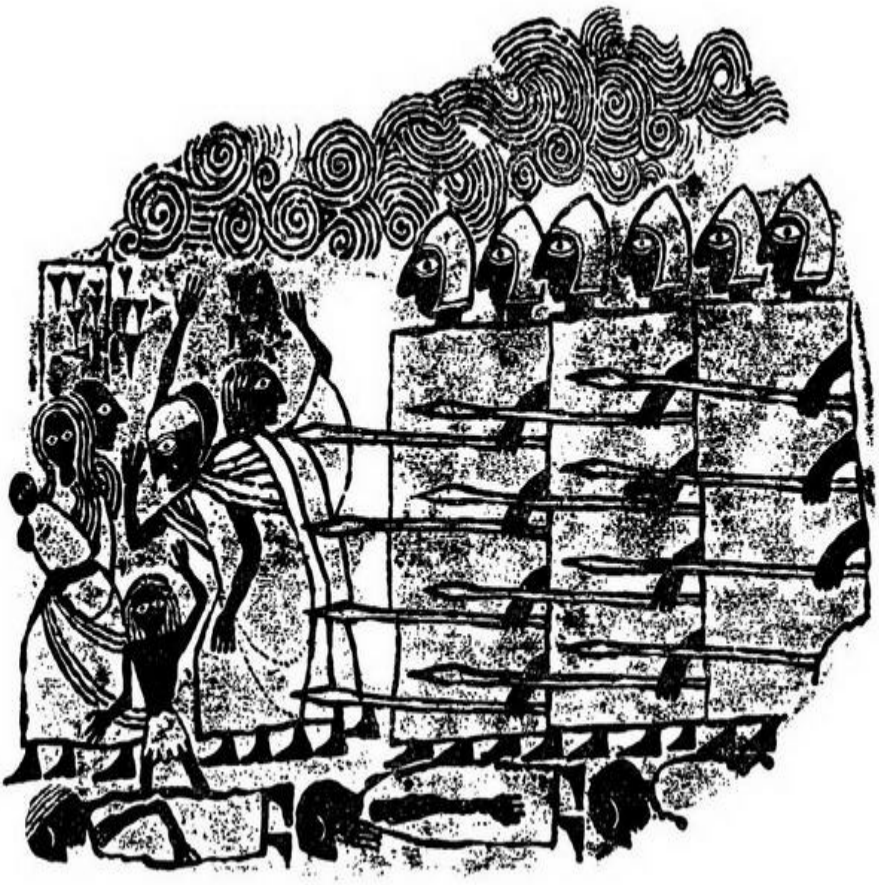

przynosił nam skórzany bukłak i mogliśmy cieszyć się świeżym smakiem wody. Ten żołnierz nie był zły. Opatrzył poranione stopy Nin i sadzał ją na grzbiecie jucznego osła, kiedy już nie mogła iść dalej. Mnie nie sadzał, bo ja już miałem pięć lat i byłem chłopcem, ale nie bił mnie surowym rzemieniem i karmił co dzień.

Przez tę drogę wychudłem jak głodny szakal, nocami rzucałem się w gorączce po piasku. Pewno ten żołnierz wolałby mnie zostawić na pustyni, ale był dobrym człowiekiem, więc nie zrobił tego. I tak przybyliśmy wreszcie do waszego miasta.

Wielu rzeczy nie potrafię sobie przypomnieć, ale doskonale

pamiętam, jak żołnierz wyprowadził nas oboje na plac targowy, gdzie wystawiono już na sprzedaż setki niewolników — dorosłych i dzieci. Ludzie chodzili sobie między nimi i wybierali.

Parę razy ktoś przystanął przed Nin i pytał o jej cenę.

— Ho, ho, za to można by kupić świątynię Enlila — mówił, gdy usłyszał, ile żołnierz żąda za Nin.

— To kup sobie świątynię.

— Phi, pewno, wolę kupić świątynię niż takie dziecko. Po co mam cię wzbogacać, jeśli ta mała dopiero za wiele lat nauczy się domowej roboty.

O mnie nikt nie spytał. Byłem chudy i mały jak na swój wiek. Bolały mnie oczy od pustynnego słońca. Kaszlałem.

Potem ludzie na targu rozstąpili się, niektórzy padli na twarz. Pod wachlarzami z piór kroczyła najdostojniejsza Szubad, po jej lewej i prawej ręce szły młode niewolnice, unosił się wonny dym. Najdostojniejsza Szubad świeciła od złota jak tarcza Utu, złote kwiaty lśniły w jej włosach, złoty naszyjnik opasywał jej szyję, złote pierścienie migotały na jej palcach, dźwięczały złote zausznice.

Nin była mała i głupia. Kiedy zobaczyła, że najdostojniejsza Szubad błyszczy jak drogi kamień, podbiegła do niej. Pałacowy niewolnik chciał ją odgonić. Najdostojniejsza Szubad skinęła dłonią, żeby nie odpędzał.

Żołnierz, który nas wystawił na sprzedaż, padł na twarz przed skarbnikiem i wołał:

— Jestem tylko biednym człowiekiem! Ta dziewczynka jest ładna i zdrowa. Nie rujnujcie nędzarza, dostojni! Sam szedłem przez pustynię piechotą wioząc na ośle to dziecko. Spójrzcie na moje stopy.

Skarbnik pałacowy rzucił na ziemię parę cienkich pierścieni, nie patrząc na błagającego żołnierza. Jedna z niewolnic wzięła za rączkę Nin. Mała rozpłakała się cienko i żałośnie.

— Nie chcę, nie chcę... Zawołałem:

— Nie zabierajcie jej! To moja siostra!

To znaczy teraz myślę, że tak zawołałem, bo nie pamiętam, co wołałem naprawdę. W każdym razie wyciągnąłem ręce i też się rozpłakałem.

— Ten dzieciak jest chory i brzydki — skrzywił się ktoś z otoczenia najdostojniejszej Szubad.

— Wolałbym kupić małego szakala.

— Patrzcie, jakie ma złe oczy. Tylko patrzeć, jak zacznie kąsać.

— To brat tej małej? Ona taka ładniutka, a ten...

Wokół słyszałem śmiech i szyderstwo, ale nie to bolało mnie najbardziej. Moje serce rozdzierała myśl, że zabierają Nin i że zostaję sam.

Zbeczany, zapuchnięty stałem przed żołnierzem. Najdostojniejsza Szubad dawno już odeszła w wiewie piór i obłokach kadzidła, a Nin odeszła w jej orszaku.

— Panie mój — szepnąłem widząc, że żołnierz ma w oczach łzy.

— Idź sobie, gdzie cię nogi poniosą — zawołał ze złością. — Nie chcę cię widzieć. Wszystko przez moje głupie, dobre serce. I oto mam nagrodę — pokazał parę cienkich pierścieni, zapłatę otrzymaną od skarbnika za Nin.

Chociaż odpędzał mnie, biegłem za nim. Płakałem. Bo gdzie miałem iść w obcym, złym mieście? Byłem brzydki i nikt nie przygarnąłby mnie nawet za darmo.

Wreszcie zniecierpliwiony żołnierz odwrócił się do mnie:

— Nie mam jedzenia dla moich własnych dzieci i nie będę cię żywił. Zrozumiałeś?

Teraz wiem, że mówił prawdę, bo żołnierz żyje tylko z tego, co zdobędzie na wyprawie wojennej, ale wtedy nie rozumiałem. Więc czepiałem się jego rąk i płakałem tak głośno, że zebrała się spora grupka ludzi, która przysłuchiwała się w milczeniu mojej rozpaczy. Żołnierz nie wiedział, co ma robić. Chyba trochę mnie żałował, ale starał się tego nie okazywać.

— Co to za dzieciak? — spytał któryś z widzów okryty szerokim płaszczem, z rylcem wetkniętym za pas.

— Mój niewolnik.

— Dlaczego go odpędzasz?

— Nikt go nie chciał kupić. A mnie nie stać na żywienie niewolnika. I to jeszcze takiego.

W istocie dzieciak jest chudy i chorowity. Więc go naprawdę wypędzasz?

— Tak.

— Ja go wezmę. A was — tu mężczyzna z rylcem zwrócił się do obecnych — biorę na świadków, że ten oto mężczyzna oddaje mi dobrowolnie na własność chłopca i nigdy nie będzie za niego żądał kruszcu ani zboża. Zgadzasz się?

— Weź go sobie, panie. Nie wiem, kim jesteś, ale niech cię Enlil błogosławi. Zdejmujesz ciężar z moich ramion.

I to było wszystko.

Ta chwila litości sprawiła, że znalazłem się w domu czcigodnego nauczyciela, Wielkiego Brata, który oświecał umysły chłopców, wskazując im znaki pisma i wtajemniczając w kreślenie liczb.

Nauczyciel był dla mnie dobry. Dawał mi jeść i okrywał na noc owczą skórą. Kiedy stałem się już trochę silniejszy, myłem naczynia szorując je drobnym piaskiem i zanurzałem w rzece jego szaty, a potem deptałem je z popiołem ogniska, by były białe i czyste. Zbierałem także trzcinę i suchy nawóz i pasłem dwie kózki, które nauczyciel otrzymał od jednego ojca swego ucznia.

Ale nie byłem szczęśliwy ani spokojny. Często myślałem o Nin.

— Moją siostrę kupiła wielka królowa, panie — ośmieliłem się powiedzieć któregoś dnia do nauczyciela. — Pewno jest w pałacu.

— Tęsknisz za nią?

— Chciałbym ją zobaczyć, panie.

— To nie będzie takie łatwe. Jak ma na imię twoja siostra?

— Nin-dada. Ale może nazywają ją inaczej.

— Tak, to możliwe.

Nie mówiliśmy o tym więcej. Tym bardziej że nauczyciel dla zabawy zaczął mnie uczyć kreślenia znaków. Byłem pojętny, a on mnie chwalił. Opowiadał mi też wiele ciekawych historii.

— Jak się wyuczysz na biegłego pisarza albo rachmistrza, Lugalu, oddam cię do świątyni. Będę miał zasługę przed bogami.

— Nie chcę iść do świątyni. Wolę zostać z tobą, panie.

— Hm, powiadasz, że wolałbyś zostać? To się jeszcze zobaczy.

Potem zaprowadził mnie do szkoły. Koledzy mnie bili i popychali, może dlatego, że byłem słabszy niż oni, może dlatego, że

moja mowa była trochę inna niż ich. Kiedy umiałem już na tyle czytać i pisać, że polecono mi kopiowanie tekstów starych legend, poczułem się szczęśliwy. Może dla kogo innego to nie była żadna przyjemność, ale ja nie znałem nic milszego niż rzędy znaków, które otwierały przede mną nowy świat. Mogłem nie pić i nie jeść, nie spać, nie biegać, ale musiałem czytać.

Wtedy trochę zapomniałem o Nin. Minęło zresztą tyle czasu, a czas .zaciera wspomnienia, jak wiatr ślad stóp wędrowca.

Czułem w swoim sercu wielką wdzięczność dla swojego nauczyciela. Tak wielką, że sam nie wiedziałem, jak mu ją okazać. Dbałem o to, by ani jedno źdźbło nie szpeciło gliny podłogi w naszym domu, deptałem starannie szaty z popiołem, zastawiałem sidła na ptaki, zbierałem pachnące zioła i wieszałem je nad jego wezgłowiem. Ale to wszystko było jeszcze za mało.

Teraz już wcale nie myślałem o Nin. Aż pewnego dnia, to było w tym roku, przed pierwszymi żniwami jęczmienia, nauczyciel powiedział do mnie:

— Twoja siostra nosi wodę w pałacu. Dowiedziałem się o tym, kiedy wezwano mnie, bym zaklął demona, który dręczy najczcigodniejszą królową bólami głowy. Możesz ją zobaczyć, jeśli pobiegniesz rano do źródła przy bramie.

Czy pobiegłem? Tego ranka zerwałem się jeszcze przed wschodem Utu, natarłem włosy łojem i włożyłem najbielszą przepaskę. Nogi mnie niosły jak burza Iszkura.

Przy źródle jeszcze nikogo nie było. Czekałem. Ale zamiast Nin przyszedłeś ty, Entemeno. Usiadłeś na kamieniu przy źródle i patrzyłeś na bramę pałacu. Gdy ukazała się dziewczyna z dzbanem, podbiegłeś do niej. A ja, ja nie mogłem postąpić ani kroku naprzód. Bałem się ciebie, bo dokuczałeś mi najbardziej ze wszystkich, drwiłeś ze mnie i przedrzeźniałeś mnie.

„Więc ta mała dziewczynka o brwiach wąskich jak skrzydła sępa to moja siostra? Pewno mnie nie pamięta."

Tego dnia nie podszedłem do niej. I następnych dni także nie. Ile razy szła z dzbanem do źródła, ty, Entemeno, byłeś w pobliżu. Więc zacząłem chodzić za tobą, śledzić cię.

Któregoś dnia, już woły deptały ciężkie kłosy jęczmienia na klepiskach, zastałem Nin samą.

— Witaj, Nin — pozdrowiłem ją ze ściśniętym gardłem. Serce biło mi tak mocno, że bałem się, że rozsadzi mi piersi.

Bardzo się zdziwiła. Postawiła dzban i nim zdążyłem wytłumaczyć, kim jestem, zawołała:

— Ty pewno jesteś przyjacielem Entemeny? On cię przysłał, prawda?

Taka była roześmiana, uradowana, że nie zaprzeczyłem.

— Tak, on mnie przysłał.

— Ale jutro sam przyjdzie?

— Na pewno.

Czy mogłem jej powiedzieć prawdę? Obudziłbym tylko żal w jej sercu, a przecież nie mógłbym jej wykupić ani zabrać do siebie, Ona o niczym nie pamiętała i tak było lepiej. Nie budźcie demonów, powiada przysłowie, one się same przebudzą, gdy przyjdzie nakazany czas. Więc nie powiedziałem jej nic.

Odtąd spotykaliśmy się czasami. Dźwigałem jej dzban do bramy. Zawsze opowiadała mi o tobie, Entemeno, o tym, jaki ty jesteś mądry, silny i odważny.

Już mówiłem, że chciałem, byś się ze mną zaprzyjaźnił. Ale ty mnie nie zauważałeś. Czasem mnie potrąciłeś, czasem popchnąłeś i to było wszystko.

Później zachorowała najdostojniejsza Szubad. Czcigodny nauczyciel często był wzywany do pałacu. Wracał z zasępioną twarzą.

— Demony są silniejsze niż moje zaklęcia.

— Najdostojniejsza opuści nas?

— Jeszcze nie wiem. Pojechał posłaniec do Laggasz. Tamtejszy król ma na swoim dworze najbieglejszego lekarza na świecie. Zobaczymy, co on powie.

Mijały dni. Nic się nie zmieniło. Chodziłem do szkoły, uczyłem się. Królowa wciąż chorowała. Wymyśliłem sobie wreszcie, że poproszę czcigodnego nauczyciela, bym mógł zostać twoim Starszym Bratem, Entemeno. Wtedy musiałbyś ze mną przebywać, chcesz czy nie chcesz. To wcale nie było trudne, bo czcigodny nauczyciel już dawno postanowił dać ci opiekuna. Twój ojciec też był z tego zadowolony. Poczęstował nauczyciela pieczonym jagnięciem i piwem i wyraził zgodę.

Sam wiesz, co się stało dalej. Nasz czcigodny nauczyciel starał się odnaleźć Nin w płaczącym tłumie, ale to nie było łatwe. Od niego dowiedziałem się, że byłeś na dziedzińcu. Nie zatrzymywał mnie, gdy pobiegłem w mrok...

Słońce już stało wysoko, gdy Lugal skończył swoją opowieść. W pałacu rozpoczynał się zwykły ranny gwar. Oślarze krzyczeli na nieposłuszne zwierzęta, brzęczały łańcuchy, pluskała woda w kamiennych zbiornikach. Obco brzmiały na tle tej zwykłej krzątaniny zawodzenia płaczek, ale nawet one krzyczały teraz ciszej i łagodniej niż wczoraj.

— Jak chcesz, możesz pójść do Nin — powiedziałem do Lugala. — Powiesz jej, że jestem i myślę o niej. Niech nie płacze.

— Jeśli strażnik się zgodzi, ty pójdziesz, Entemeno. Jesteśmy teraz przyjaciółmi, jesteśmy jak dwie ręce jednego człowieka.

— A jeśli strażnik nie przyjdzie?

— Dlaczego tak myślisz?

— Coś może się zdarzyć.

Widocznie i serce Lugala było pełne niepokoju, bo nie starał się mnie przekonać, że wszystko będzie dobrze.

— Możemy nie poddawać się rozpaczy. Jest nas teraz dwóch. Porwiemy Nin z pochodu,

Ale kiedy to mówiłem, moje serce zadrżało z trwogi. Porwanie naznaczonej spośród orszaku spomiędzy kapłanów, żołnierzy i dostojników wydawało mi się zupełnie niemożliwe. Powiedziałem tak, bo chciałem pocieszyć Lugala i siebie też. Ale nie wierzyłem we własne słowa. Nie mogłem w nie uwierzyć.

— Zrobię wszystko, co rozkażesz — zapewnił mnie Lugal. — Masz już jakiś plan?

— On jest tymczasem jak świątynia nakreślona na piasku. Jeszcze jej nie ma, ale budowniczy już wie, jak będzie wyglądała.

— Tylko żeby Nin zrozumiała.

— Ten z nas, który będzie się z nią widział, powie jej, co ma robić.

— Co? Mów prędzej, strażnik może zaraz wrócić.

— Co? — zastanowiłem się. — Trzeba jej powiedzieć, żeby starała się trzymać skrzydeł orszaku. Pod żadnym pozorem nie

może iść w środku. I niech nie zakrywa twarzy.

— To niemożliwe. Wiesz przecież, że naznaczeni po wypiciu napoju, który oszałamia rozum, muszą zakryć swoje twarze. Taki jest zwyczaj.

— Nie pamiętałem o tym.

— Ale możemy jej powiedzieć, żeby niosła zieloną gałąź. Wtedy ją poznamy bez trudu.

— Tak. To dobry pomysł.

— Ona może o wszystkim zapomnieć, kiedy jej podadzą napój.

— Niech tylko udaje, że pije. A potem niech patrzy, co robią inni. Musi się zachowywać tak, jakby wypiła całą czarę do dna. To bardzo ważne. A reszta to już nasza sprawa.

Udając pewność siebie i odwagę byłem jak mały chłopczyk, który przechwala się przed rówieśnikami, że zarzucił linę na rogi dzikiego bawołu i przyprowadził go posłusznego jak jagnię do zagrody. Pocieszałem siebie i Lugala, ale ani przez chwilę nie wierzyłem sam sobie.

— Boję się, że kapłani zaraz przyjdą.

— Usłyszymy ich. Stąd będzie słychać rogi i bębny pochodu, który wyjdzie ze świątyni.

Jak to dobrze, że Lugal znał tak dokładnie wszystkie zwyczaje i obrzędy. Pomyślałem sobie nawet, że nauka szkolna na coś się jednak przydaje. Szkoda, że ja sam nie uczyłem się pilniej.

Nie zauważyłem strażnika. Zjawił się tak cicho, jak skradająca się pantera.

— Chodź — skinął ręką na Lugala. — Wprowadzę cię do naznaczonych. Tylko pospiesz się, jest mało czasu.

Lugal obejrzał się na mnie, dałem mu znak, żeby szedł.

— Poczekasz tutaj? — zapytał.

— Niech czeka przy źródle obok bramy — rzucił strażnik. — Tamtędy wejdziesz i wyjdziesz.

ROZDZIAŁ VI

W którym okazuje się, że wola ludzka nic nie znaczy wobec woli wielkich bogów

I czekałem przy źródle. Pomagałem napełnić dzban staruszce, która mieszkała w małym domku niedaleko pałacowych murów. Widywała mnie tu czasem z Nin.

— Twoja dziewczyna dzisiaj nie przyszła?

— Ona nie może przyjść.

— Zachorowała? Takie nieszczęście. Opuściła nas najdostojniejsza Szubad i może dlatego demony się rozzuchwaliły.

— Nie zachorowała.

— Pogniewaliście się? Jak byłam w wieku twojej dziewczyny, no, może o parę lat starsza, małżonek rozgniewał się na mnie, że wydoiłam krowę. Miał rację, to jest męska robota, ale on był zajęty na polu, a ja chciałam mu podać przygotowaną wieczerzę. Przez parę dni nie rozmawialiśmy nawet ze sobą. Ale potem śmieliśmy się z tego sporu.

Ta stara kobieta chciała mnie pocieszyć. Byłem jej wdzięczny za to,

— Nie pogniewaliśmy się — powiedziałem.

— To pewno jeszcze przyjdzie. Może ją coś zatrzymało?

— Jest wśród naznaczonych.

Stara kobieta spojrzała na mnie przerażona.

— Wśród naznaczonych? Biedny chłopcze, pewno cię boli serce, ale pomyśl, że zamieszka w pałacu bogów, w Kur, przy boku najdostojniejszej Szubad. Za moich młodych lat uchodziło to za wielki zaszczyt. Córki naj-możniejszych rodów ubiegały się, by je wybrano do orszaku podążającego do pieczar w dolinie. Teraz ludzie zapominają o szacunku należnym bogom. Ich serca stwardniały pychą.

Pożałowałem, że zdradziłem staruszce swoją tajemnicę.

— Przecież widzisz, że nie rozpaczam.

— Wyglądasz tak, jakbyś był ciężko chory.

— Źle spałem tej nocy.

— Kto dobrze spał! W całym mieście było słychać płaczki. Ja też przez ich pieśni nie zmrużyłam oka. Duch najdostojniejszej Szubad jest zadowolony.

Wreszcie zabrała dzban i poszła sobie. Zostałem sam, źródło szumiało cichutko, powieki opadały mi na oczy.

Może usnąłbym w szepcie źródełka i dalekim jęku płaczek, ale z całych sił strząsałem z siebie zmęczenie, jak strząsa się pył ze stóp. Zamrugałem oczami, podobny nocnemu ptakowi oślepionemu nagle blaskiem słońca.

A dlaczego niby nie miałem pójść na zewnętrzny dziedziniec i tam poczekać na powrót Lugala? To chyba wszystko jedno, gdzie czekam. O tej porze na dziedzińcu kręci się zawsze dużo ludzi, nie zwrócę niczyjej uwagi, stanę sobie gdzieś z boku i poczekam.

Na dziedzińcu istotnie kręciło się sporo osób. Środek był przysypany czystym, wyprażonym przez słońce piaskiem, na murach rozwieszono girlandy z pachnących liści i kwiatów. Ogromny głaz ofiarny zlany był nie zakrzepłą jeszcze krwią. Pałacowy wróżbita obracał w rękach wątrobę ofiarnej owcy.

Usłyszałem, jak powiedział:

— Wątroba jest robaczywa jak zgniły owoc. Złe wróżby. Miasto spotka wkrótce nieszczęście.

Ludzie kręcili się tu i tam, było tak, jak co dzień, jakby nie pamiętali, że gdzieś tam czekają naznaczeni, by pójść do krainy zmarłych za wozem królowej.

A może istotnie o tym nie myśleli? W pałacu mieszkają setki sług i niewolników, którzy nawet siebie nie znają. Może ci na dziedzińcu cieszą się, że sami uniknęli drogi do Kur?

Ale nie zastanawiałem się długo nad tym wszystkim. Usunąłem się w cień i przykucnąłem na piętach. Nie zwracałem sobą więcej uwagi niż kamień albo drzemiący w upale pies.

Ryknęły miedziane trąby. Zagrzmiały bębny obciągnięte skórą. Już nie mogłem uciec z dziedzińca. Orszak ze świątyni wkraczał w bramę. Za kapłanami szły tancerki i tancerze w dzi-

wacznych maskach przedstawiających bogów i demony.

Flety zapiszczały wysoko, od pochodu oderwała się grupa tancerzy w przerażających maskach, czarne grzywy spadły na oczy płonące szałem, szczerzyły się ostro kły, palce rąk — zakrzywione sępie pazury. Od stóp do głów okrywały ich płaszcze w czarno-białe pasy,

Rozdzielili się na dwie grupy i stanęli po obu stronach wewnętrznej bramy. Unieśli wysoko szponiaste ręce, podobni dzikim panterom rozszarpującym gazelę.

To były demony z Kur, słudzy straszliwej Ereszkigal i jej potwornego małżonka Namtara, władających podziemną krainą. Każdy, kto przebędzie Rzekę Pożerającą Człowieka, musi stanąć przed nimi, gdyż oni są sędziami w podziemnym świecie.

Zagrzmiały bębny. Tancerka w szacie jak promień Nanna, jak woda lśniąca w blasku Utu, z wargami umalowanymi cynobrem, z powiekami ciężkimi od antymonowej maści, stanęła przed demonami podziemia. Uderzała dłonią dźwięczącą bransoletami w płaski bębenek i skłoniła się przed demonami jak trzcina pod podmuchem wiatru. Tancerka przedstawiała boginię Inannę schodzącą do podziemnego świata, by poddać się straszliwej próbie, a potem wrócić zwycięsko na ziemię. Naprzeciw tancerki Inanny wystąpił jeden z demonów, Neti, odźwierny podziemi, Ten, Który Dzierży Klucze Od Bram. Przycichły bębny, tylko flety towarzyszyły mu, gdy zaśpiewał:

Wejdź, Imamno, wejdź, pani, zdejm z głowy koronę,
Otwieram Ganzir podwoje, pałacu piekieł podwoje.
— Zuchwałe są siłowa twoje

— odpowiedziała Inanna.

Wejdź, Inanno, wejdź, pani, zdejm z szyi ozdoby,
Oddaj złote pierścienie, zrzuć z siebie barwiste stroje.
— Zuchwałe są słowa twoje

— odpowiedziała Inanna.

Milcz, Inanno, milcz, pani, bądź posłuszna bogom,
Ja jestem Strażnikiem Prawa, gniewu się twego nie boję.
— Zuchwałe są słowa twoje

— odpowiedziała Inanna.

Drżyj, Inanno, dr żyj, pani, boś weszła w podziemie.
Tu rządzą bóstwa potężne, tu rządzą prawa -niezłomne.
— Jak śmiesz przemawiać tak do mnie!

— odpowiedziała Inanna.

Znowu zagrzmiały bębny. Piekielne demony chwyciły szponami Inannę i zdarły z niej klejnoty, ozdoby i migotliwy płaszcz. Inanna wiła się w ich rękach jak schwytany wąż, włosy ciemne jak bezgwiezdna noc rozsypały się w pyle dziedzińca.

Ktokolwiek zstąpił do Kur,
Nie opuści już nigdy podziemia,
Nie ujrzy słońca ni chmur,
Nie dla niego słońce i ziemia

— zawyły groźne demony.

Chyba że bóstwom ciemności
Straszliwe zapłaci wiano...
Daj ciało za ciało! Daj krew za krew!
Daj za siebie człowieka! Inanno!

Tancerka odepchnęła od siebie złowrogie widma. Słodko zaśpiewały flety pieśń o kwiatach wiosny. Do Inanny zbliżył się młody pasterz Dumuzi, okryty owczą skórą. Ukląkł przed nią i złożył ręce na znak podziwu i hołdu, czołem dotknął pyłu. Inanna wzięła go za rękę i zatańczyli razem w takt słodkiego śpiewu fletów. A każdy krok zbliżał pasterza do milczącego szeregu czekających demonów. On tańczył tak, jakby ich nie widział, zapatrzony w oczy Inanny.

Piękny jest pasterz Dumuzi, silny jest pasterz Dumuzi,
Pachnie polnymi ziołami, powala lwa najdroższego-,
Otom go sobie wybrała wśród wszystkich na świecie ludzi,
Oto w ciemność podziemi wiodę pasterza młodego

— śpiewała cicho Inanna. Dumuzi nie słyszał tego śpiewu, dał się wieść w powolnym tańcu coraz bliżej i bliżej czekających demonów.

Oto me wiano prowadzę, jak pasterz koźlę wełniste.
Spośród tysięcy wybrałam jagnię, ofiarę bez skazy.
Za mną zstąpi posłusznie w podziemie mroczne i mgliste,
Oto jest — weźcie go sobie — zostawiam go waszej władzy.

Czarne szpony chwyciły ramiona Dumuzi, Inanna wydała przeciągły krzyk zwycięstwa i odstąpiła z podniesionymi w górę ramionami. Tancerz, który odtwarzał rolę pasterza Dumuzi, walczył z demonami, już, już zdawało się, że ujdzie ich mocy, że wyrwie się czepiającym szponom. Ale tak się nie stało. Demony pochwyciły go, przygięły jego kark, by twarzą legł w pyle i Neti, Ten, Który Dzierży Klucze Od Bram, postawił stopę na plecach pasterza.

Ojcze Utu, złote boskie słońce,
Zmiłuj się 'nade mną, nie daj zginąć marnie.
Ojcze Utu, uratuj ginących,
Wybaw, ojcze, od mroku otchłani.
Zechcesz, władza twoja mnie przemieni
Tak, że ujdę piekielnym demonom,
Małym wężem zniknę wśród kamieni,
Sfrunę ptakiem w gęstwinę zieloną...

— płakał pokonany Dumuzi, błagając o pomoc promiennego Utu. Lecz Utu odwracał oblicze od jego próśb, nie słuchał. Tancerze przebrani za sługi Enlila — Enki i An — powiedli zwycięską Inannę ku białemu orszakowi kapłanów. Znaczyło to, że In-

anna, pani niebios, pokonała ciemność podziemnego świata. Znów słodko zaśpiewały flety, przycichł grzmot bębnów. Demony ciemności wybuchnęły szyderczym śmiechem i wzniosły do góry na ramionach nieruchome ciało Dumuzi.

Chociaż szarpała mną obawa i niepewność, nie mogłem oderwać oczu od tańca, patrzyłem jak zaczarowany. Znałem tę legendę o pięknej Inannie zstępującej do Kur i o pasterzu Dumuzi, który powraca z podziemia na słońce dopiero wtedy, gdy pola zazieleniają się pierwszymi pędami jęczmienia.

Biało odziani kapłani wystąpili naprzód. Tancerze przebrani za bóstwa i demony stłoczyli się w tyle. Ucichła muzyka. Z dziedzińca otoczonego komnatami królowej jęknęły płaczki:

Nie ujrzysz Utu promieni,
W mrok wieczny zstąpisz podziemi,
Nie ujrzysz już domu swego
Mieszkanko mroku wiecznego...

Zaskrzypiały płozy królewskiego wozu. Bawoły uwieńczone kwiatami, dobrane maścią napierały karkami na jarzma. Wóz znalazł się na zewnątrz dziedzińca. Kapłani i tancerze otoczyli go ze wszystkich stron, ustawili się szeregami. Przemieszały się z nimi płaczki okryte szatami żałoby, z rozpuszczonymi włosami.

Przed komnatami królowej czekał na orszak król w otoczeniu najdostojniejszych członków Rady Królewskiej. Na znak żałoby pomazali twarze kurzem i okryli się szarymi płaszczami. Rozpoznałem między nimi czcigodnego Adda-kalli i jeszcze paru innych klientów mego ojca.

— Pst — ktoś lekko dotknął mego ramienia.

Odwróciłem się. Za mną stał pałacowy strażnik trzymający za rękę niskiego, szczupłego chłopca. Czy demony zaćmiły mój rozum? To, co widziałem, było niemożliwe, a jednak widziałem to na pewno. Wbiłem sobie paznokcie w ciało, ale obraz nie znikał, widziałem dokładnie strażnika i chłopca.

— Milcz, jeśli ci życie miłe — strażnik szeptał cicho, jak najcichszy powiew wiatru, — Nie pytaj o nic. Odejdźcie stąd czym

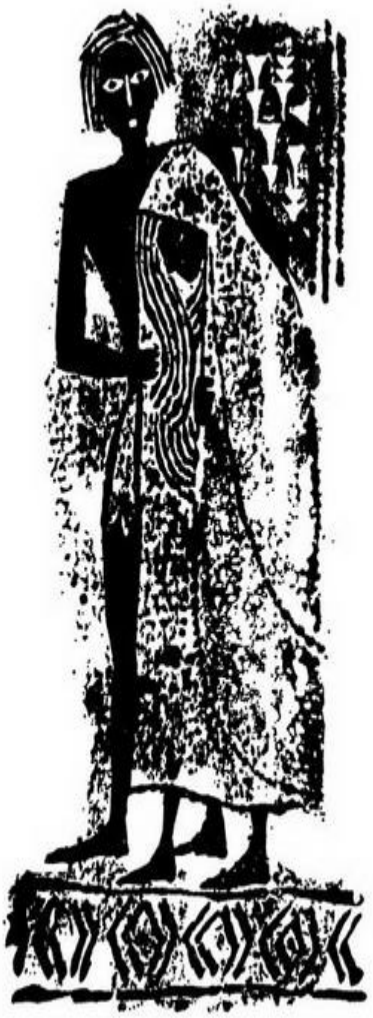

prędzej.

Przede mną stała mała Nin w za dużym płaszczu, z krótko przyciętymi włosami. Zakryła rzęsami oczy i milczała, a ja miałem ochotę krzyczeć tak głośno, by ptaki pospadały z gałęzi, a ryby skryły się w najciemniejszą głębinę wód. Ale nie krzyczałem, tylko rozejrzałem się jak złodziej wokoło, nikt na nas nie patrzył, wszyscy otoczyli królewski wóz, gdyż pochód już się formował.

— Odejdźcie stąd! — powtórzył strażnik ze zniecierpliwieniem.

Chociaż wiedziałem, że mogę wszystko zniszczyć, zapytałem, jak najciszej potrafiłem:

— A Lugal?

— Nie pytaj. Obym nie zapłacił głową za swoją dobroć. Uchodźcie stąd natychmiast.

Zrozumiałem, że nie wolno mi dalej nadużywać cierpliwości strażnika. Ująłem rękę Nin. Jej dłoń była chłodna i bezwładna, zwisała martwo jak uschnięta gałąź.

— Ona piła napój — szepnął strażnik. — Musisz ją mocno podpierać.

Na szczęście byłem silny. Objąłem plecy Nin i na pół ją wspierając, na poł wlokąc za sobą podążyłem w kierunku bramy. W ogólnym zamieszaniu nikt się mną nie interesował. Biało ubrany kapłan wydawał rozkazy, na jego skinienie uczestnicy orszaku zajmowali wyznaczone miejsca, poganiacze kręcili się wokół wozu, dociągali rzemienie, poprawiali kwiaty i zielone gałęzie wieńczące jarzma. Nad dziedzińcem krzyżowały się nawoływania i rozkazy, klaskanie biczów, ryk wołów, szczęk broni. Spieszący się potrącali mnie i bezwładną Nin, ktoś ofuknął mnie surowo:

— Nie kręć się pod nogami! Nie znasz swego miejsca?

Sam nie wiem, jak zdołałem odpowiedzieć, ale odpowiedziałem prawie spokojnie:

— Mój towarzysz zasłabł. Kazano mi go wyprowadzić.

Mężczyzna widocznie się spieszył, bowiem nie pytał mnie już więcej, nie przyjrzał się nam nawet. Odszedł, a ja poczułem, że robi mi się słabo, jakbym to ja sam pił święty napój. Nie mogłem jednak pozwalać sobie na słabość ani na rozczulenie. Trzeba było zaprowadzić Nin w bezpieczne miejsce i ukryć ją. Potem będę miał czas na zmęczenie i wypoczynek, wcześniej nie.

Przekroczyliśmy bramę, za bramą stało już wiele ludzi z miasta, otwierali szeroko oczy i czekali, by nic nie przegapić ze wspaniałości orszaku. Takie uroczystości nie zdarzają się często, a ten, kto je widział, ma co opowiadać potem w długie

ciemne wieczory.

Kiedy patrzyłem na tłum gapiów, rozgadany i podniecony, pomyślałem sobie, że właściwie nie mają żadnych powodów do radości. Wcale nie chodziło mi o żal po śmierci najdostojniejszej Szubad. Królowa była niedosiężna jak gwiazdy na niebie, pyszna i okrutna, wszyscy wiedzieli, że kazała wyrywać nozdrza nieposłusznym niewolnikom i chłostać opieszałych, zagarniała dla siebie najdroższe klejnoty i nie płaciła należności ograbionym rzemieślnikom, a na swoje stroje, pachnidła i ozdoby trwoniła tyle bogactwa, że mogłaby za nie zbudować ze trzy ogromne świątynie lub nakarmić wszystkich biedaków w mieście. Ludzie nie kochali najdostojniejszej Szubad, a wielu ją nienawidziło. Nie dziwiłem się, że nikt jej nie opłakuje. Ale dlaczego nikt z roześmianych widzów sprzed bramy nie myśli o naznaczonych, którzy pójdą za królewskim wozem? Dlaczego nikt nie opłakuje ich losu? Gdybym był starszy, moje włosy pobielałyby od myśli, którymi się dręczyłem w tę długą noc, moje oczy zmętniałyby od łez. Może dlatego, że Nin mi była bliska, jak bliskie jest człowiekowi jego bijące serce. I dlatego, że musiałem myśleć o losie Nin, myślałem także o innych, którzy pójdą za marami do grobów w dolinie.

Bo ja myślałem o Lugalu od chwili, kiedy zrozumiałem, jakim sposobem Nin stanęła przede mną na dziedzińcu, Ja chciałem tak uczynić, ale nie uczyniłem, a on potrafił bez przechwałek i próżnej gadaniny zamienić się szatami z Nin i zmiękczyć serce strażnika, który zgodził się wyprowadzić ją na światło Utu, pomiędzy żyjących. Był więcej wart niż ja, chociaż słabszy i niepozorny. Dane jest czasem małemu ptakowi serce lwa — głosi stare przysłowie, i to jest prawda.

Rozmyślałem o tym prowadząc słaniającą się Nin krok po kroku, coraz dalej od bramy. Bałem się, że spotka nas ktoś, kto widywał ją przy źródle, męskie przebranie i obcięte włosy zmieniły ją w chłopca, ale ten, kto się dobrze przyjrzał, mógł ją rozpoznać. Przecież ja rozpoznałem ją od razu.

Prowadziłem Nin do domu.

Nie miałem wątpliwości, że ojciec i matka, zrozpaczeni moją ucieczką, rozgniewani nieposłuszeństwem, potraktują mnie su-

rowo, ale nie wątpiłem, że zrobią wszystko, co w ich mocy, by ukryć Nin przed niepowołanym wzrokiem i ocalić ją od niebezpieczeństwa.

Ulice miasta były jak wymarłe, nawet małe dzieci i schorowani starcy wylegli na drogę, którą miał przejść orszak. Mogłem wziąć Nin na ręce, jej głowa chwiała się na moim ramieniu, a oddech był ciężki i przyspieszony. Przeraziłem się, że może jest bardzo chora, i prawie pobiegłem ugięty pod brzemieniem.

Położyłem nieprzytomną przed progiem naszego domu i śmiało wszedłem do środka.

— Matko, ojcze! — zawołałem. Nikt mi nie odpowiedział.

— Wróciłem.

Cisza.

— Jest tutaj kto?

Z komory, gdzie spały niewolnice, wyszła Kubatum.

— Gdzie są moi rodzice?

— Twoi czcigodni rodzice, młody panie, pospieszyli do pałacu.

— Dawno?

Kubatum jakby się przestraszyła, nie była pewna, czy może mi odpowiedzieć.

— Nie lękaj się, Kubatum. Mów wszystko, co ci wiadomo.

— Kiedy twój czcigodny ojciec, młody panie, powalił groźnego lwa w zagrodzie i powrócił do domu, dowiedział się, że opuściłeś samowolnie zamknięcie. Rozgniewał się bardzo, ale równocześnie nie krył swojej troski o ciebie, młody panie. Twoja czcigodna matka podsunęła mu myśl, by pójść do pałacu, gdyż tam cię na pewno spotkają. Nie podsłuchiwałam tej rozmowy, możesz mi wierzyć, młody panie, ale tak naprawdę było.

— Wierzę ci, Kubatum. A teraz poproszę cię o coś. Będziesz mi musiała pomóc.

— Co mam czynić?

— Przyprowadziłem ze sobą dziewczynę. Ona jest chora i nieprzytomna. Trzeba nad nią czuwać Trzeba ją tak ukryć, by jej nie widziało żadne obce oko.

— Czy to jest... — Kubatum nie skończyła swego pytania.

— Tak. To jest ta dziewczyna.

— Ukryję ją w naszej izbie pod owczymi skórami.

— Dobrze. Gdybym powrócił później niż moi czcigodni rodzice, powiedz im, kogo ukrywasz.

— Boję się ich gniewu.

— Nie bój się. Powiedz, że to ja ci kazałem ukryć tę dziewczynę.

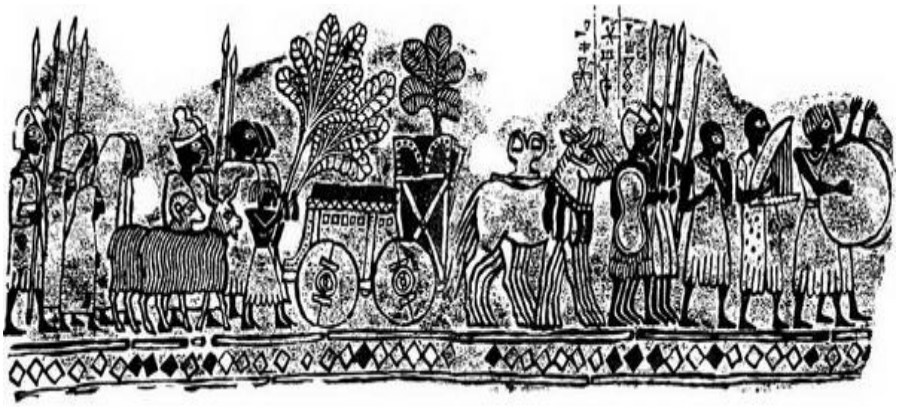

— A ty, młody panie, gdzie idziesz? Co mam odpowiedzieć, jeżeli mnie spytają?

— Powiedz, że poszedłem popatrzeć na orszak. I jeszcze powiedz, że nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo, niech serca moich rodziców będą spokojne. Zresztą pewno ich spotkam w tłumie, a wtedy sam odpowiem na ich pytania.

Kubatum zakrzątnęła się cicho i sprawnie. Pomogła mi przenieść Nin do izby, otarła jej czoło mokrą chustą i przyłożyła naczynie z wodą do spieczonych warg. Nin poruszyła się i jęknęła. Najchętniej bym został przy niej, by, gdy otworzy oczy, ujrzała mnie przy sobie, ale musiałem odejść. Pogładziłem jej krótkie, śmiesznie sterczące włosy, dotknąłem bezwładnych dłoni.

— Ja zaraz wrócę, Nin — wyszeptałem, chociaż Nin nie mogła mnie usłyszeć. — Nic się nie bój. Ja jestem z tobą.

Nakryliśmy Nin całymi naręczami wyprawionych skór owczych. Uważałem, by nie zasłonić jej twarzy, oddychała przecież ciężko i z wysiłkiem.

Pod pałacem orszak był już prawie gotowy do wyruszenia. Przyprowadzono zwierzęta ofiarne, osły podzwaniały brzęka-

dłami na uprzęży, beczały białorunne owce i kozy o ostrych rogach, obdarci pastusi przypędzili z moczarów ciężkie, spasione świnie. Za zwierzętami ofiarnymi stali niewolnicy domu królowej, niosący płaskie kosze wypełnione owocami, bukłaki bulgocące piwem i wir em palmowym, dzbany z ziarnem, naczynia z pieczonym i gotowanym mięsem. Za nimi postępowali inni dźwigający szkatuły z klejnotami, paradne szaty najdostojniejszej Szubad, sztywne od haftu i ozdób, farby do malowania ust i oczu, misternie plecione sandały, rzeźbione naczynia i kadzielnice do spalania wonności. Były tam też szerokie wachlarze z piór i liści palmowych, instrumenty muzyczne, małe stołeczki pod nogi, niski tron wykładany złotą inkrustacją (to dzieło mego ojca), łoże plecione z pasów bawolej skóry, ogromne peruki, klatki z ptakami i wieńce kwiatów. Było to takie bogactwo, jakiego nikt nigdy nie widział na oczy. Za setną, tysięczną część tych bogactw można by sprawić, by nikt w naszym mieście nie był głodny i nie musiał oddawać swych dzieci w niewolę za długi. A wszystko to niesiono za marami najdostojniejszej Szubad, by w Kur nie zabrakło jej niczego, czym zwykła się cieszyć na ziemi. Ale za wozem najdostojniejszej Szubad było puste miejsce. Nikt nie ośmielił się postawić tam stopy, ludzie odsuwali się stamtąd, jakby tam czyhało coś strasznego.

Wielki kapłan skinął dłonią.

Z półmroku strażnicy wyprowadzili naznaczonych. Szli jak ślepcy, zataczając się i potykając, myślałbyś, że stąpają po urwiskach gór, a nie po pałacowym dziedzińcu. Ich twarze zakrywały białe zasłony, nie poznasz, kto stary, kto młody, kto jest niewiastą, a kto mężczyzną, kto silny, a kto słaby. Na próżno wytężałem wzrok szukając Lugala, starałem się go poznać po gwałtownych ruchach podobnych do podskoków młodego barana wypuszczonego z zagrody lub po pochyleniu głowy. Pochylał ją zawsze, jakby mu nadmiernie ciążyła na wątłych barkach. Ale moje oczy pozostały puste, nie poznawałem go, wszyscy naznaczeni stąpali tak samo, jakby zmożeni snem czy ciężkim jęczmiennym piwem, jakby stawianie stóp po ziemi było dla nich ogromnym wysiłkiem, któremu niepodobna podołać.

— Oni są nieprzytomni — powtarzałem sobie. — Lugal nie

może dać mi znaku. Dopomóż mi, wielki Enki, oświeć mnie, daj mi go rozpoznać. Uczyń to, a będę cię wielbił i nie pożałuję ofiar.

Miotałem się wśród orszaku, wspinałem na palce, zaglądałem ludziom w twarze. Poganiacz wołów smagnął mnie boleśnie batogiem, zwierzęta w zaprzęgu niepokoiły się pochylając rogate łby ku ziemi i podnosząc swym potężnym tchnieniem obłoczki kurzu.

— Wynoś się! — zawołał. — Nie płosz wołów! Odskoczyłem.

Ukryty w załomie patrzyłem, jak pasterze z moczarów przygnali na podwórzec szczeciniaste świnie, klaskały bicze. Były też tam stada wełniastych owiec, kozy o żółtych oczach i wysokich, spiralnie skręconych rogach, dojne bawolice o karkach uwieńczonych wonnymi ziołami, przy nich biegły łagodne cielęta o wilgotnych nozdrzach. W klatkach z sitowia niesiono barwne ptaki. Na plecionych wstęgach prowadzono oswojone gazele, spłoszone targały więzami, rozglądały się dokoła z niepokojem i lękiem, może przeczuwały niebezpieczeństwo. Byli tam też młodzi słudzy niosący specjalnie tuczone gęsi, które wyciągały długie szyje i syczały jak rozgniewane węże, i rybacy dźwigający kosze połyskujących srebrem ryb. Orszak pęczniał jak wzbierająca rzeka, a ciągle jeszcze wyrajały się nowe gromady niewolników z misami i koszami na głowie. Pachniało pieczone mięso, dojrzałe owoce, chlupotała w kadziach gęsta śmietana i spienione mleko, brzęczały muchy nad naczyniami z miodem i mocnym piwem, palmowym winem i stopionym masłem.

Wszystko to najdostojniejsza Szubad zabierała ze sobą do Kur i dlatego szli za marami naznaczeni, by tam, w Kur, doglądać zwierząt, prząść wełnę, gotować posiłki, przygotowywać kąpiele, piec chleb, sadzić drzewa. Bez nich najdostojniejsza byłaby tylko wychudłym widmem, miotającym się bezradnie w otchłani, piszczącym głosem nocnego ptaka o litość czy pomoc.

Poganiacze oglądali uprząż, luzowali i zaciągali mocniej rzemienie. Orszak miał lada chwila wyruszyć.

Nad dziedzińcem, jak chmura, unosił się gwar głosów, beczenie owiec i kóz, ryk bawolic, gęganie gęsi, świergot beztroskich

ptaków. Pomyślałem sobie, że teraz mógłbym zawołać Lugala po imieniu, ale mój głos nie dotarłby chyba nawet do moich własnych uszu, zgubiłby się w hałasie, jak się gubi wołanie o pomoc w potężnym poświście wiatru.

— Uratujcie Lugala, jak uratowaliście Nin — błagałem podnosząc twarz ku obłokom. — Odwdzięczę się.

Bogowie powinni byli usłyszeć mój głos, oni słyszą nawet prośby robaczka skrytego w gęstwinie traw.

Przed orszak wysunęli się tancerze i muzykantki, kapłani i słudzy świątyni poprzebierani za demony, kapłanka — Inanna w lśniącym pasie i kapłan — Dumuzi. Zagrzmiały bębny, zajęczały piszczałki. Stary kapłan uniósł dłoń w górę. Czekał przez chwilę, gwar ucichał powoli, tak uciszają się fale rzeki pod łagodnym muśnięciem wiatru.

Dłoń opadła.

Woły naparły na jarzma, zaskrzypiał wóz. Powoli, podobny do ociężałego węża, wytaczał się orszak żałobny na ulice miasta. Jego czoło było już daleko od pałacu, gdy z bramy wychodziły jeszcze ciągle zastępy tych, którym nakazano odprowadzić najdostojniejszą Szubad do grobów w dolinie.

Starałem się trzymać jak najbliżej naznaczonych, obojętny na szturchańce, jakich mi nie szczędzono, i niecierpliwe wymówki. Brano mnie za kogoś z pałacowych sług i to mi dawało pewną bezkarność i poczucie bezpieczeństwa. Najdostojniejsza para królewska miała tyle ludzi, ile jest gwiazd na niebie, może tylko kapłani ze świątyni Enlila mieli ich więcej, w każdym razie w pałacu było tak wiele sług, że nie znali nawet wzajemnie swoich twarzy i imion. Uważałem tylko na żołnierzy, z nimi nie było żartów, mogli mnie wyrzucić z orszaku, jak nieposłusznego kozła odgania się od stada, i dołożyć cios drzewcem włóczni lub obuchem bojowego topora.

Zdawało mi się, że zauważyłem w tłumie moją matkę. Pochyliłem głowę, nie chciałem, by mnie poznała. Kryłem się wśród idących, jak wśród pni palmowego gaju, i pragnąłem przemienić się w płowego sępa, by móc ogarnąć wzrokiem wszystkich naznaczonych i rzucić Lugalowi słowa pociechy i podziwu.

Na ulicach miasta porządek orszaku pomieszał się, żołnierze i

poganiacze, zwierzęta i niewolnicy, niosący ofiarne dary, i członkowie Rady.

Tylko kapłani przed wozem, naznaczeni i dostojnicy otaczający najdostojniejszego króla nie zmieniali swoich miejsc.

Niespodziewanie dla siebie samego znalazłem się koło szczupłego chłopca, który ciągnął za rogi wielkiego barana.

— Pomóż mi — poprosił.

Baran zapierał się nogami i kulił w sobie.

— Boję się, że ucieknie — szeptał chłopak. — A wtedy nadzorca każe mnie chłostać.

— Przecież cię nie widzi — chwyciłem barana za kark, strząsnął moje ramię, ale ponowiłem chwyt, nauczył mnie tego ojciec, zmuszał do posłuszeństwa najbardziej krnąbrne zwierzęta. Baran zadrżał z bólu czy strachu i postąpił naprzód.

— Dzięki ci.

— Pomogę ci go prowadzić.

— Nadzorca widzi wszystko. Pilnuje królewskiego dobra czujniej niż stugłowy smok. — Chłopiec ściszył głos. — Ty sądzisz, że cię nie dostrzega, a on już zapamiętuje twoje imię, by cię skazać na chłostę.

— Jesteś niewolnikiem w pałacu?

— Nie — chłopiec spojrzał na mnie oburzony i dotknięty. — Jestem synem świątynnego dzierżawcy i wolnym człowiekiem.

— To dlaczego boisz się nadzorcy?

— Ziemia, którą dzierżawi mój ojciec, nie rodzi tyle gur jęczmienia, by można oddawać całą należność. I dlatego ja i moi bracia pełnimy posługi w świątyni. Najwyższy kapłan w swojej dobroci zgodził się na to, bo wie, że ojciec jest pracowitym i pobożnym człowiekiem. Teraz kazano nam iść do pałacu i czynić to, czego zażądają. Ja dostałem się do nadzorcy trzód.

— Rozumiem.

— A ty kim jesteś? — zapytał.

— Nazywam się Arnu — skłamałem. Było to imię jednego z niewolników mego ojca.

— A co robisz tutaj?

— Ojciec mi kazał — trochę się zająknąłem, ale dalej poszło już gładko. — Pomagałem ojcu odnieść ryby do pałacowej

kuchni.

— Jesteś synem rybaka?

— Tak. I jak tutaj byłem, pomyślałem sobie, że pójdę razem z orszakiem. Nie co dzień widzi się takie widowisko.

— To dobrze, że jesteś wolnym człowiekiem. Mój ojciec gani nas za rozmowy z niewolnikami.

— Niewolnik przecież może się wykupić.

— Może. Ale jego synowie nie mogą zasiadać ani w Radzie, ani w sądzie, ani służyć w straży królewskiej, ani sprawować godności kapłańskich. My jesteśmy lepsi od nich.

Podczas rozmowy moje oczy krążyły cały czas jak polujące jastrzębie, specjalnie wzmacniałem ucisk na karku barana, aby przyspieszył kroku i znalazł się wraz z nami jak najbliżej naznaczonych.

— Kogo wypatrujesz? — zapytał chłopiec. Widocznie musiał zauważyć niespokojny bieg moich źrenic.

— Och, nikogo.

— Oczy ci biegają jak u szukającej hieny.

— Wydaje ci się — byłem zły na wścibstwo tego chłopaka.

— Dlaczego nie mówisz prawdy? — nacierał dalej. — Odpowiadasz wykrętnie i z gniewem, a ja czuję fałsz w twoich słowach.

Uświadomiłem sobie, że ten chłopiec może mnie podejrzewać o chęć przywłaszczenia sobie czego z ofiarnych darów. Tego jeszcze brakowało.

— Jesteś czujny jak pasterski pies — zadrwiłem z niego — ale twoje uszy słyszą więcej, niż należy słyszeć.

Już otworzył usta, by przywołać nadzorcę lub przełożonego nad sługami pałacu, ale ja byłem szybszy. Uderzyłem barana bokiem dłoni za uchem, beknął z bólu i wyrwał się. Na próżno chłopak usiłował go zatrzymać. Baran pochylił rogaty łeb i runął w największą ciżbę niosących ofiarne dary. Ja pospieszyłem za nim.

— Trzymajcie tego oszusta! — wołał chłopiec w ślad za mną. — Ukradł barana!

Ludzie uskakiwali z drogi przed rogami barana i nie mieli czasu ani ochoty nikogo ścigać, zresztą nie wiedzieli kogo. Ktoś się

wywrócił, owoce z kosza rozsypały się w pyle, komuś uderzonemu rogami w lędźwie wypadł z rąk rzeźbiony zydel.

Ja znalazłem się najniespodziewaniej dla siebie w bezpośrednim sąsiedztwie naznaczonych, za plecami członków Rady, otaczających najdostojniejszego króla.

Przygładziłem włosy, poprawiłem opaskę i postarałem się, by mój oddech nie świszczał jak u zgonionego bawołu. Widziałem ich teraz dobrze.

Który z tych białych cieni jest Lugalem? Która z tych zasłon kryje jego twarz?

Wspinałem się na palce. Może Lugal mnie dojrzy i znakiem odpowie, że mnie widzi?

— Nie plącz się pod nogami! — sarknął ktoś popierając swoje słowa szturchańcem.

Gdybym mógł chociaż przez chwilę przysiąść i zastanowić się! W mojej głowie kotłowało się jak w garnku, w którym praży się ziarno. To wszystko, co robiłem od chwili odprowadzenia Nin do domu, miało akurat tyle sensu, co skakanie na oślep w przepaść. Biegałem pośród orszaku, kręciłem się jak szakal i dobrze rozumiałem, że w ten sposób nie pomogę Lugalowi.

Gdy prowadziłem Nin do domu, nie było we mnie radości, chociaż przysiągłbym jeszcze przed wschodem Utu, że niczego nie pragnę więcej niż jej ocalenia. Byłem gotowy zstąpić za nią w mrok podziemnego grobowca. Tak, to prawda. Byłem gotowy. I Nin została ocalona, jest już prawie bezpieczna, nie grozi jej najstraszniejsze. Ocaliłem ją i mogę cieszyć się jej powrotem na ziemię.

Ocaliłem ją? Nie. Właśnie o to chodzi, że jej nie ocaliłem. Ja tylko biegałem po nocy, prosząc bezmyślnie o pomoc.

Cała chluba ocalenia przypada Lugalowi. On ma serce mężczyzny, ja zaś serce dziecka.

Wiedziałem o tym od chwili, kiedy strażnik przyprowadził na dziedziniec odurzoną i półprzytomną Nin. I chociaż dałbym sobie dla Nin wytoczyć krew spod serca, zrozumiałem, że jej ocalenie nie przynosi mi radości. Że teraz ja muszę się okazać mężczyzną, bo inaczej będę żył z hańbą w sobie, która mnie stoczy, jak robak toczy dojrzały owoc.

„Pójdę za tobą" — postanowiłem, jakbym przysięgał Lugalowi.

„Nie — szepnęło coś w moim sercu. — Nie. A twoja matka? A twój czcigodny ojciec?"

„Nie mogę go zostawić" — odpowiedziałem głosowi swego serca.

„Ależ możesz. On ratował swoją siostrę. Pochodzi z tej samej krwi, co ona, jedna matka wydała ich oboje na świat. Ty nie masz z tym nic wspólnego."

„Ja też chciałem ocalić Nin."

„Ale tobie się to nie udało, tylko Lugalowi. Zapomnij o tym i ciesz się ocaleniem Nin." „Nie mogę."

„Trudno — szepnął ten głos wewnątrz mego serca. — Ostrzegałem cię, ale nie chcesz słuchać rozumnych rad."

To, co opisuję, może się wydawać nieprawdopodobne, ale tak właśnie było naprawdę. Gdyby ktoś mnie obserwował uważnie, mógłby nawet zauważyć, jak poruszałem wargami w niemej rozmowie z samym sobą.

— Uratuję go — powiedziałem nagle głośno. Jeden z członków Rady odwrócił się.

— Co za bezwstydne hałasy w orszaku! — sarknął. Spuściłem oczy.

Tymczasem kapłani idący przed wozem wiozącym mary podjęli, zawodząc, jakąś pieśń. Przycichły bębny, umilkły piszczałki. Kapłani sławili najdostojniejszą Szubad, wzywali piekielnych sędziów i Neti, Tego, Który Dzierży Klucze Od Bram, by opiekowali się duchem zmarłej, by przyjęli ją w podziemnym świecie jak równą bogom, by ją zawiedli przed bliźniacze trony Ereszkigal i Namtara tam, gdzie spoczywa u ich boku, otoczona cieniami wiernych niewolników.

Orszak przeszedł już koło świątyni Enlila (na schodach ciekawi wyciągali szyje, by nic nie uronić ze wspaniałości pochodu), minął już zasobne domostwa kupców, bankierów i rzemieślników i teraz jego czoło weszło pomiędzy gliniane lepianki najbiedniejszych mieszkańców naszego miasta. Nagie dzieci i kobiety w splamionych szatach wyglądały lękliwie zza murów uklepanych z gliny, naszczekiwały psy podobne do ościstych

ryb, wyleniałe owce zbiły się w przestraszone stadko.

Nagłe przyspieszenie pochodu wypchnęło mnie między widzów, zagapiony i zamyślony dałem się odtrącić na bok tak łatwo, jak odrzuca się zgniłą figę. Tutaj było luźno, bardzo luźno, tylko nieliczni mieszkańcy lepianek ośmielili się stanąć ze swoją nędzą naprzeciw błyszczącego od złota i kosztownych materii orszaku.

Prawie pobiegłem naprzód, miałem zamiar zrównać się z czołem pochodu, nie potrafiłbym powiedzieć, dlaczego tak chciałem postąpić i na co liczyłem. Chyba na to, że przebiegnę obok naznaczonych nie zwracając niczyjej uwagi, ot, po prostu brudny chłopak z lepianek, w potarganej przepasce, wytrzeszczający oczy na przepych i bogactwo.

I wtedy zobaczyłem.

Zobaczyłem dlatego, że spuściłem oczy, bojąc się, iż smagną mnie biczem za bezwstydne gapienie się na wóz najdostojniejszej Szubad.

Te sandały. Przyjrzałem się im dobrze, gdy siedzieliśmy pod pałacowym murem. Związane byle jak rzemienie, niezdarny węzeł powyżej kostki. Pamiętałem, jak Lugal go pracowicie zasupływał. Niewiele ludzi w naszym mieście nosiło na co dzień sandały, chodzili boso. Lugal nosił je zawsze, byle zadraśnięcie, byle cierń wbity w stopę powodował bolesne, jątrzące się rany.

To musi być Lugal. To są jego sandały. Nie mylę się.

Chciałem go zawołać, dać znać, lecz bałem się, że zwrócę uwagę straży i zniszczę wszelką możliwość ratunku. Przepchałem się więc jak najbliżej naznaczonych i starałem się postępować w ten sposób, by przyciągnąć uwagę patrzących. Może Lugal-azida był odurzony świętym napojem, bo wlókł się z pochylonymi barkami, okryty cieniem zasłony, niewidzący, już nieobecny wśród żyjących.

Orszak wysunął się spomiędzy zrujnowanych lepianek i rozsypujących się murów z wysuszonej na kamień gliny, w tyle zostały nagie dzieci o zropiałych oczach, wychudłe kobiety i wyliniałe kozy. Przed czołem pochodu rozstępowały się płowe zbocza wąwozu, poznaczone bułami szarego kamienia i porośnięte kolczastą gęstwą bezlistnych krzewów, które tylko w porze

deszczowej pokrywają się nieśmiałą zielenią, jakby zdumione wątłymi liśćmi na swoich gałęziach.

Bo do grobowców w dolinie było stąd już blisko, bardzo blisko, nie dalej niż parę rzutów oszczepem.

Uważałem za bezpieczniejsze przyłączyć się znowu do pochodu, zrobiłem to dosyć zręcznie, nie zwracając niczyjej uwagi. Wiedziałem, że orszak zatrzyma się przed zejściem do grobowców, że kapłani i tancerze odtworzą tańcem scenę powrotu pasterza Dumuzi wraz z kiełkującym jęczmieniem na światło Utu, tego nas uczył kiedyś nasz czcigodny nauczyciel, dodając, że jest to wielka i święta ceremonia, pełna tajemnic, które poznają całkowicie tylko kapłani najwyższych stopni, a zwyczajny sługa świątyni nie jest w stanie pojąć jej głębi i znaczenia.

Liczyłem, że podczas tej ceremonii uda mi się podejść dostatecznie blisko do Lugala, może zamieszanie będzie tak duże, że uda nam się ucieczka? Szkoda, że mieszkańcy naszego miasta nie mogą towarzyszyć do końca orszakowi, im większa ciżba i ścisk, tym łatwiej wyprowadzić kogoś niepostrzeżenie. Ale i tak, pocieszałem się, orszakowi towarzyszą gromady sług pałacu i świątyni, zginiemy wraz z Lugalem wśród nich, jak znika kamień rzucony w wir wody.

Obym tylko przekradł się w pobliże naznaczonych. Wtedy wszystko może się udać.

„Wracaj, Entemeno — szepnął głos wewnątrz mego serca. — Odprowadziłeś Lugala do końca. Wracaj, bo wypełniłeś obowiązek przyjaźni. Nie zatruwaj swego serca mrzonkami. Pamiętaj, że niepotrzebnie narażasz się na niebezpieczeństwo. Pomyśl o chorej Nin. Ona czeka na ciebie. Nie możesz jej zostawić. Wracaj. Zrobiłeś wszystko, co możliwe. Wracaj!"

Zagrzmiały bębny, ale nawet ich powolne dudnienie nie mogło zagłuszyć głosu, który mnie ostrzegał.

W pochodzie, na jego czele, coś się zmieniło. Strażnicy z włóczniami w ręku sformowali się w długi, milczący szereg. Wóz najdostojniejszej Szubad zatrzymał się, zaskrzypiały płozy na sypkim żwirze, król i członkowie Rady cofnęli się, odstąpili na pobocze. Padły rozkazy dowódców straży. Żołnierze rozwinęli się sprawnie i zamknęli ciasnym pierścieniem naznaczonych.

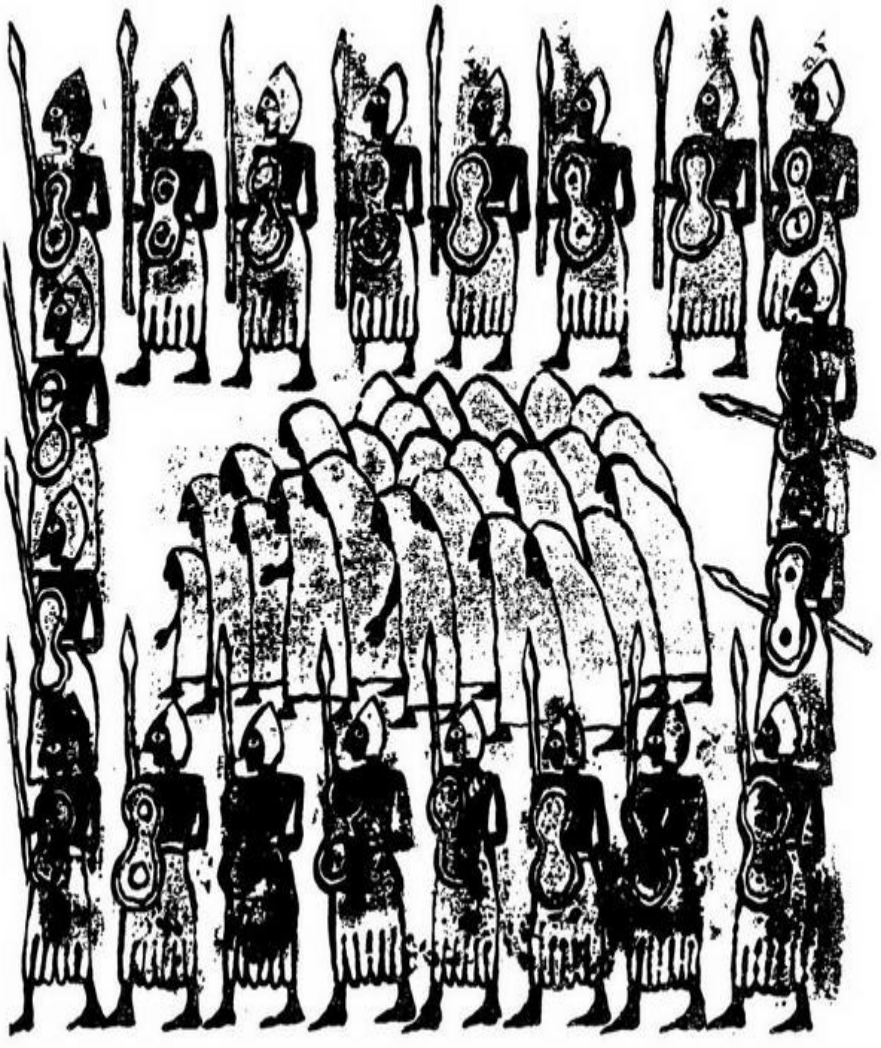

Stali ramię przy ramieniu, groźni i czujni, jakby znaleźli się nagle w obliczu nieprzyjaciela, a nie wobec milczących skazańców osłoniętych białymi chustami. Między nimi nie przecisnąłby się nawet pustynny lisek, nie przeleciałby najmniejszy ptak. Odcięli naznaczonych murem od świata ludzi żywych, zamknęli ich w pierścieniu, którego nie rozerwie żadna ludzka dłoń. Te-

raz naprawdę naznaczeni stali się własnością Kur, przekazano ich pod władzę Neti, Tego, Który Dzierży Klucze od Bram.

Zagryzłem palce do bólu, tego się nie spodziewałem, to przekreślało moje plany.

Teraz rozumiałem, że powinienem zaraz odejść, bo nie uwolnię Lugala. Dobrze mówił pałacowy strażnik, brat rybaka z chaty na moczarach, dobrze mówił mój czcigodny ojciec, dobrze mówiła moja matka:

„Co zostało poświęcone bogom, należy do nich. Nie jest rzeczą człowieka zmieniać wyroki boskie."

„Lugal należał do bogów, bo ocalił Nin. A ja, Ente, mena, chciałem zuchwale zabrać bogom nie tylko małą niewolnicę, ale i Lugala, by żył i był moim przyjacielem. Nie chciałem i nie mogłem pamiętać, że to, co należy do bogów, staje się niedotykalne dla ludzi."

Szerokie plecy strażników broniły mi dostępu do naznaczonych, połyskiwała broń, słońce zapalało w niej ognie, Lugal-azida był dalej ode mnie, niż gdyby dzieliły nas pustynie i morza. Byłem od niego nie więcej, jak kilka kroków i byłem bezsilny, bowiem słaby i bezradny jest człowiek wobec woli bogów.

— Żegnaj, Lugalu — szepnąłem. — Chciałem cię ocalić, ale muszę odejść. Niech się dopełni twój los. Nin i ja nigdy nie zapomnimy o tobie. Będziesz miał dosyć ofiar w Kur...

ROZDZIAŁ VII

W którym dowiadujemy się, że obca dziewczyna nie jest pożądanym gościem w niczyim domu, o czym nam opowie matka Entemeny

Gdy zobaczyliśmy potargane więzy i rozrzucone posłanie, pobiegliśmy czym prędzej, ja i mój małżonek, królewski złotnik Etamuzu, pod pałac, by zawrócić spod jego bram naszego nieposłusznego syna, który zbiegł podstępnie.

Pod pałacem stało już wiele ludzi, spotkaliśmy też tam naszych sąsiadów i krewnych. Powiadano, że orszak odprowadzający najczcigodniejszą Szubad do doliny nie ma równego sobie i nigdy ludzkie oko nie widziało piękniejszych i bogatszych darów. Rozmawiałam z naszą sąsiadką. Ma kłopoty z domem, nic nie pomaga ciągłe ubijanie ziemi na dachu, ten nocny deszcz znowu wszystko wypłukał, chyba będą musieli myśleć o nowej budowie. Rozmawiałam z nią zupełnie zwyczajnie, ale moje oczy ciągle błądziły wśród ciżby, wypatrywałam Entemeny lub kogoś, kto potrafiłby coś mi powiedzieć o moim synu.

Ale na próżno przeszukiwałam wzrokiem tłum, jak ostrożny łowca przepatruje cierniste krzewy, gdzie zapadł ranny lew.

Zza pałacowej bramy słychać było dudnienie bębnów, śpiew fletów, ryczenie bawołów. Ci, którzy stali blisko, podawali, że orszak za chwilę wyruszy.

Mała siostrzenica mego męża, Aratta, podbiegła do nas.

— Widziałam Entemenę! — zawołała.

— Gdzie?

— Wyszedł z pałacowej bramy z jakimś małym chłopakiem.

— Kiedy?

— O, już dosyć dawno. Ucieszyłam się bardzo tą wiadomością.

„Mego syna nie było w pałacu! Pewno, gdy się przekonał, że jego usiłowania są próżne, pobiegł gdzieś ze swoimi rówieśni-

kami. Zwykle po każdym niepowodzeniu w szkole czy karze z ręki ojca zaszywał się do zachodu Utu na rozlewiskach nad rzeką i wracał do domu dopiero wtedy, gdy niebo ciemniało, zmęczony i ubłocony jak nieboskie stworzenie. Po takim powrocie przez parę dni był bardzo dobrym synem, pomagał mi w pracach domowych i pilnie oddawał się nauce."

Tak pewno stało się i tym razem. Mój mąż, złotnik Etamuzu, był takiego samego zdania, więc postanowiliśmy zostać jeszcze trochę pod bramą, by popatrzeć na przechodzący orszak.

Pochód się jeszcze formował, wielmoże z Rady Królewskiej kręcili się tam i tu jak liście niesione przez wodę. Pachnieli na wiele kroków drogimi wonnościami i lśnili od klejnotów. Mogłam być dumna, bo najpiękniejsze naszyjniki i przepaski wyszły spod ręki mego męża, złotnika Etamuzu.

Podszedł do nas czcigodny Adda-kalli, chyba najbogatszy człowiek w naszym mieście.

— Witaj, złotniku!

Jak każe zwyczaj i dobre wychowanie, odstąpiłam na bok i zakryłam twarz rąbkiem chusty. Męskie sprawy nie są przeznaczone dla kobiecych uszu, ale i tak słyszałam, o czym rozmawiali.

— Podobno żenisz swego syna, złotniku? — zapytał Adda-kalli.

— Mylisz się, czcigodny.

— A jaką dziewczynę dla niego wybrałeś?

— Nie wybrałem żadnej dziewczyny.

— Nie wykręcaj się, złotniku. Czy nie chodzi ci o jedną ślicznotkę ze świątyni?

— Nie wybierałem jeszcze dla syna żadnej dziewczyny! — powtórzył z gniewem mój małżonek, a gdy czcigodny Adda-kalli odszedł, zacierając tłuste dłonie, powiedział do mnie:

— Nie lubię, jak chciwe hieny węszą za żerem w moim domu.

Niedługo potem wyszedł orszak. Było na co patrzeć. Padliśmy na twarze, gdy przejechał ze skrzypieniem płóz wóz królowej. Potem jeszcze trochę pogadaliśmy z naszymi sąsiadami i krewnymi. Ostatecznie taka uroczystość nie zdarza się codziennie.

W domu nie mogłam dowołać się Kubatum. Ta dziewczyna

ma wyjątkowe zdolności do zapadania się pod ziemię. Dajesz jej w rękę sznur od bukłaka, by ubiła w nim śmietanę na gęste masło, i patrz, bukłak kołysze się na wysokiej gałęzi, sznur zwisa żałośnie, a Kubatum oczywiście nigdzie nie ma. W swoim własnym domu każda dziewczyna pracuje chętnie, niewolnice niezbyt pilnie przykładają się do pracy.

Zdziwiłam się trochę, gdy Kubatum wyszła z komory. Nie mogła nie słyszeć mego wołania. Tłumaczyła, że zasnęła. Była jakaś niepewna, przestraszona, aż spytałam, czy coś się nie stało. Powiedziała, że nie, a ja nie pytałam więcej, dzisiejsza noc nie była dla niej zbyt łatwa.

Zajęłyśmy się domową robotą. Rozpostarłyśmy na ziemi upraną wełnę, by wyschła pod promieniami Utu, potem Kubatum wzięła brudną odzież i poszła ją wyprać do rzeki.

Mój małżonek wrócił z zagrody owiec i poszedł do warsztatu, słyszałam ciche postukiwanie młotka ó blachę. Pewno miał jakieś pilne zamówienie.

Tymczasem słońce wzniosło się na szczyt nieba i poczęło się zniżać, by lec na spoczynek w falach Przedwiecznego Morza. Entemena nie wracał.

— Bogowie — westchnęłam sama do siebie — nie chcecie chyba ukarać mego syna za bezmyślność i zuchwalstwo.

Wyjrzałam za próg, ale nikt nie nadchodził.

— Wyglądasz Entemeny? — spytał mój mąż wychodząc z warsztatu. — Nie niepokój się. On przecież bardzo często wraca późno. Na pewno pobiegł gdzieś z przyjaciółmi.

— Jesteś pewny?

— Tak.

— A jeśli spełnił to, co zamierzał? — spytałam.

— Skąd! Przecież Aratta widziała, że wyszedł z pałacu z jakimś chłopakiem.

— Sądzisz, że poniechał swoich zamiarów?

— Oczywiście. Entemena nie jest głupcem. Gdy się przekonał, że ma takie same szanse na uwolnienie tej dziewczyny, jak na wyczerpanie garścią wód rzeki, dał spokój mrzonkom. Popłakał sobie gdzieś w kącie i na tym się skończyło. Chłopcy w tym wieku są jak wiatr znad morza, który wieje we wszystkie strony,

albo jak płonąca trzcina — najpierw ogromny płomień, a potem tylko trochę popiołu.

Mój małżonek rzadko mówi tak wiele.

— A dlaczego jeszcze dotąd nie wrócił?

— Wróci, nie bój się!

Potem mój mąż zawołał Arnu i rozciągnęli lwią skórę, by ją oczyścić z resztek mięsa i ścięgien. To jest męska robota. Nie mogłam stać nad nimi i patrzeć im na ręce. Zresztą czekała na mnie praca.

Kubatum wróciła znad rzeki niosąc wyprane chusty, ale było za ciemno, bym mogła sprawdzić, czy nie zostawiła plam.

Z moich rąk wysunął się najpiękniejszy, malowany dzban i roztrzaskał się na tysiąc kawałków. Rozlane mleko popłynęło białą strugą.

Żeby też Entemena już wrócił!

Utu skierował swą łódź na zachód i zaczął ją pogrążać w głębinach Przedwiecznego Morza. Teraz mój niepokój rósł, jak rośnie jęczmień w głębi ziemi. Wybiegałam co chwila na próg i wpatrywałam się pilnie w dalekie cienie przechodniów. Czasem serce uderzało mi mocniej, bo wydawało mi się, że rozpoznaję Entemenę. Ale to nie był on.

Kubatum znowu gdzieś przepadła. Zawołałam ją. Oczywiście ukryła się komorze. Przypomniałam, że pora spoczynku jest bliska i nie ma powodu, by teraz kraść chwile snu, podczas gdy czeka praca. Chyba że czuje się chora. Kubatum odpowiedziała, że nie jest chora, ale mnie nie podobał się jej wygląd i wcale nie byłabym zdziwiona, gdyby zapadła na bagienną gorączkę.

Mój małżonek też widocznie czuł się niespokojny, chociaż udawał obojętność, starał się nie patrzeć w stronę progu, ale kilka razy schwyciłam jego ukradkowe spojrzenie.

Robiło się coraz mroczniej, krwawe blaski Utu zapalały już tylko krańce nieba po zachodniej stronie. Ptaki układały się na spoczynek w swoich gniazdach. Rozpaliłam tlący się żar w piecyku powiewając wachlarzem, płomień przygasał, nawóz był wilgotny.

— Arnu, przerwij oczyszczanie skóry — polecił mój mąż Etamuzu. — Idź do Wielkiego Brata i przyprowadź tutaj wycho-

wanka czcigodnego nauczyciela. Powiedz, że pragnę mówić z Lugalem-azidą w sprawie mego syna.

Piecyk nareszcie rozpalił się.

— Kubatum!

Znowu poszła do komory!

— Co się z tobą dzieje, dziewczyno?

— Pani — poczęła Kubatum, ale nie dowiedziałam się nic więcej, bo akurat wrócił Arnu.

— Wielki Brat pozdrawia królewskiego złotnika. Wielki Brat polecił mi przekazać, że jego wychowanek Lugal-azida nie wrócił jeszcze do domu.

Nie wiem, dlaczego ta wiadomość jakoś mnie uspokoiła. Widocznie nie tylko Entemena postanowił nie wracać zbyt wcześnie do domu. Zaczęłam oblepiać ciastem boki piecyka.

— No cóż, nie będziemy na niego czekali. Zaraz podam wieczerzę.

— Pójdę sam do domu Wielkiego Brata — mój małżonek narzucił na siebie płaszcz. — Może jego wychowanek już wrócił.

— Gdyby tak było, Wielki Brat przysłałby nam wiadomość. Wie przecież, że chciałeś rozmawiać z Lugalem.

— Nie chcę siedzieć bezczynnie. Mam nadzieję, że po drodze spotkam Entemenę i pogadamy sobie jak mężczyzna z mężczyzną. To już prawie dorosły człowiek, a zachowuje się jak wychowanek najniższej klasy, taki, który miast słuchać nauki, gra w kamyki i zbiera kolorowe piórka.

Wyszedł.

— Pani — powiedziała Kubatum — nakłoń ucha i zechciej przyjąć spokojnie to, co ci powiem...

Coś dziwnego było w jej głosie, ale nie miałam czasu ani chęci słuchać jej słów.

— Poczekaj, dziewczyno. Po wieczerzy będziesz miała wiele czasu, by mi zwierzyć swoje tajemnice.

Byłam na nią rozżalona, bo wymykała się ciągle do komory, by drzemać, i nie przychodziła natychmiast na moje wezwanie.

— Ale...

— Powiedziałam.

Nie mówiła już nic więcej i zajęła się swoją pracą. Krzątałyśmy

się w milczeniu.

Przycichły niepokój znów począł rosnąć w moim sercu. Naprawdę nadchodziła już noc. Entemena nigdy tak późno nie wracał. Bogowie mogli usłyszeć jego zuchwałe słowa i spojrzeć w jego serce, w którym nie było pokory. A jeśli tak uczynił, mogli go ukarać, bo bogowie nie pozostawiają nie pomszczonych czynów.

Nasypałam kadzidła, wonny dym wypełnił izbę.

— Bogowie, bądźcie miłosierni. On jest jeszcze młody i nierozumny, jak nie ujeżdżone ośle źrebię. Zmiłujcie się nad nim. Chrońcie go, bądźcie mu tarczą, bądźcie murem, za którym znajdzie schronienie, niech go prowadzi wasza mądrość, niech go osłoni wasza potęga. Enlilu, który widzisz wszystko. An, mądrości przedwieczna, Inanno piękna i potężna — zmiłujcie się nad nim...

Ogień w piecyku buchnął silnie, gdzieś daleko zakwilił ptak, bogowie przyjęli moją ofiarę. Dali znak.

Usłyszałam spieszne kroki, ale to nie był Entemena, to wracał mój małżonek.

— Rozmawiałeś z Lugalem?

— Nie. Nie wrócił jeszcze. Wielki Brat jest bardzo niespokojny o losy swego wychowanka.

— Dlaczego?

— Nigdy się nie zdarzyło, by wychowanek Wielkiego Brata czynił cokolwiek bez jego wiedzy. Ale zniknął już tego wieczora, gdy najdostojniejsza Szubad odeszła od nas.

— Nic nie wiesz o Entemenie? Pokiwał przecząco głową.

— Nic. Wielki Brat powiedział, że Entemena w ostatnich dniach nie przychodził na naukę. Zresztą wiesz o tym, kobieto.

Udawaliśmy, że czekamy spokojnie, ale między nami leżały milczenie i strach. Mój mąż, złotnik Etamuzu, odsunął jedzenie.

— Wyjrzę trochę.

— Poczekaj, wyjdę z tobą.

Chwytał doświadczonym uchem łowcy wszystkie szmery i nocne odgłosy, starając się wśród nich wyłowić stąpanie stóp Entemeny.

— Nic nie słychać. Cisza wokół.

— Zdaje mi się, że coś słyszę.

— To gdzieś daleko idzie objuczony osioł, potyka się pod ciężarem, nie słychać kroków człowieka.

— Kubatum, okryj węgle popiołem! — zawołałam. Odpowiedzi nie było.

— Ta dziewczyna chyba ogłuchła! — sarknęłam. — Nie rozumie żadnych poleceń!

Odezwał się nocny ptak z moczarów. Świątynia, jak wyniosła góra, sięgała ciemnego nieba swym szczytem, wielka cisza leżała nad miastem. Taka cisza, że słyszałam bicie własnego serca.

— Więc poszedł do pałacu?

— Oszalałaś, kobieto, czy demony zaćmiły twój rozum? Jak mógł pójść do pałacu, skoro z niego wyszedł? Nie było go w orszaku. Patrzyłem dobrze.

— On jest w niebezpieczeństwie! Czuję to.

— Nie! Niemożliwe.

— Sam lękasz się o naszego syna. Nie zaprzeczaj.

— To prawda. Wyślę jeszcze raz Arnu do domu Wielkiego Brata. Jeśli tam niczego się nie dowie, niech idzie na pałacowy dziedziniec.

— Jest noc. Nikt nie może wejść do pałacu.

— Arnu ma krewnego w straży. Zresztą dam mu kilka pierścieni, złoto otwiera wszystkie usta.

— Dlaczego wysyłasz go do pałacu? Sam mnie zapewniałeś, że Entemeny tam nie było.

— Chcę to sprawdzić, kobieto.

— Tonący chwyta się liścia niesionego wodą. Wróciłam do domu. Zaraz zauważyłam, że żar wygasł. Kubatum nie przysypała go popiołem.

— Krnąbrna, niedbała dziewczyno! — zawołałam wchodząc do komory. — Czy chcesz, żeby...

Kubatum schylała się nad kimś leżącym na skórach. Wydawało mi się, że Entemena leży tam bez życia i bez oddechu. Ale to była nie znana mi dziewczyna. Tak, dziewczyna, mimo męskiego przebrania i krótko ściętych włosów!

— Kto to jest?!

Kubatum upadła na twarz. Mój krzyk obudził nieznajomą.

— Gdzie... gdzie... — szepnęła patrząc z przerażeniem na krwawy blask kaganka. — Gdzie on jest?

— Kto?

— Ten chłopak... przyszedł... ja nie wiem... Upadła na posłanie i przymknęła powieki.

— Gdzie jest młody pan?! — szarpnęłam Kubatum za ramię. — Mów zaraz!

— Nie wiem. Młody pan przyprowadził tę dziewczynę i odszedł. Rozkazał mi, bym się nią opiekowała. Polecił powiedzieć ci, pani, że nic mu nie grozi...

— Dlaczego mi tego nie mówiłaś?!

— Chciałam, ale...

— Gdzie poszedł? — powtarzałam nieprzytomnie. Byłam jak człowiek, któremu ziemia otworzyła się pod stopami. — Mów, gdzie poszedł? Przypomnij sobie...

— Nie wiem.

— A ta dziewczyna? — przybliżyłam kaganek do twarzy nieznajomej. Nie, nigdy jej nie widziałam. — Kim jest?

— To niewolnica z pałacu.

Opuściłam bezradnie ręce. Entemena, głupi i szalony Entemena! W jakiś sposób okradł bogów z należnej im ofiary! Nie ma teraz dla niego ratunku, choćbym spaliła wszystkie wonności świata przed ołtarzami bogów!

— Mój koziołku! Moje jagnię! — zawołałam w rozpaczy. — Czy zobaczę cię kiedy jeszcze, Entemeno, mój synu?

Powieki tamtej dziewczyny drgnęły lekko.

— Entemena przyjdzie? — zaszeptała ledwo dosłyszalnie.

Mój krzyk sprowadził do komory Etamuzu, mego męża.

— Co się tu dzieje?

I on osłupiał na widok obcej dziewczyny.

Staliśmy tak, milczący i przerażeni, nad leżącą, Kubatum szlochała cicho, krwawe światło odpędzało skradające się z kątów cienie. Wiedziałam, że mój mąż też zrozumiał, jaki gość szuka schronienia pod naszym dachem, i że wzbiera w nim gniew.

— To Entemena ją przyprowadził... — zaszeptałam łamiąc pieczęć milczenia.

— Gdzie on jest?
— Odszedł.
Etamuzu schwycił się za skronie i pochylił głowę, jak po niewidzialnym ciosie.
— Kto wiedział, że on ukrył tutaj niewolnicę?
— Ja — przemówiła Kubatum przez szlochanie. — Ja chciałam...
— Oszukałaś nas! — Na twarzy mego męża Etamuzu gniew przeorał głębokie bruzdy, zmarszczył jego brwi, zapalił ciemnym płomieniem źrenice. — Nie zniosę kłamstwa pod własnym dachem! Gdzie Entemena?
— Nie mówił nic odchodząc.
— Nie wierzę ci! Nie wierzę!
Gniew i lęk są złymi doradcami, zacierają dobre myśli, jak pustynny wiatr zasypuje garby z piasku.
— Gdzie poleciłaś pójść memu synowi? — Etamuzu podniósł wysoko kaganek nad nieznajomą dziewczyną.
Patrzyła na niego ze strachem, drżały jej kąciki ust. Nic nie rozumiała.
— Ja... Ja...
— Odpowiedz!
— Nigdzie...
— Kłamstwo syczy w twoim sercu! Musiałaś mu kazać, skoro odszedł!
— Nie! Nie!
Nieznajoma dziewczyna wyciągnęła ręce, by szukać u mnie pomocy.
— Nie dotykaj mnie! — zawołałam. — Jesteś skalana krwawym piętnem, należysz do bogów!
W jej oczach odbiło się bezbrzeżne przerażenie. Jej palce błądziły odruchowo po czole, jakby chcąc zetrzeć krwawy, złowrogi znak, którego tam nie było. Coś sobie przypomniała, marszczyła w wysiłku czoło, otwierała szeroko oczy.
— Ciemno... — wyszeptała ze skargą. — Było ciemno. Tamten przyszedł... powiedział... a potem słońce... nie wiem.
Ta dziewczyna była jak dziecko zbudzone nagle w nocnej ciemności, przestraszone i nic nie rozumiejące. Wszystko doko

ła, znane i bliskie, zniknęło, pozostała tylko ciemność i przerażenie, nieznane i budzące lęk.

Jej oczy wędrowały po nas jak spłoszone ptaki, czegoś oczekiwała, coś postanawiała.

— Gdzie jest Entemena? — spytała nagle, a głos jej był prawie spokojny, tylko lekkie drżenie (tak drży potrącona struna harfy) zdradzało, ile ją kosztuje ten spokój. — Czy odszedł... za mnie?

Zapłakałam.

— Tyś przyniosła nieszczęście w nasz dom! — zawołał Etamuzu, mój mąż. — Bądź przeklęta!

— Młody pan kazał się nią opiekować... — powtarzała bezwiednie Kubatum. — Kazał się opiekować, kazał...

— Bądź przeklęta! — powtórzył.

— Nie przeklinaj jej! — zawołałam. — Przecież nie wiemy...

— Milcz!

— Młody pan oświadczył, że wróci — spłakana Kubatum chciała nas przekonać, zakląć, przebłagać. — Słyszałam jego słowa własnymi uszami! Mówił, że wróci... Przysięgam, że tak było!

Mój mąż spojrzał na nią strasznym wzrokiem.

— Ja nie mam syna.

— Bogowie! — krzyknęłam w rozpaczy.

— Panie, zamilcz!

— Ja nie mam syna — powtórzył twardo. — Mój syn nie złamałby słowa danego rodzicom. Nie jestem ojcem mężczyzny. Nigdy nie miałem syna.

Cisza ciężka jak kamień zaległa izbę. Kubatum przestała szlochać, moje łzy wyschły, tylko serce waliło jak oszalały ptak o klatkę żeber.

— Jeśli on odszedł... — wargi mojego małżonka wykrzywiły się. — Jeśli odszedł...

Nie mógł wypowiedzieć tego najstraszniejszego.

— Zmiłuj się! Nie odtrącaj naszego syna!

Chyba nie usłyszał mego błagania. Gdy przemówił, dźwięk jego słów był podobny głuchemu łoskotowi ofiarnych bębnów.

— Nie weźmiemy obcych pod nasz dach. Nie skalamy swych

rąk własnością bogów. Nie narazimy się na ich gniew i zemstę!

Pod moimi stopami otworzyła się przepaść. Pojęłam, że Entemena zmylił nas wszystkich i odszedł tam, skąd nie ma powrotu. Cokolwiek się teraz stanie, nie ma znaczenia. Ważne było to, że Entemena oszukał ludzi i bogów, pogrążył nas w bólu, pozostawił samotnych z rozpaczą. Wolałabym umrzeć z nim razem, wolałabym, by ziemia pochłonęła nas wszystkich.

Obca dziewczyna podniosła się z wysiłkiem. Dyszała jak zgoniona łania, jej ramiona i ręce przebiegało drżenie.

— Wybaczcie — skłoniła się nam nisko. — Wybaczcie...

I wyprostowana poszła ku ciemności nocy. Szła tak lekko, że nie słyszałam nawet szelestu jej stóp, gdy znikła w ciemnej wełnie nocy.

Milczeliśmy.

Kubatum bezszelestnie podążyła w ślad za małą niewolnicą.

— Nie odeszła daleko — powiedziała wracając. — Zemdlała zaraz za progiem.

ROZDZIAŁ VIII

W którym dowiadujemy się, że nigdy nie należy poddawać się rozpaczy i zwątpieniu

Tymczasem bębny wystukiwały powolny, monotonny rytm otwierający podwoje niewidzialnego świata. Demony-Annunaki gięły się w takt tego rytmu wyciągając przed siebie dłonie o sępich pazurach i w niskich pokłonach zamiatały pył splątanymi grzywami. W ich kręgu, wznosząc pas Inanny ku górze, stała straszliwa Ereszkigal, w masce o rubinowych oczach. Słońce zapalało w czerwieni rubinu posępne ognie, podobne gasnącemu płomieniowi. U boku Ereszkigal, jej wezyr, Namtar, dźwigał insygnia podziemnego królestwa.

Za demonami ustawiali się kapłani i kapłanki przebrani za bogów, był tam stary, przedwieczny An, Enki, pan wszelkiej mądrości, rządząca chorobami Bau, Enlil — władca powietrza, i wielu, wielu innych. Poznałem ich po atrybutach i maskach.

— Oto nadszedł Czas Wielkiego Sądu! — zawołał jakiś wysoki głos, a ja poczułem, jak przenika mnie dreszcz grozy. Wszyscy ludzie w orszaku zakryli oczy, wielu padło na twarz, czuli się niegodni wgłębiania w wielkie tajemnice. Tylko naznaczeni zostali za wozem najdostojniejszej Szubad, głusi i obojętni na wszystko, chociaż nawet żołnierze wtulili usta i oczy w szary pył.

Teraz nie mogłem już odejść. Odwróciłem zmętniałe z żalu i łez oczy od sceny Wielkiego Sądu. Objąłem rękami skołataną głowę, stałem się głuchy i ślepy. Pod zamkniętymi powiekami miałem obraz zakurzonych sandałów z zasupłanym węzłem nad kostką i obraz owczych skór, które narzuciłem na blade czoło Nin.

A bębny dalej wybijały rytm, prowadząc nim kroki niewidzialnego pochodu.

— Gdzie ona jest? — usłyszałem szept jak najcichszy powiew wiatru. Rozsunąłem palce. Przede mną stała smukła dziewczyna w masce demona Lilit. Pierzaste skrzydła drżały u jej ramion. Nie patrzyła na mnie, obserwowała z natężeniem scenę Wielkiego Sądu.

— Gdzie ona jest?

Ten sam szept brzmiał już zniecierpliwieniem, może nawet narastającym gniewem. Wiedziałem, że mam przed sobą jedną z kapłanek-tancerek, która czeka na swoją kolej w tańcu. Ale przecież ona nie mogła do mnie mówić. Jej usta, widoczne spod maski osłaniającej tylko górną część twarzy, nawet nie drgnęły, jej oczy nie dotknęły mnie nawet przelotnym spojrzeniem.

— Gdzie ona jest?

W szepcie był już rozkaz i gniew. Zrozumiałem, o co pyta.

— Poznasz po zerwanym rzemieniu sandałów — od-szepnąłem poprzez stulone dłonie.

Bębny zabrzmiały głośniej. Dziewczyna wspięła się na palce i pobiegła polotnym, ptasim ruchem, rozkładając szeroko ramiona. Skrzydła u jej barków zdawały się nieść ją przez powietrze, prawie nie dotykała stopami ziemi.

To była tamta kapłanka ze świątyni! To musiała być ona.

Lilit powiodła podziemne demony w szaleńczym korowodzie, ruchami ramion zamykała i otwierała trzepocące skrzydła. Lilit, zły demon wysysający życie z małych dzieci, ścierając z twarzy kobiet rumieniec zdrowia, Lilit nienawidząca Inanny.

Drwal uczynił, co mu nakazano.
Drwal powalił wierzbę nadrzeczną
Na wygodne łoże dla Inanny,
Dla Inanny na bębenek taneczny.
W pył upadło gniazdo gniewnej Lilit,
Potrzaskane jak skorupy dzbanów.
Nienawidzi Lilit od tej chwili,
Nienawidzi promiennej Inanny...

Demony z Lilit na czele okrążyły tanecznym pierścieniem bogów świata nadziemnego i podziemnego, owinęły wężowym skrętem wóz z marami najdostojniejszej Szubad (spłoszone woły jęły podrzucać rogatymi łbami, ich karki napięły się groźnie) i przewinęły się jak rozerwane ogniwa naszyjnika między naznaczonymi. Bębny głucho wybijały rytm ich tańca. To tu, to tam widziałem pierzaste skrzydła Lilit, poruszające się zgodnie z ruchami tańczącej kapłanki.

— Aaa! — rozdarł powietrze nagły krzyk, podobny do przenikliwego skwiru rannego sępa.

Coś padło w pył, Lilit zrzuciła z siebie płaszcz. Smukła i czarnowłosa, stała chwilę bez ruchu. Woły, spłoszone krzykiem i tańcem, zaryczały, usłyszałem trzask pękającego jarzma. Poganiacze zerwali się z pyłu, by uspokoić spłoszone zwierzęta, ale wóz potoczył się gwałtownie między kapłanów i tancerzy poprzebieranych za demony. Ereszkigal uskoczyła na bok długim susem, Enlil zgubił koronę, Enki swoje tabliczki. Zamiast pieśni rozległ się różnogłosy gwar, stary kapłan potrząsając zaciśniętymi pięściami złorzeczył dowódcy pałacowej straży, który podbiegł do niego zginając się wpół w czołobitnym ukłonie.

— Odpowiesz za to! Bogowie cię ukarzą! —- Łaski! — dowódca padł czołem w pył.

Teraz dopiero poganiacze uspokoili zwierzęta. Kapłani naradzali się między sobą.

Dowódca pałacowej straży podniósł czoło z pyłu i zawołał coś do żołnierzy. W ścisłym pierścieniu straży naznaczeni zostali poprowadzeni w ślad za wozem królowej. Ich stopy uniosły w powietrze gęstą chmurę rudego kurzu. Nic nie widziałem.

Żegnałem się z Lugalem w swoim sercu. Prosiłem o przebaczenie, że jestem niezaradny i tchórzliwy, dziękowałem mu za ocalenie Nin.

Za tumanem pyłu osłaniającym wóz grubą zasłoną potoczyły się głazy.

Odwalono zejście do podziemi.

Słudzy pałacowi i niewolnicy zdjęli ofiarne dary ze swoich ramion i złożyli je w pyle. Tutaj gdzieś, wśród płowego piasku, przebiegała granica, której nie wolno przekroczyć nikomu, kto

nie jest Mieszkającym U Stóp Boga. Słudzy świątyni pozdejmowali brzemiona i ujmowali za rzemienie przyprowadzone zwierzęta. Oni to mogli uczynić bezkarnie, bo mieszkali u stóp boga, ale zwykły człowiek, który by podążył w ślad za nimi, musiałby podzielić los naznaczonych krwawym piętnem i odejść do Krainy, Z Której Nie Ma Powrotu.

— Żegnaj, Lugalu — wyszeptałem na próżno wytężając wzrok, by coś jeszcze dostrzec w obłoku wznoszącym się spod stóp ludzi i kopyt zwierząt.

— Żegnaj, przyjacielu...

Zabrano ofiarne dary i zwierzęta, słudzy pałacu i dostojnicy z Rady Królewskiej odprężyli się, powstali z pyłu i odkryli twarze, zaczęły się rozmowy, najpierw ciche i ostrożne, potem coraz głośniejsze i coraz swobodniejsze.

— Te głupie woły popsuły całą ceremonię.

— Zdaje się, nie dokończono pieśni.

— Najważniejsze, że Wielki Sąd odbył się bez zakłóceń.

— Dowódca straży będzie ukarany. On odpowiada za porządek.

— W istocie zrobiło się takie zamieszanie, że wcale się nie zdziwię, gdy się okaże, że najcenniejsze klejnoty zniknęły.

— Niemożliwe! Przecież to świętokradztwo!

— W dzisiejszych czasach ludzie są zuchwali i bezbożni. Nie tak bywało za naszych ojców i dziadów.

— Miód mądrości spływa z twoich warg, czcigodny! Ludzie rozmawiali, uśmiechali się, podchodzili do siebie, jakby za rudym tumanem kurzu nie działo się nic strasznego. Przecież wśród naznaczonych pałacowi słudzy i niewolnicy mieli przyjaciół i krewnych, a czynili wszystko, by nie pamiętać o tym i udawaną obojętnością odpędzać od swego serca żal.

Nagle góry zatrzęsły się od ryku przerażonych wołów. To zapędzano zaprzęg do stromego tunelu prowadzącego do podziemnej komory, oszalałe z przestrachu zwierzęta zapierały się racicami w ziemię, bały się ziejącej przed nimi czarnej czeluści, ryczały unosząc wilgotne nozdrza spływające pianą.

Ich ryk był tak pełen przerażenia, że rozmowy na chwilę umilkły.

— Wybrano nieudolnych poganiaczy! — sarknął ktoś.

— Najbieglejszym trudno jest opanować zwierzęta czujące niebezpieczeństwo.

— Można było je odurzyć napojem.

Tak rozmawiali ze sobą dostojnicy z Królewskiej Rady, przybrani w szaty z najcieńszych tkanin, pięknie zdobione haftem, błyszczący szerokimi bransoletami na ramionach i kostkach nóg.

— Ile to dobra się marnuje!

— Nie bluźnij!

— Wcale nie chcę bluźnić. Nikt z żyjących nie chodził do Kur, nie wiemy, czy potrzeba tylu ofiar. Ale wiemy, że ludziom z naszego miasta przydałoby się wiele z tych rzeczy, które dajemy królowej do podziemnego świata.

— Zuchwałe są twoje słowa i myśli! Bacz, by cię nie ukarali bogowie!

— Bogowie? Bogowie nie będą słuchali moich słów. Bałbym się, gdyby je słyszał nadzorca albo któryś z tych nadętych strojnisiów z Rady.

Widocznie niewolnicy musieli mnie zauważyć, gdyż zamilkli i odwrócili swoje twarze. Pewno wzięli mnie za jednego ze sług świątyni. Czy mogłem im wykrzyczeć, że myślę tak samo jak oni, że pęka mi serce na myśl o Lugalu, który może właśnie, poganiany drzewcem włóczni, zagłębia się w mroczne zejście, z którego bucha chłód i zapach butwiejących liści? Że nienawidzę obojętnych kapłanów rozdających wzniesieniem ręki życie lub śmierć? Że nie ofiarowałbym najdostojniejszej Szubad nawet kulawego koziołka, by szedł z nią do Kur? Tak, nie ofiarowałbym! Nie zasługiwała na żadne dary. Była pyszna i okrutna, kochała tylko siebie i swoje wspaniałe klejnoty.

Ceremonia dobiegała końca. Już gromady tancerzy i śpiewaków świątyni zbierały się do powrotnej drogi. Pozdejmowali maski i przebrania, rozmawiali między sobą i śmieli się.

Teraz i ja mogłem odejść z płowej doliny. Wstałem i ruszyłem przed siebie ciężko powłócząc stopami. Czułem się tak, jakby i na moim czole nakreślono krwawe piętno naznaczonych. Drżałem na myśl, że będę musiał spojrzeć w oczy Nin, że będę mu-

siał odpowiedzieć na jej pytania. To nic, że ona może nie pamiętać, była przecież odurzona, półprzytomna, ale ja pamiętam. Lugal-azida naznaczył moje czoło i żadne wody nie mogą zmyć tego znaku.

Krok za krokiem postępowałem za orszakiem tancerzy, nie rozumiałem, dokąd podążam. Za mną zostawało miejsce, gdzie skończyła się droga Lugala, gdzie jego stopy w sandałach z zerwanym rzemieniem postawiły ostatni krok. Cóż z tego, że szedłem wiernie u jego boku, skoro zostawiłem go w najcięższej chwili? On by tak ze mną nie postąpił.

Tamta kapłanka. Pomyślałem sobie, że pewno szepnęła mu słowa pożegnania. Ale czy je zrozumiał? Czy wiedział, że to ja, Entemena, go żegnam? Enki, władco mądrości! Jakże jestem małoduszny, gdy staram się sam przed sobą wytłumaczyć! Bądź odważny, Entemeno, bądź szczery chociaż wobec siebie! Nie potrafiłeś nawet pożegnać przyjaciela, który odszedł, by inni byli szczęśliwi.

Szurałem stopami, kurz zasypywał mi oczy, gardło dusiły łzy. Kolczasty krzak szarpnął mnie za ramię, ale nie poczułem bólu. Myślałem. Kurczyło się moje serce, jak mysz wciśnięta w jamę przed niebezpieczeństwem.

Mijali mnie uczestnicy orszaku, przejeżdżały wozy zaprzężone w cierpliwe osły i powolne woły. Wszyscy wracali do miasta, by zapomnieć.

Starałem się wyobrazić sobie, co się rozgrywało w mrocznych podziemiach rozświetlonych tylko słabym pełganiem kaganków.

Biało ubrani kapłani schodzą tam za naznaczonymi. O tym wiedziałem. Gdy schodzą, strażnicy zawalają głazami zejście do grobowca, zasypują ziemią, by żadne oko nie odnalazło wykutego w skale szybu. Potem kapłani wracają. Tylko oni wracają, nikt inny.

Zaraz. Wracają? Którędy? Pewno Lugal wiedziałby o tym. A może by nie wiedział, jeśli to jedna z Wielkich Tajemnic, którą znają tylko wtajemniczeni.

Nagle perlisty pot zrosił mu czoło, myśli jak natrętne szakale krążyły i krążyły w mojej głowie. Tam musi być drugie wyjście!

Zamaskowane i ukryte, o którym wiedzą tylko kapłani! Przecież zbocze nie otwiera się na władczy gest dłoni najwyższego kapłana. Nie wierzę w to. Tam musi być drugie wyjście!

Po prostu bałem się myśleć dalej! Ale myśli chwyciły mnie w sieć i ciągnęły za sobą. Więc jeśli kapłani mogą iść i powracać na blask Utu...

„Gdybym je tylko potrafił odnaleźć..."

„Nie. Niemożliwe. Nie potrafiłbyś TAM pójść, Entemeno. "

„Gdybym potrafił je odnaleźć..."

„Nikt z żyjących, Entemeno, nie odważy się pójść w mrok."

„TAM jest Lugal."

„Ty nie wiesz, co TAM jest. Tam jest ciemność i lęk, i niewiadome."

„Bogowie nie pozostawią bez pomsty takich zuchwałych myśli. Zabiorą ci Nin tak, jak zabrali Lugala. Zabiorą ci matkę i ojca, i dom, i stada. Dla nich nie ma rzeczy niemożliwych. Sprawią, że twoje ciało wyschnie jak odcięta gałąź, że twoje barki się pochylą, a oczy zmętnieją jak woda w wysychającej kałuży. Nie wywołuj gniewu bogów, Entemeno!"

„Gdybym jednak TAM poszedł..."

„Ulituj się nad Nin, Entemeno! Ulituj się nad bólem swych czcigodnych rodziców. Porzuć te myśli!"

— Hej, synu złotnika!

Potrząsnąłem głową. Demony, które opanowały mnie, poważały się wołać głośno w jasnym świetle Utu, a ja byłem bezbronny, bez chroniących amuletów, z niemymi wargami, z których zmęczenie i strach zabrały słowa zaklęcia.

— Synu złotnika! Dlaczego nie słyszysz, gdy wołam?

Młoda kapłanka przykucnęła na piętach pod ciernistym krzakiem, antymon i barwiczki rozmazały się i spłynęły po jej policzkach brudnymi strugami. Nie miała już skrzydeł Lilit ani barwistego płaszcza, ale poznałem zaraz, że to ona.

— Dzięki ci — z trudem poruszyłem wargami, mój głos brzmiał jakby z wnętrza glinianego dzbana, nie poznawałem go. — Dzięki ci, że pamiętałaś obietnicę i oddałaś pozdrowienie...

Zerwała się na równe nogi i podbiegła do mnie.

— Ty przeklęty kłamco! — zasyczała jak piaskowa żmija.

Oniemiałem.

— Okłamałeś mnie! — Oczy tancerki zwęziły się jak u czatującej pantery. — Nigdy ci tego nie daruję!

Ciągle nic nie rozumiałem.

— Dlaczego kłamałeś?!

Podniosłem dłoń w górę, biorąc niebo za świadka prawdy, i zawołałem:

— Nie mówiłem ci fałszu, przysięgam!

— Krzywo przysięgasz, oszuście!

— Nie jestem oszustem! Czego chcesz ode mnie?

Mój głos drżący oburzeniem musiał ją zastanowić. Odrzuciła włosy z czoła i powiedziała już prawie spokojnie:

— Dlaczego opowiadałeś mi o niewolnicy, którą kochasz i pragniesz wziąć do swego domu?

— To była prawda.

— Prawda?! Mówiłeś, że poznam ją po zerwanym rzemieniu u sandałów?

— Tak, ale...

Nie pozwoliła mi na żadne wyjaśnienia. A ja zaczynałem coś pojmować, chociaż jeszcze nie śmiałem karmić serca próżnymi nadziejami.

— Gdzie jest ta dziewczyna? — zawołała tancerka. Zdecydowałem się.

— Bezpieczna w ukryciu.

— To kim jest... — jej usta otwierały się bezgłośnie, tak dyszą ryby wyrzucone na piasek z ciemnych fal rzeki, w oczach miała lęk i zdziwienie. — To kogo ja...

— Poczekaj! — chwyciłem jej ręce tak mocno, że aż jęknęła z bólu. — O czym ty mówisz?

— Puść mnie! — wyrwała dłonie z moich. — Ty nie wiesz, co mnie czekało, gdyby ktoś spostrzegł mój czyn! Dotąd jestem słaba od tego strachu. Bo ja się bałam, rozumiesz? Bardzo się bałam. Ale sobie powiedziałam, że ona jest moją siostrą, i przestałam się bać.

— Mów dalej.

— Sama nie wiem, jak to się stało. Chciałam się głośno śmiać z

radości. A potem, potem...

— Co potem?

— Podniosłam płaszcz i zobaczyłam kogoś innego...

— Kiedyś ci wyjaśnię wszystko — powiedziałem. — Zresztą najważniejsze, żeś go ode mnie pożegnała.

— Co?

— Pożegnałaś go. To było bardzo trudne.

Odeszła kilka kroków i usiadła na piasku. Ukucnąłem obok niej.

— Wcale się nie pomyliłaś. Jesteś bardzo dzielna. I mądra.

— Odejdź!

— Rozumiem, na co się narażałaś — starałem się mówić wyraźnie, jakbym rozmawiał z małym, dzieckiem albo cudzoziemką nie znającą naszego języka. — Złamałaś odwieczne prawo. Ale pomyśl, jeżeli zrozumiał słowa pożegnania... to wiedział, że Nin jest ocalona. I było mu lżej.

— Ach, czy ty nic nie rozumiesz?! — uklękła przede mną na piasku, patrzyłem wprost w jej twarz z rozmazanymi szminkami i strużkami potu sączącymi się wśród kurzu osiadłego na policzkach i czole. — On TAM nie poszedł!

— Co?!

Tyle tylko zdołałem wykrztusić ze ściśniętego gardła.

— Nie widziałeś, jak tańcząc zrzuciłam płaszcz?

— Widziałem, ale...

— Zdążyłam mu szepnąć: „Padnij!" Powtórzyła mi to drugi raz. Usłyszał. Pojął. Padł. Zrzuciłam płaszcz. Wprost na niego. Na szczęście w tym momencie woły spłoszyły się. Strażnicy pognali naznaczonych za wozem. Już nie musiałam tańczyć. Wróciłam po płaszcz. Udawałam, że wbił mi się cierń w stopę. Uklękłam i powiedziałam znowu: „Nie patrzą. Biegnij do wozu przystrojonego piórami, ukryj się, tam leżą szaty. Odnajdę cię, siostro!" Tak właśnie powiedziałam: — Siostro. I bardzo chciałam spojrzeć na dziewczynę, dla której ktoś nocą miał odwagę iść do najwyższego kapłana. Więc odchyliłam płaszcz na jedno mgnienie oka...

A ja śmiałem się i płakałem na przemian.

— Gdy odchyliłam płaszcz, noc padła na moje oczy. Uwolni-

łam kogoś innego! Ukradłam bogom coś, do czego nie miałam praw! To za tamtą dziewczynę złożyłam ofiary w świątyni i błagałam Inannę, która mnie wysłuchała. Dała mi przychylny znak.

Nie mogłem przemówić ani słowa.

— Zobaczyłam chłopaka! Małego chudego chłopaka! Miał takie oczy, jak łania zaszczuta przez psy. A ja nienawidziłam go! I mimo to powiedziałam: „Biegnij". Chyba dlatego, że miał takie oczy. Ale chętniej zatopiłabym mu sztylet w piersi! Chciałam, żeby go pochłonęła ziemia! Ale kazałam mu biec do wozu. I wtedy przysięgłam, że się zemszczę na tobie, gdyż mnie oszukałeś! Patrz — odchyliła szatę: za pasem tkwił wąski sztylet z głową pawiana zamiast rękojeści. — Szedłeś, ja czekałam tutaj, by cię ukarać za kłamstwo. Ale gdy spojrzałam na ciebie, wiedziałam, że nie okłamałeś mnie. Tak nie może wyglądać kłamca. Powiedz, co się stało?

— Powiem ci, ale mów najpierw, gdzie on jest?!

— W świątyni. Myślę, że już jest w świątyni.

— I nic mu nie grozi?

— Nie.

Padłem na twarz i dotknąłem ustami jej stóp. Tak czyni niewolnik, by okazać panu swoje posłuszeństwo i pokorę.

— Wstań — rozkazała. — Opowiesz mi wszystko. A o zmroku przyjdź po tego chłopaka. W porze, gdy Enlil udaje się na spoczynek, nie dojrzy was żadne złe oko.

Miałem ochotę tarzać się ze szczęścia po piasku jak małe szczenię, śpiewać jak ptak, wołać głośno. Bogowie usłyszeli moje błagania, to oni zesłali tę tancerkę! Pomogli, spełnili moje pragnienie! Byłem taki szczęśliwy!

— Powiem ci, co się stało. Ale zdradź mi, jak się nazywasz? Gdy będę składał ofiary bogom, muszę wszak wypowiedzieć twoje imię.

— Mam na imię Abisimti.

— Posłuchaj mnie, Abisimti — zacząłem, ale nie danym mi było wymówić ani słowa więcej. W bezludnej kotlince, gdzie się schroniliśmy, w rozprażonej słońcem ciszy wyraźnie usłyszałem liczne kroki, toczyły się po zboczu strącane czyimiś stopa-

mi kamienie.

— Pamiętaj, dziś wieczór! — szepnęła Abisimti i jednym skokiem, jak uciekająca łania, zerwała się z miejsca. Przypadła za załom skalny, pochyliła się, zręcznie jak wąż przesuwała się pod ścianami kotlinki, zniknęła, nim zdążyłem się wyprostować.

— To on!

— Stój, złodzieju! Nie ujdziesz nam!

— To na pewno on! — powtarzał zapłakany, chłopięcy głos. Chłopak, z którym rozmawiałem w orszaku, pokazywał mnie

barczystemu mężczyźnie. Za ich plecami postępowali niewolnicy z pałacu.

Ich twarze nie wróżyły nic dobrego.

— To on ukradł barana! — oskarżał chłopiec.

— Łżesz! — powiedziałem. — Baran ci uciekł!

— Uderzył barana i zabrał go sobie! — powtarzał chłopiec pociągając nosem. Jeden policzek miał spuchnięty i zaczerwieniony.

— Ty bezczelny złodziejaszku! — barczysty mężczyzna podszedł blisko do mnie, odwijał bicz z grubej skóry. — Ukradłeś bogom ofiarne zwierzę! Nic ci nie_ pomoże!

Nie obawiałem się jego pogróżek, chciał mnie zastraszyć, bym truchlał przed nim.

— Spytaj go o prawdę — wskazałem na zapuchniętego chłopca. — Niech ci powie, dlaczego baran uciekł.

— On go spłoszył! — zawołał znowu chłopak.

— Po co miałbym płoszyć twego koślawego barana! — zadrwiłem. — Mamy takich w swoim stadzie tyle, ile jest ziarn w kłosie jęczmienia!

Mężczyzna z batem milcząc słuchał moich słów.

— Kłamstwo! — krzyknął chłopiec.

— Sam kłamiesz!

— On kłamie — chłopiec z podniecenia aż się zająkiwał. — Jego ojciec jest rybakiem z bagnisk, Nie ma żadnych stad!

Zapomniałem zupełnie o swoich zmyśleniach. Zrobiło mi się zimno, jak człowiekowi, który bez płaszcza zasnął na ziemi w porze deszczów, a potem gorąco, jakby pryśnięto mi w twarz ukropem. Teraz, kiedy stało się coś, o czym nie śmiałem nawet marzyć, miałbym ponieść porażkę przez kłamliwe skomlenie tego wyrostka?

Ale nie to było najgorsze. Jako złodziej mogłem być postawiony przed sąd, gdzie mogło wyjść na jaw, że zabrałem bogom i najdostojniejszej Szubad nie tylko wełnistego barana (mniejsza o tego barana!). To by zgubiło nie tylko mnie, ale także mojego ojca i matkę, Nin-dadę, Lugala-azidę, tancerkę ze świątyni, rybaka z mokradeł i pałacowego strażnika. Postanowiłem zadać kłam chłopakowi. To była jedyna droga ratunku.

— Każdy może ci powiedzieć — zwróciłem się do nadzorcy — że moim ojcem jest królewski złotnik.

Upał i zbytnie wzruszenia pokręciły w głowie temu pasterzowi. Albo bierze mnie za kogoś całkiem innego. Oczy chłopca błysnęły złością.

— Mówił, że się nazywa Arnu!

— Nie mogłem tak mówić. Nazywam się Entemena. — Łżesz! Nazywasz się Arnu i jesteś synem rybaka!

Zaprzecz, jeśli potrafisz!

— Zaprzeczam. Ja, Entemena, jestem synem złotnika. Nie mogłem mówić tego, co opowiada pasterz.

Nadzorca już otworzył usta, by coś powiedzieć, ale nigdy nie dowiedziałem się, czy mi uwierzył. Jeden z pałacowych niewolników podniósł otwartą dłoń do góry.

— Na promienie Utu i Prawieczne Morze! Pasterz mówi prawdę! Słyszałem, jak ten tu oto nazwał sam siebie imieniem Arnu i mienił się być synem rybaka.

Jeszcze nie skończył, gdy zaświstał bicz. Porwało mnie wiele par silnych rąk, nałożono mi pęta, ciągnięty za sznur, opasujący moją szyję, zostałem pognany do miasta. Ludzie wracający po ceremonii pogrzebowej wytykali mnie palcami i przepowiadali słuszną karę. A ja szedłem z pochylonym czołem i powtarzałem sobie:

— Oto zapłacisz i ty, Entemeno! Przyjmij swoją część w spokoju, tak jak przyjął ją Lugal. Okaż się wreszcie dojrzałym mężem, a nie strachliwym chłopcem!

ROZDZIAŁ IX

W którym matka Entemeny opowiada o tym, że czasem trzeba umrzeć, by się na nowo urodzić

Trudno mi opowiadać o tamtych ciężkich dniach i nocach, gdy mój mąż, złotnik królewski, wyrzekł się naszego syna. Ogłuchł na słowa ludzi, siedział skulony w popiele ogniska, z twarzą poczerniałą od męki, i suchymi oczyma wpatrywał się w ścianę domu. Te oczy były puste jak bezdenna woda, nieszczęście zgasiło ich blask. Na próżno Arnu zbliżał się do niego z napojem i jadłem, na próżno usiłował powtórzyć mu zasłyszane na mieście nowiny o Entemenie, bo byli ludzie, którzy widzieli go, jak podążał w orszaku odprowadzającym najdostojniejszą królową do pieczar w dolinie. Wtedy twarz mego męża stawała się twarda i nieprzenikniona jak kamień.

— Nie mam syna! — odpowiadał martwym głosem.

Gdyby niebo runęło mu na głowę, gdyby stanęli przed nim bogowie, gdyby objęły go płomienie, siedziałby tak samo, porażony rozpaczą, ślepy i głuchy.

Nie pytajcie, co ja przeżywałam. Nigdy nie potrafię tego opowiedzieć. Nieszczęście przygięło mnie do ziemi, jak wicher przygina wątłe trzciny, moje włosy pobielały, a głos stał się słaby jak cykanie szarańczy. Lecz nie opłakiwałam Entemeny. Nie wierzyłam, że odszedł od nas. Na każdy szelest biegłam patrzeć, czy to nie on nadchodzi, każdego dnia czekałam znaku czy wieści.

Bo od chwili, kiedy podniosłam z ziemi tamtą małą zemdloną niewolnicę i położyłam rękę na jej czole, nabrałam jakiejś dziwnej pewności, że Entemena żyje.

Nie wiem, skąd czerpałam tę pewność, nie potrafiłabym na to odpowiedzieć ani wtedy, ani dziś jeszcze. Musiałam położyć na ustach pieczęć milczenia, albowiem nikt w naszym mieście nie

mógł się dowiedzieć, co zamierzył mój syn i dlaczego odszedł od nas. Ciekawskim opowiadałam, że wysłaliśmy go do powinowatych na wieś.

Byli i tacy, którzy mówili, że Entemena został uwięziony i kręci żarna w pałacowych podziemiach. Nie wierzyłam temu. Entemena nie mógł popełnić przestępstwa, za które więziono by go jak pospolitego złodzieja!

Chora dziewczyna potrzebowała opieki, nie mogłam jej odmówić, jeżeli przygarnęłam ją pod nasz dach. Przytykałam gliniak z ziołami do jej spieczonych warg, zmieniałam mokre chusty na jej rozpalonym jak kamienie prażone przez słońce czole i bałam się, że lada chwila pęknie cienka nić trzymająca ją jeszcze na ziemi, wydawało mi się, że jej nieruchome oczy przysypywał już szary popiół Kur.

Trzeciego dnia, gdy Utu zgasił już swój blask, gdy cienie z pustyni przypełzły pod progi domów, Kubatum zawołała mnie.

— Pani — szepnęła pospiesznie. — Ktoś chce z tobą mówić.

Cień omotany ciemnymi kobiecymi chustami zastąpił mi drogę.

— Kim jesteś?

— Moje imię nic ci nie powie — szept wtapiał się w mrok, zanikał. — Wiem, co się dzieje z twoim synem.

— Żyje?!

— Żyje. Znam sposób jego ocalenia.

— Mów, na bogów!

— Wielki Brat dał znać złotnikowi — szeptał cień. — Lecz złotnikowi demony zaćmiły rozum i odrzekł, że nie ma syna. Przeto mówię z tobą. Musisz go przekonać, by stawił się przed Zgromadzeniem. Za więźnia można dać okup, nie zawsze, ale .czasem jest to możliwe. Złotnik musi tam być!

Nic nie rozumiałam, ale wiedziałam, że Entemena żyje i istnieje jakiś sposób jego ratunku. Ta wieść dodała mi sił, w tej chwili mogłabym wzlecieć ku gwiazdom! Było mi obojętne, co popełnił, radość przysłaniała mi wszystko!

— Powiem, przekonam — zapewniałam nieznajomą.

— Pamiętaj, że od tego zależy ocalenie twego syna.

— Tak.

— Dasz mi znać jutro, co postanowiliście.
— Przyjdziesz?
— Nie, to ty udasz się do Wielkiej Świątyni. Zaniesiesz dary. Będę tam na ciebie czekała.
— Jak cię odnajdę?
— To ja cię odnajdę.
Jak Iszkur niosący burzę wbiegłam do izby, chwyciłam ramię mego małżonka i zawołałam:
— Porzuć smutek! Entemena żyje!
Coś, jakby płomień zapaliło się w jego źrenicach, ale zgasło z$_a$raz.
— Wiem. Ukradł zwierzę ofiarne.
— Więc wiesz?! I milczysz?!
Z niezmiernym smutkiem odpowiedział mi mój mąż, królewski złotnik Etamuzu:
— Kochałem go. Chciałem mu pomóc. Lecz gdy zobaczyłem tę dziewczynę pod moim dachem i pojąłem, że on z pustoty i nieposłuszeństwa pobiegł za orszakiem, nie mogę go uznać za syna. Taka jest prawda, kobieto, i żaden bóg ni człowiek zmienić jej nie może.
— Musiał być powód, dla którego wrócił do orszaku!
— Znasz go?
— Nie, ale wiem..
— Nic nie wiesz.[1]
— Co uczynisz?
— Opłaczę zmarłych, jak każe obyczaj.
Okrutne to były słowa i wiem, że wypowiedzenie ich rozdzierało serce Etamuzu, mego małżonka. Był surowy i sprawiedliwy, a to, co rozważył, było rzetelne jak złota sztaba. Ale Entemena był moim synem. Ja też bałam się kary bogów, lecz nie mogłam go zostawić bez pomocy. Krowa w obronie cielątka nie lęka się lwa ni myśliwego.
W umówionym czasie udałam się do świątyni. Złożyłam przyniesione dary na dziedzińcu i błagałam promienną Inannę i dobrą boginię Ninlil, by wejrzały na ból mego serca.
— Chodź za mną!
Znałam już ten głos, który przemówił do mnie z półmroku.

Młoda kapłanka o czarnych włosach uśmiechnęła się do mnie.

Poszła przodem, a ja udawałam, że tylko przypadkowo podążam tym samym śladem.

Przeszłyśmy przez świątynne ogrody, przez cienie figowców i sykomor, kwitły tam kwiaty i zioła nie znane mi nawet z nazwy, biegały oswojone zwierzęta nie lękające się człowieka.

Wreszcie doszłyśmy do spiętrzonych głazów, wśród nich widniało ciemne wejście do pieczary. Na kamiennych złomach siedziały rzędem małpy o psich głowach, nieruchome jak posągi demonów.

— Tu możemy rozmawiać bez obawy — powiedziała kapłanka. — Nic się nie bój, one mnie znają i nie uczynią ci żadnej krzywdy.

— Co z Entemeną?!

— Wielki Brat będzie świadczył za nim. I ja też.

Nie rozumiałam. Co mogło łączyć mego syna z kapłanką ze świątyni? Dlaczego pragnie wystąpić w jego obronie?

— Powiedz mi... co on... co Entemena... za co mają go sądzić?

— Za samowolne przyłączenie się do orszaku i kradzież ofiarnego zwierzęcia. Tak powiedział Wielki Brat.

Więc to była prawda! A ja myślałam, że rozpacz pomieszała rozum memu małżonkowi!

— To nieprawda!

— Ja i ty wiemy o tym, ale trzeba, by w to uwierzyli sędziowie. Uwierzyli i nie dowiedzieli się, dlaczego Entemena poszedł do pieczar w dolinie.

Przypomniałam sobie słowa mego męża. I to była prawda! Dlaczego tam poszedł? Dlaczego? Przecież spełnił swój szaleńczy zamiar, odebrał bogom ofiarę, jak pasterz odbiera owcę z pazurów pantery. A jednak poszedł...

— A ty wiesz dlaczego?

— A ty nie wiesz?

Pochyliłam głowę w przytakiwaniu.

— Naprawdę nie wiesz?

Kimkolwiek była ta dziewczyna, nie była wrogiem Entemeny.

— Jego ojciec wyrzucił go ze swego serca.

— A dlaczego tak uczynił?

W jej oczach był smutek i współczucie, rozumiała mój ból i lęk, chciała mi pomóc. Wyczuwałam to.

— Nie mogę na to pospiesznie odpowiedzieć. To długa historia.

— Jak chcesz. Nie nalegam.

— Nie mam zamiaru ukrywać niczego przed tobą, chociaż nie wiem, dlaczego sprzyjasz memu synowi. Po prostu Entemena zawiódł nasze zaufanie, oszukał nas, ojca i matkę. Ze swawoli, z pustoty, nieposłuszeństwa pobiegł za orszakiem... Głos mi się załamał.

— Naprawdę myślisz, że uczynił tak z pustoty czy ze swawoli? Czy masz jakieś dowody, by tak mniemać?

Zawahałam się. Nie, jednak nie mogłam tej dziewczynie powierzyć tajemnicy małej Nin.

— Musi ci wystarczyć, że takie dowody istnieją.

— A jeżeli przysięgnę, że twój syn miał powód, by udać się z orszakiem odprowadzającym najdostojniejszą królową? Czy mi uwierzysz?

Jej brwi zbiegły się w jedną prostą kresę, czoło zmarszczyło się. Teraz wydawała mi się dużo starsza niż poprzednio, nie była młodziutką dziewczyną, lecz kobietą dojrzałą i mądrą gorzką mądrością, jaką daje przeżyty ból.

— Przecież ty nie wierzysz w winę Entemeny — podjęła. — Na pewno nie wierzysz! Pragnę, byście mi zaufali i dopomogli. Sami wiele nie zdziałamy. Jedna prawica nie podniesie wielkiego głazu, wiele ramion podźwignie go bez trudu.

— Sama wiesz, że uczynię dla swojego syna wszystko.

— Więc musisz przekonać swego męża, królewskiego złotnika Etamuzu, by odwrócił swój gniew od waszego syna.

— Pomóż mi znaleźć potrzebne słowa, kapłanko.

Wielkie małpy czepiając się zwinnie złomów skał spuszczały się coraz niżej i teraz już były od nas nie dalej, jak o rzut kamieniem. Siedziały w kucki, wyciągając psie pyski i patrząc matowymi oczami. Największa z nich, o siwej grzywie sterczącej na karku, zaszczekała gniewnie.

— One należą do Enki, pana mądrości — kapłanka zatoczyła ręką krąg. — Są bardzo mądre i czasem znają rzeczy zakryte

przed oczyma śmiertelnych. Radzą mi, bym ci zdradziła tajemnicę, której strzegą.

Powiedziała to tak, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz, a ja poczułam dreszcz przerażenia.

— Czy chcesz poznać ich tajemnicę, żono złotnika? Lecz bacz, gdyż ta tajemnica jest także moją, a stanie się twoją własnością, gdy powiesz — tak.

Niezdolna wymówić słowa, kiwnęłam tylko głową.

Kapłanka odwróciła się do mnie tyłem, usłyszałam świergot małego ptaka, który przelatywał w koronach drzew. Małpy odsunęły się. W zapadłej ciszy usłyszałam, jak gdzieś obsypuje się żwir i drobne kamienie. Ktoś nadchodził spomiędzy skał.

Nie poznałam go. Nie mogłam go poznać. To wyszarzałe, wychudłe widmo nie mogło być Lugalem-azidą, wychowankiem Wielkiego Brata! Stał do połowy ciała wychylony z mroku jaskini, jego dłonie spoczywały bezradnie na głazach. Był demonem, człowiekiem?

— Poznajesz go?

Skinęłam głową w przerażeniu.

— To przyjaciel twego syna. Ten, którego Entemena uratował od odejścia do Krainy, Z Której Nie Ma Powrotu.

Nogi ugięły się pode mną, musiałam się wczepić palcami w ramię kapłanki, by nie upaść.

— Jak to! Więc...

— Nie mogę ci wyznać, jak to się stało. Chciałam cię tylko przekonać, że twój syn nie uczynił tego, co uczynił, z pustoty i nieposłuszeństwa. Teraz wierzysz?

— Nie wolno ci się do niego odezwać! — ostrzegła. — On je strawę umarłych i milczy jak oni. Wolno mu będzie przemówić, gdy zostaną złożone nie nazwane ofiary, a on urodzi się ponownie. Tak postanowił Wielki Brat.

Dała znak ręką i blade widmo cofnęło się w mrok pieczary.

— Jego dotknięcie kala jadło i napój, jego cień szkodzi plonom, zresztą wiesz o tym — dopóki nie wróci do świata żywych, musi pozostać tutaj, bo tylko tutaj jest bezpieczny. One — wskazała na małpy — nic mu złego nie zrobią, a ochronią go przed złym wzrokiem innych.

Jakby na potwierdzenie jej słów psiogłowe małpy otoczyły ścisłym kręgiem wejście do pieczary.

— Teraz wiesz wszystko, a my oczekujemy waszej pomocy — kapłanka dotknęła mojej ręki. — Ja i Wielki Brat liczymy na twego męża, królewskiego złotnika.

Myśli zalewały mój rozum, jak woda przyboru zalewa bruzdy

pól. Gubiłam się w swoich domysłach, byłam jak dziecko, które stłukłszy dzban, stara się w obawie przed karą ułożyć całość z potrzaskanych skorupek.

— Ty go ocaliłaś?

— Ja i twój syn, żono złotnika.

— I ukrywasz go, ty, kapłanka? Przecież...

— Są różne dziwne rzeczy na świecie. Widziano już lwie szczenię w dziecięcej kołysce i mówiące szakale, wody dzielące się, by dać stopom ludzkim przejście, i ogień, który nie pali.

Odeszłyśmy stamtąd. Pragnęłam zadać tej kapłance wiele, bardzo wiele pytań, ale nie śmiałam. Ona sama przerwała milczenie.

— Nie urodziłam się, by służyć bogom. Myślałam, by odejść stąd. Czy mnie pojmujesz?

— Dlaczego więc nie odeszłaś?

— Kto da świątyni bydło, jęczmień i klejnoty, płaszcz dla posągu boga i wonności? Cena wykupu jest bardzo wysoka.

— Jesteś piękna, kapłanko.

— Ale nie chcę być jedną z wielu kobiet w domu bogacza ani własnością kupca, który odstąpi mnie potem komuś innemu. Wiesz, kiedy bym odeszła? — Na jej policzki padł cień długich rzęs. — Gdyby ktoś starał się o mnie naprawdę, gdyby mnie naprawdę pokochał.

— Czy nie ma takiego człowieka?

— Może jest.

— I wykupi cię, kapłanko? Roześmiała się.

— Wiesz, żono złotnika, co powiada przysłowie?

Płaszcz biedaka jest zawsze za krótki. Jeśli zasłania plecy, to marzną ramiona.

— Znam i inne przysłowia. Dobra żona nie ma ceny.

Szłyśmy szybko przez ogród świątynny, a płochliwe gazele i barwiste ptaki uciekały na nasz widok. Pachniały kwiaty nie znane mi nawet z nazwy. Świątynny sługa w nie przepasanej szacie powtarzając zaklęcia zbierał wąskie liście do glinianej misy.

Przed nami, jak wielka góra, wznosiła się świątynia, schody i tarasy biegły do nieba, ginęły wysoko, tam gdzie promienie Utu

zapalały olśniewające blaski w gładkich ścianach.

— Sąd wyznaczono na jutro.

— Niech ci błogosławią bogowie, kapłanko!

— Obym mu tylko mogła pomóc...

Teraz uwierzyłam, że przełamię rozpacz mego męża, że wrócę mu chęć życia i miłość do syna.

— Cokolwiek powiesz królewskiemu złotnikowi, nie wolno ci wspomnieć ani słowem o tym, co widziałaś. Umarli muszą pozostać umarłymi, aż przyjdzie czas, że urodzą się raz jeszcze.

Złożyłam swoje ręce w jej ręce i przysięgłam Wielką Przysięgą, że dochowam wiernej tajemnicy, że nie zdradzę jej ani bogom, ani demonom, ani ludziom.

Szłam do domu nieprzytomna, nie poznawałam mijanych domów ani ich mieszkańców. Wciąż sobie powtarzałam w myślach to, czego się dowiedziałam, i to, co wiedziałam już dawniej. Entemena chciał uratować dziewczynę, tę, która leży nieprzytomna pod naszym dachem, a uratował wychowanka Wielkiego Brata. Co mogło łączyć tę małą niewolnicę z Lugalem-azidą? I zresztą Lugal nigdy nie był przyjacielem mego syna, któż wiedział o tym lepiej niż ja, jego matka? Jak to się stało, że Entemenę oskarżono o kradzież? Mógł być nieposłuszny, leniwy i swawolny, ale nigdy nie wyciągnął ręki po cudzą własność... Nic, gdy Entemena wróci do domu, wszystko stanie się jasne. Oby tylko wrócił!

Nie pragnęłam teraz dla mego syna żadnych zaszczytów i bogactw, nie chciałam już go widzieć z odznakami pisarza kreślącego znaki na wilgotnej glinie lub bez zająknięcia odczytującego prawo ludziom, którzy zawiśli wzrokiem na jego wargach. Kiedyś marzyłam o tym dla niego, lecz teraz pragnęłam tylko, by żył. To, co uczynił, było niepojęte i straszne, bałam się kary, ale nie potrafiłam myśleć o nim inaczej, jak z czułością. To był mój mały Entemena, nieposłuszny koziołek, który karmił własnym chlebem zgłodniałe kundle o sparszywiałych bokach i oddał chudemu dziecku z lepianek pięknie pomalowaną lalkę. Może on sam o tym nie pamiętał, ale ja nigdy nie zapomnę.

Nawlekałam sobie w myślach, jak paciorki, zdania, którymi pragnęłam skłonić mego męża, królewskiego złotnika Etamu-

zu, by powstał z popiołu ogniska.

Nie jestem z tych kobiet, które spędzają czas w świątyni lub na plotkach przy źródle, moje ognisko nigdy nie wygasło, mój mąż Etamuzu musi wysłuchać tego, co mu powiem. A ja muszę umieć odnaleźć potrzebne słowa, chociaż wielu spraw nie pojmuję.

Gdy tak wędrowałam pogrążona w rozmyślaniach, para białych gołębi sfrunęła pod moje stopy. Gruchały nadymając podgardla, w blasku Utu ich pióra świeciły czystym srebrem.

Zaniosłam modły do Inanny. Ona wejrzała w moje serce, ujrzała, że nie ma w nim fałszu ni zdrady, i dała znak. Jej święte ptaki przyniosły mi zgodę bogini. Nigdy przedtem nie widziałam tak pięknych ptaków poza obrębem świątynnego podwórca, gdzie karmiono je najczystszym ziarnem i pojono kryniczną wodą.

— Mała niewolnica otworzyła niedawno oczy — powitała mnie Kubatum. — Była przytomna. Mówiłam z nią.

— A teraz?

— Dałam jej wywar. Zasnęła.

— Dobrze. Niech śpi. Co czyni pan?

— Płacze po utracie młodego pana.

— Idź do tej małej, Kubatum.

— A ty, pani?

— Ja porozmawiam z panem. Nie chcę, by ktokolwiek przeszkadzał mi w tej rozmowie.

W ciemnej izbie, w dawno wygasłych popiołach ogniska, siedział mój małżonek, zgarbiony i dziwnie zmalały. Jego pochylone plecy wstrząsało tłumione łkanie.

ROZDZIAŁ X

W którym Entemena winien umieć milczeć

— **O**to jest złodziej trzody — powiedział nadzorca, który wszedł za mną. — Weźcie go i czyńcie podług zwyczaju.

Bez jednej łzy w oczach pozwoliłem sobie nałożyć pleciony kaganiec na usta, bym nie mógł wargami pochwycić ani drobiny mąki czy ziarna. Dałem się pchnąć między wynędzniałe cienie niewolników od żaren i bez skargi przyjąłem pierwszą chłostę, bym pamiętał, że opieszałość i zuchwalstwo są surowo karane przez dozorców.

„Bogowie są sprawiedliwi — myślałem — żądają życia za życie, oka za oko, owcy za owcę. Pozwolili na uratowanie Nin i Lugala. Ja muszę zapłacić za nich oboje i zaiste uczynię to. Nikt przenigdy nie dowie się z moich ust, czego szukałem w orszaku. Teraz ja biorę na siebie krwawe piętno naznaczonych i niech się dzieje sprawiedliwość".

Tak myślałem, ale obawa i niepewność podnosiły mi włosy na głowie. O los Nin-dady byłem prawie spokojny. Cokolwiek się stanie ze mną, moi czcigodni rodzice nie zostawią jej bez pomocy. Liczyłem na nich, jak myśliwy liczy na swój oszczep, żołnierz na cios swego miecza, jak rolnik kładzie ufność w sile swoich wołów, a złotnik w zręczności swych dłoni.

Ale Lugal? Ta tancerka, Abisimti, zdawała się być dobra i mądra, ale obarczyłem jej ramiona brzemieniem, którego nie powinna dźwigać. Postąpiłem jak leniwy robotnik, który prosi swego towarzysza o potrzymanie przez chwilę ciężaru i odchodzi chyłkiem, nie oglądając się za siebie.

Nikt obcy nie może przebywać w świątyni. Myślała, że przyjdę i zdejmę brzemię z jej ramion, zabiorę Lugala, ukryję go. Teraz czeka na próżno.

Nigdy nie przypuszczałem, że rozcieranie ziarna jest takie

ciężkie. Ramiona mdlały mi od wysiłku, krew plamiła kamień kapiąc z pościeranych palców.

Gdy ustawałem, krzyk dozorcy zmuszał mnie do dalszej pracy. W półmroku nie odgadywałem, czy jest dzień, czy noc, pragnienie paliło mnie jak ogień, głód skręcał wnętrzności. Pragnąłem wyprostować się, wyciągnąć omdlałe ramiona, rozprostować obolałe nogi, odetchnąć świeżą wonią ciągnącą od rzeki, dusiłem się stęchłym, piwnicznym smrodem, gęstym od mącznego pyłu, cuchnącym spotniałymi łachmanami. Nieraz pomagałem matce lub którejś z naszych niewolnic rozcierać ziarno, ale przestawałem, nim poczułem znużenie. Pracowałem tylko tyle, ile miałem ochoty, by w nagrodę za pomoc napić się gęstej śmietany albo schrupać ciepły jeszcze placek. Teraz nikt nie troszczył się o moje zmęczenie, nikt nie podsuwał mi jedzenia czy czary z chłodną wodą. Nadzorcy potrafili widzieć w ciemnościach niczym skradająca się pantera i gniewnym okrzykiem lub ostrym ciosem bicza zmusić do najwyższego wysiłku.

Tutaj nie było dnia ani nocy, odpoczynku ani uśmiechu, w powietrzu wisiał tylko ciężki oddech umęczonych niewolników i słychać było świst bicza wymierzającego razy.

Natężałem bolące ramiona, aż wreszcie upadłem twarzą na żarna. Straciłem przytomność.

Nie wiem, jak długo tak leżałem. Odzyskałem zmysły, gdy pryśnięto mi w twarz wodą. Dozorcy zdjęli nam z ust kagańce. Przyniesiono głębokie misy z obrzydliwą bryją. W domu mego ojca nawet świniom nie dawano takiego pożywienia. Jednak inni niewolnicy od żaren rzucili się na tę ohydną karmę i odpychając towarzyszy pochłonęli ją w mgnieniu oka, wygarniając resztki palcami. Nie mogłem jeść, chociaż byłem głodny.

— Masz — powiedziałem do zgarbionego starca, który obracał żarna obok mnie. — Zjedz!

Spojrzał na mnie ze zdumieniem, chyba nie dowierzał.

— Zjedz to — powtórzyłem. Za chwilę misa była pusta.

— Kim jesteś, ty, rozdający pożywienie?

Dozorcy pozwolili niewolnikom na odpoczynek. Zmęczeni ludzie pogadywali leniwie, iskali się z robactwa, rozcierali obolałe ramiona, niektórzy wyciągali się przy kamieniach żaren i zapa-

dali w krótką drzemkę.

— Jestem wolnym człowiekiem — odpowiedziałem pytającemu.

— Chyba byłeś wolnym człowiekiem. Teraz już nie jesteś.

— Zostałem niewinnie oskarżony.

— Każdy to mówi.

— Ja mówię prawdę.

— Oho, ho! Słuchajcie! On jest niewinnie oskarżony! Pewno masz nadzieję, że sąd cię uwolni?

— Tak.

— Pożegnaj się z tym! Czy wiesz, ile trzeba mieć bydła i jęczmienia, by zapłacić okup? To nie dla takich, jak ja i ty.

Nasza rozmowa zainteresowała innych niewolników. Podnieśli głowy i uważnie słuchali.

— Jeśli będziesz miał wiele szczęścia, odeślą cię na pole, byś kręcił żuraw przelewający wodę z kanałów — mówił dalej stary. — Przynajmniej zobaczysz niebo i będziesz mógł sycić głód garścią ziół, o ile dozorca pozwoli ci je zebrać. A jeśli nie będziesz miał szczęścia, wrócisz tu między nas i będziesz do śmierci rozgniatał ziarno. My nie żyjemy długo.

Roześmiał się skrzekliwie, a potem rozkaszlał.

— Staryś, człowieku, a mówisz jak bezrozumne dziecko. Jestem uczniem szkoły. Takich nie bierze się do żaren.

Teraz roześmiało się wielu.

— Ile wasza dostojność zbiera gur jęczmienia ze swoich pól?

— Jak wiele złota masz w komorze?

— Jak liczne są twoje stada? Drwiono zewsząd.

Drwiono by pewno jeszcze długo, gdyby nie dozorca, który trzasnął biczem i nakazał ciszę.

— Powiadasz, że byłeś uczniem szkoły?

— Tyś powiedział.

— Jeśli mówisz prawdę, nakazuję ci, byś zaśpiewał nam jakąś pieśń lub zabawił nasze serca ciekawą opowieścią.

Wszyscy umilkli, zrobiło się zupełnie cicho. Potrząsnąłem głową.

— Odmawiasz? — warknął dozorca.

Było we mnie dosyć siły, nie bałem się jego gniewu ani jego

bicza, chciałem znieść swój los odważnie, jak przystoi dojrzałemu mężczyźnie. Płaciłem za wolność Nin, za wyrwanie Lugalaazidy z mroku podziemnego światła. To było warte tej ceny. Ale gdy spojrzałem na twarze współtowarzyszy niedoli (moje oczy już oswoiły się z mrokiem), zrozumiałem, że pragną, bym skrócił czas ich pracy swoją opowieścią.

— Co chcesz usłyszeć, panie?

— Nic z tych nowomodnych bajek. Jakąś starą, ciekawą opowieść, ale pamiętaj, że jeśli nas znudzisz, zapoznasz się z moim biczem. No, dość próżnowania. Bierzcie się do roboty!

Recytowanie opowieści wcale mnie nie zwolniło od obracania kamieni żaren, nie założono mi tylko kagańca, bym mógł swobodnie mówić.

— Bohater Lugalbanda — zacząłem — tęsknił wielką tęsknotą za swoim domem i miastem, gdzie ujrzał światło dnia, za swoim ojcem, pochylonym przez wiek, i za matką, której dłonie nie zaznały nigdy spoczynku, za swoimi krewnymi, za sąsiadami, za parą silnych bawołów, które ciągnęły jego pług po polu. Miasto Zabu, gdzie go rzucił los, było bogate i ludne, lecz on nie widział tego, opłakując swoją daleką ojczyznę.

Poczułem, jak łzy łaskoczą mi powieki. To nie bohater Lugalbanda opłakiwał swoją rozpacz, to ja, Entemena, przyzywałem cienie swoich rodziców.

— Nie przerywaj. Dalej! — rozkazał dozorca.

— Dowiedział się bohater, że niedaleko Zabu, na wyniosłym drzewie, którego wierzchołek ginie w chmurach, ma swoje gniazdo ptak Imdugud, ten, który rozstrzyga losy i wypowiada słowo niezmienne.

Poszedł bohater pod drzewo, gdzie gnieździł się ptak Imdugud. Zawołał:

„Ptaku Imdugud, ja, Lugalbanda, przybyłem do ciebie po pomoc!"

Odpowiedziało mu milczenie.

Po raz drugi zawołał ptaka Lugalbanda bohater. Nikt się nie odezwał.

Więc po raz trzeci krzyknął tak, że przystanęły na niebie szybkolotne obłoki.

Wtedy z gniazda wychyliły łebki pisklęta ptaka Imdugud i powiedziały:

„Naszego ojca nie ma. Nie wiemy, kiedy wróci."

Bohater Lugalbanda zdjął z nóg sandały, odrzucił precz broń i wspiął się na drzewo sięgające chmur swym wierzchołkiem.

Wspinał się bardzo długo, aż poczuł wielkie zmęczenie, lecz nie odpoczywał wśród gałęzi.

Wreszcie przysiadł na konarze obok gniazda ptaka Imdugud. Pisklęta przestraszyły się i zapłakały.

„Nie czyń nam nic złego, człowieku."

Były małe i słabe, lada podmuch wiatru mógł je strącić na ziemię, lada ruch mógł im wyrządzić krzywdę.

„Nic wam złego nie zrobię" — rzekł Lugalbanda bohater.

Lecz one mu nie uwierzyły i płakały coraz głośniej, przywoływały swego ojca, ptaka Imdugud, chowając łebki pod nie wypieczone jeszcze skrzydła.

Serce bohatera ścisnęło się od litości. Zaśpiewał pisklętom kołysankę, tę samą, którą śpiewała mu kiedyś matka. Nakarmił je ciastkami z miodem, napoił gęstą śmietaną i palmowym winem, słodszym jeszcze od miodu. Już nie płakały, a gdy bohater ustroił je we własny naszyjnik, bransolety i przepaskę, śmiały się nawet. Od złota i klejnotów zapaliło się światło podobne łunie dalekiego pożaru. Zobaczył łunę ptak Imdugud szybujący nad wodami Prawiecznego Morza i rzekł sam do siebie:

„Biada mi, biada! Otóż nie mam ani dzieci, ani domu. Została mi zemsta. Ktokolwiek uczynił mi krzywdę, nie będzie żył długo."

Jak burzowa chmura, jak wicher pustynny, jak ryczące fale morza pośpieszał ptak Imdugud do swojego gniazda. Zgasł blask Utu, gdy go przysłonił skrzydłami. Wczepił szpony w barki Lugalbandy i uniósł go w górę, by roztrzaskać bohatera o ziemię.

„Ojcze, nie czyń mu krzywdy! — zawołały pisklęta. — Nakarmił nas i ozdobił pięknymi klejnotami."

I zobaczył ptak Imdugud, że jego pisklęta żyją. Złożył Lugalbandę na miękkim piasku.

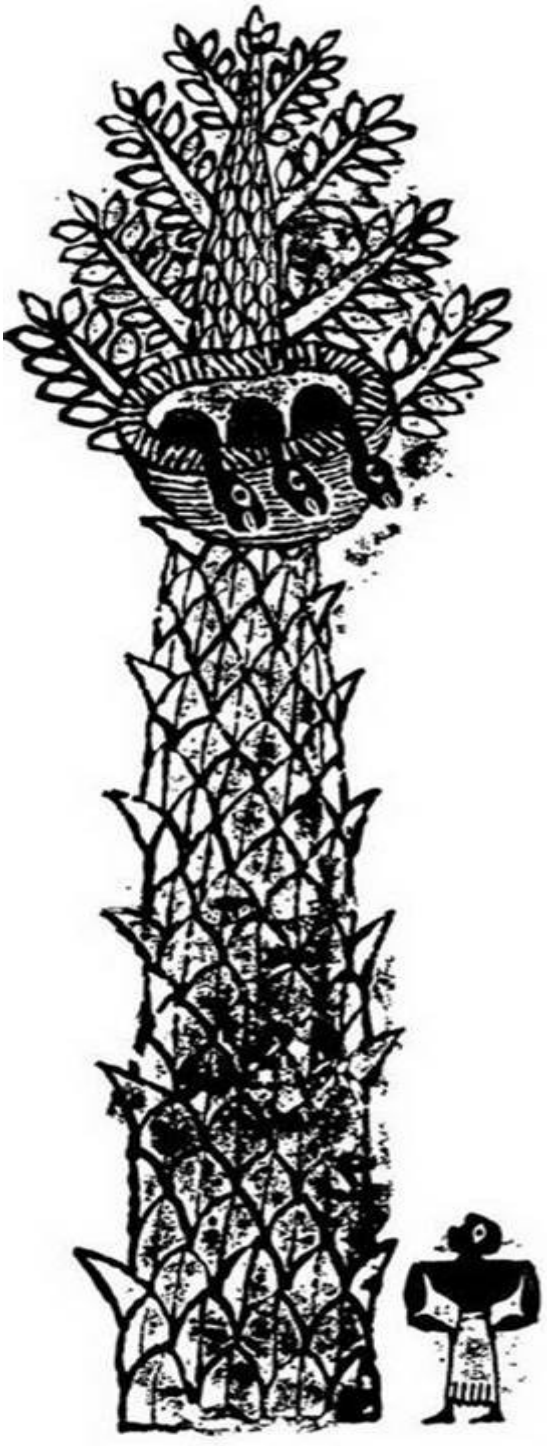

„Dlaczego nakarmiłeś moje dzieci, człowieku?"

„Były głodne."

„Dlaczego przyozdobiłeś je klejnotami?"

„Płakały, chciałem je uradować."

„Czy żądasz zapłaty?" '

„Nie. Nie czyniłem tego dla zapłaty."

„Możesz mnie prosić, o co chcesz."

„Pozwól mi wrócić do ojczyzny, do mego domu, do czcigodnych rodziców..."

Mój głos załamał się w tym miejscu, niewolnicy przestali obracać żarna i patrzyli na mnie ze zdumieniem.

— Nie musisz płakać tam, gdzie płacze bohater — rozgniewał się dozorca. — Zepsułeś całą opowieść.

— Wcale nie płaczę — odpowiedziałem kryjąc w mroku twarz.

— Hej, wy tam — zawołał dozorca — bierzcie się do roboty! Nie ma czasu na bezmyślne gapiostwo!

A ciebie — tu zwrócił się do mnie — widocznie źle uczono. Tylko ten jest dobrym pisarzem, czyja ręka nadąża za mówiącymi ustami, a oczy biegają jak gazela po znakach.

Mimo iż to powiedział, nie

uderzył mnie ani razu biczem aż do zachodu słońca, a moi towarzysze ustąpili mi wieczorem najlepszy kąt legowiska ze stęchłej trzciny, lżej nawet zaciągnięto mi pęta na kostkach rąk i nóg.

Leżałem wśród uśpionych ciężkim snem towarzyszy i rozmyślałem. Wyobrażałem sobie Nin-dadę u kolan mojej czcigodnej matki. Ręka matczyna przesuwała się z pieszczotą po włosach Nin, chociaż powieki jej oczu obrzmiały od wypłakanych łez. Płakała przeze mnie, bo na pewno sądziła, że spełniłem szaleńczy zamiar i ofiarowałem swoje życie za życie Nin. A ja nie miałem przecież prawa ranić serc mych czcigodnych rodziców, płacić im niewdzięcznością za dobroć, bólem za miłość. Miałem nadzieję, że Kubatum potrafi ukoić ich niepokój, gdy powie, że widziała mnie w dobrym zdrowiu, chociaż to wcale nie wyjaśniało tajemnicy mojego zniknięcia. Tak, moim pierwszym i świętym obowiązkiem jest zawiadomić matkę i ojca, że żyję. Nie chcę tego uczynić dlatego, by sądzili, że potrzebuję ich pomocy, ale dlatego, by nie płakali nad sobą i nade mną. No, i Lugal-azida. Byłem bardzo niespokojny o niego. Kto wyprowadzi go ze świątyni? Kto ukryje, jeżeli złe oczy wypatrzyły jego obecność w chacie Abisimti? Kto mu pomoże, jeżeli czcigodny nauczyciel przeklnie go wielkim przekleństwem, powodującym, że przeklętego odpędza się od progów wszystkich domów, że odmawia mu się chleba, wody i ognia?

Męczyłem się tymi myślami, a sen nie przychodził, by otulić mnie płaszczem zapomnienia i zetrzeć zmęczenie. Bolały mnie pokrwawione palce i omdlałe ramiona. Gdy zamknąłem oczy, widziałem białą mąkę sypiącą się wciąż i wciąż spod kamienia żaren lub sypki piasek, w którym grzęzły zniszczone sandały z niezdarnym węzłem nad kostką.

Żywiłem nadzieję, że jakoś uda mi się wytłumaczyć sędziom, że nie miałem zamiaru przywłaszczyć sobie nic z ofiarnych darów. Bałem się tylko pytań o to, czemu zataiłem swe imię i ród i co ja, Entemena, syn królewskiego złotnika, robiłem w żałobnym orszaku odprowadzającym najdostojniejszą Szubad do grobowców w dolinie. Ale cokolwiek się stanie, tajemnica Lugala i Nin jest pogrzebana bezpiecznie w moim sercu, jak po-

grzebany jest kamień na dnie przepastnych wód. Nikt nie zmusi moich ust, by przemówiły. Prędzej umrę, niż wyjawię prawdę.

Poczułem się bardzo silny. Byłem jak grzywiasty lew, który śmiało rusza naprzeciw łowcy, marszcząc we wściekłości swą paszczę. Byłem jak byk tratujący wszystkie przeszkody niby źdźbło słomy. Byłem silny. Nie bałem się. Moje milczenie znaczyło życie dla Nin-dady i Lugala-azidy.

— Zaufajcie mi — szepnąłem i nagle sen skleił moje powieki. Zasnąłem ciężkim snem śmiertelnie zmęczonego niewolnika.

Wysoki mężczyzna w barwistym płaszczu trącił mnie pogardliwie.

— Hej, ty tam! Wstawaj.

Z trudem otworzyłem oczy. Nie wiedziałem, gdzie jestem.

— Masz szczęście, niewolniku. Nazajutrz stajesz przed sądem.

Mrugałem oczami i dalej nic nie rozumiałem.

— Padnij na twarz, gdy słuchasz moich słów — rozkazał nieznajomy. — Dozorco, nakazuję ci przyprowadzić tego niewolnika jutro przed oblicze sędziów. Nawet takim, jak ten oto, dana jest możność obrony.

Nie spojrzał już na mnie, jakbym nie był niczym więcej niż uschniętą gałęzią, która znalazła się przypadkiem na środku drogi.

Cały dzień kręciłem żarna i patrzyłem suchymi oczyma na wychudłe widma moich towarzyszy. Słowa buntu raniły moje wargi. Chciałem zerwać pęta i rzucić się z gołymi rękami na dozorcę. Ale gdy wspomniałem tajemnicę, jaką mam ukryć, pochylałem tylko pokornie głowę i kuliłem się jak obity pies pod wzrokiem dozorcy.

Układałem sobie plan obrony przed sądem. Zamierzałem się tłumaczyć ciekawością. Może sędziowie przyjmą to moje tłumaczenie?

Mimo ułożonych misternie tłumaczeń nogi uginały się pode mną, gdy wyprowadzono mnie na wewnętrzny dziedziniec pałacu, gdzie odbywały się sądy. Pisarz sądowy z rylcem za pasem i tabliczkami w ręku przypominał akurat księgi prawa:

Sierota nie zostanie wydana na pastwę bogacza, wdowa na pastwę możnego, a człowiek, który posiada tylko jeden sykl, na pastwę człowieka posiadającego całą minę srebra.

Nikt nie może przywłaszczyć .sobie człowieka, owcy ni wołu należącego do współobywatela. Nikt nie może sięgnąć dłonią po własność bogów. Kimkolwiek jest człowiek, który zrani innego człowieka ciosem broni, zapłaci jedną minę srebra.

Sędziowie kiwali głowami w takt recytacji, ale nie sądzę, by słuchali zbyt uważnie. Podsądni w pętach czekali z boku, pilnowani przez strażników. Mała grupka gapiów rozsiadła się w cieniu, by przysłuchiwać się rozprawie.

Wywołano pierwszego podsądnego. Padł na twarz.

— Nanna-sig, synu Kuenlila — przemówił przez nos pisarz sądu — stajesz przed Zgromadzeniem, by odpowiedzieć za swoją winę. Oskarża cię Lusin, żeś zniszczył jego kanał i w ten sposób pozbawił go plonów, gdyż wyschła ziemia i nie wydała ziarna, które w nią wrzucono. Kanał zaś zniszczyłeś dlatego, by odwrócić jego bieg i nawodnić własne pola.

— O wy, którzy patrzycie w serce Sprawiedliwego — jęknął oskarżony Nanna-sig — wysłuchajcie słów moich. Lusin nie jest sąsiadem, gdyż jest gorszy od sunącego ukradkiem jadowitego węża. Kanał ten kopał mój dziad i mój ojciec, ja zaś oczyszczałem go nieustannie wyrzucając grząski muł na brzegi i podnosiłem stawidła, by nawilżyć spragnione pole, lecz brałem tylko tyle wody, ile nakazuje prawo. Lusin zaś wybrał! się do miasta i dał pisarzowi królewskiemu dwa razy tyle, ile jest palców u ręki, miedzianych pierścieni, cztery owce i dzban palmowego wina. Gdy zaś wrócił, przyszedł do mego domu i pokazał mi pismo i pieczęcie.

— Mów do rzeczy, człowieku — ziewnął ze znudzeniem jeden z sędziów. — Czy zniszczyłeś rzeczony kanał?

— Okaż mi łaskę, ulubieńcze Enki — podjął oskarżony Nanna-sig. Musiał być chory na bagienną gorączkę, gdyż trząsł się nieustannym dreszczem. — Pozwól mi wyjaśnić, że nie posiadam sztuki kreślenia i czytania pisma, przeto nie mogłem swym głupim rozumem pojąć, co pokazuje mi Lusin.

— To nie ma nic do rzeczy. Powtarzam: czy zniszczyłeś kanał?

— Jestem tylko nierozumnym człowiekiem i nie pojmuję mądrości przystojącej wam, czcigodni. Ale zrozumiałem słowa Lusin, bo rzekł, że kanał jest jego i od dzisiejszego dnia nie wolno mi zaczerpnąć ani bukłaka wody. Śmiał się jeszcze ze mnie. Więc wybrałem się i ja do miasta, do pisarza, i błagałem go, by nie skazywał mnie na głodową śmierć. On zaś odpowiedział, że da mi pismo i pieczęć jeszcze potężniejsze, niż dał Lusinowi, lecz będzie to kosztowało dwie niewolnice albo wiele miedzianych pierścieni.

— Kłamie! — krzyknął świadek z oznakami pisarza.

— Uciszcie się — nakazał sędzia. — Człowieku, Zgromadzenia nie interesuje, po coś chodził do pisarza, ty lub twój sąsiad. Chcemy natomiast wiedzieć, dlaczego zniszczyłeś kanał?

— Bo nie miałem ani miedzi, ani owiec — oskarżony otarł oczy wierzchem dłoni. — Prędzej bym podniósł rękę na rodzone dzieci, niż zasypał kanał! Myślałem, że mi uschnie ramię, gdy zacząłem spychać grudy ziemi w jego łożysko...

— Przyznaje się do winy — obojętnie stwierdził sędzia. — Zanotuj to, pisarzu.

— Uczyniłem to, bo nie chciałem oddać kanału, wykopanego rękami mojego dziada i ojca, złemu sąsiadowi...

— Mówisz, że sąsiad twój, Lusin, sfałszował pismo i pieczęcie, by pozbawić twoje pole wody?

— Nie wiem, czy sfałszował, najmędrsi. Wiem, że kupił od pisarza prawo do mojej własności.

— Zbliż się, Lusinie, i okaż sądowi posiadane dokumenty.

Tęgi rolnik z rozbieganymi oczami podał sędziom tabliczki na wyciągniętych dłoniach. Oglądali je długo i uważnie.

— Oddalamy twój zarzut, Nanna-sig, synu Kuenlila. Pismo i pieczęcie są autentyczne. Kanał i pola do niego przylegające stanowią własność skarżącego Lusina. Pisarzu, weź rylec i zapisz, co następuje: „Stawili się przed Zgromadzeniem Lusin, oskarżyciel, i Nanna-sig, oskarżony. Poszło o zniszczenie kanału niosącego wodę długości dwóch tysięcy kroków. Oskarżony Nanna-sig przyznał się do winy. Przeto my, sędziowie Zgromadzenia..."

— Łaski, najmędrsi! — zawołał Nanna-sig.

— Przeto my, sędziowie Zgromadzenia — kontynuował sędzia nie zwracając uwagi na krzyk biedaka — postanawiamy nakazać oskarżonemu Nanna-sig wypłacenie odszkodowania, w jęczmieniu, bydle lub metalu, polecając mu ponadto oczyścić koryto kanału bądź opłacić ludzi, którzy to uczynią.

Jeszcze nie przebrzmiały ostatnie słowa wyroku, gdy oskarżony padł na ziemię i począł sobie wyszarpywać włosy z głowy.

— Lepiej skażcie mnie na śmierć! Skąd w zagrodzie biedaka znaleźć takie bogactwo!

Odpędzono go jak natrętnego psa. Ktoś z widzów westchnął:

— Możesz nie mieć nad sobą bogów ani króla. Prawdziwym bogiem biedaka jest pisarz lub poborca.

Teraz przyszła moja kolej. Nadzorca stad królewskich oskarżał mnie wymownie:

— Szag-szag, syn wolno urodzonego dzierżawcy, przychwycił tego oto wyrostka mieniącego się być Arnu, synem rybaka, na próbie przywłaszczenia sobie barana z trzód królewskich. Rzecz działa się w czasie żałobnego pochodu i liczni świadkowie widzieli, jak ów Arnu biegł za zwierzęciem, które było ozdobą stada. Rozpoznany, zachowywał się zuchwale i starał się kłamliwymi słowami wprowadzić mnie w błąd, podając się za kogo innego. Wszakże ci, którzy słyszeli jego słowa, zadali mu kłam. Ujęty i skierowany do żaren, zachowywał się krnąbrnie. Oto wszystko, co wiem, a wy, najmędrsi, wydajcie wyrok.

Podczas gdy mówił, czułem, jak moje serce zamienia się w kamień. Przeczuwałem pierwsze pytanie i bałem się go. Nie mogłem się dłużej upierać przy opowieści, że nie dotknąłem nawet barana. Musiałem milczeć o najważniejszym.

— Kim więc jesteś? — zapytał mnie sędzia.

— Jestem Entemena, syn królewskiego złotnika. Paru sędziów kiwnęło potakująco głowami. Znali mego czcigodnego ojca, znali i mnie.

— Dlaczego więc mieniłeś się Arnu, synem rybaka? Opuściłem nisko głowę.

— Mów, jeśli nie chcesz, by bicz rozwiązał twój język!

Ważyłem słowa, jak mój ojciec waży kruche płatki złota.

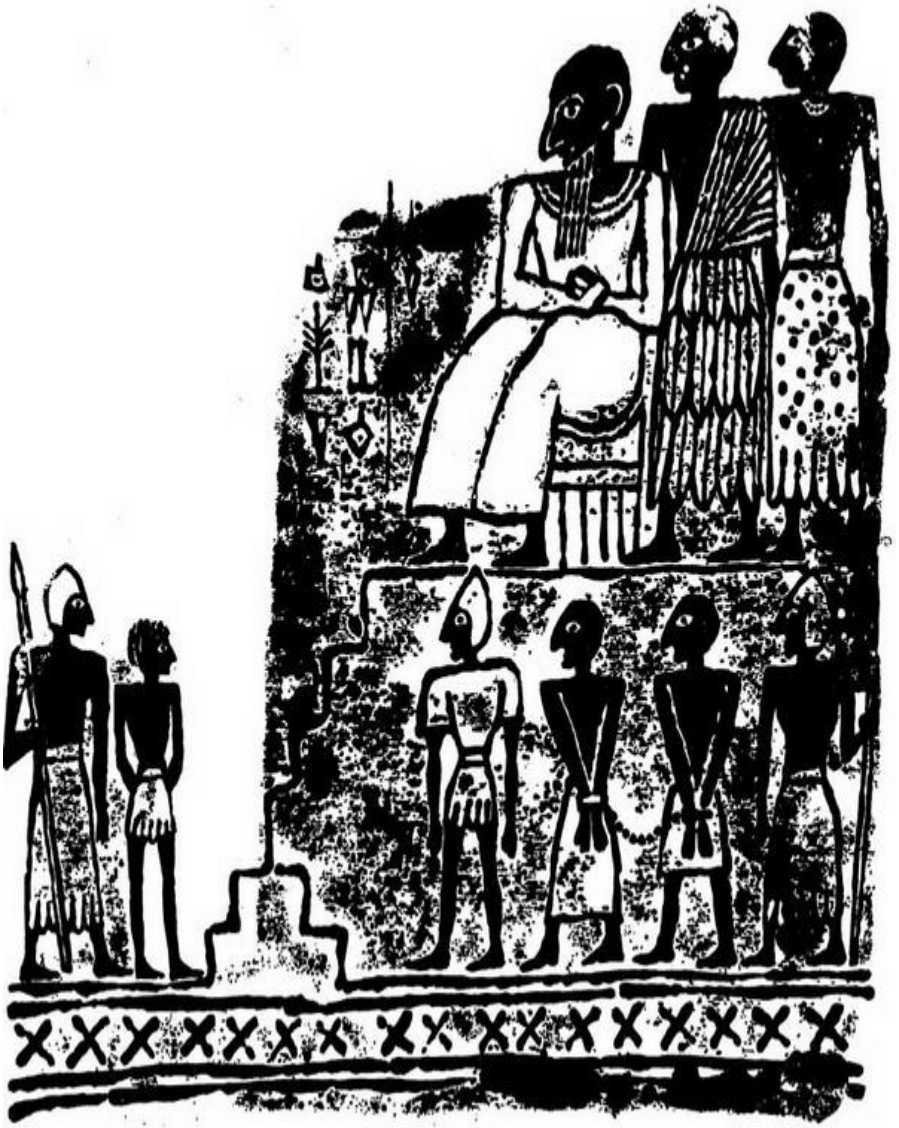

— Mieniłem się być kim innym, gdyż bałem się kary z ręki mego czcigodnego ojca. Zabronił mi biec za pochodem (to przecież była prawda), a ja pobiegłem i wmieszałem się w orszak mimo zakazu.

— Czego szukałeś w orszaku?

— Byłem ciekawy.

— Uczęszczasz do szkoły?

— Tak, najmędrsi.

— Więc znasz prawo, że na miejsce wiecznego spoczynku idą za murami tylko wskazani przez najwyższego kapłana, Tego, Który Wie Wszystko.

— Tak, znam to prawo.

— I znając je, wmieszałeś się w orszak? Zanotuj to, pisarzu. A ty, Entemeno, odpowiedz, dlaczego wyciągnąłeś ręce po zwierzę należące do bogów i przeznaczone na ofiarę?

Zrobiłem się czujny jak gazela węsząca zaczajonego lwa.

— Zwierzę spłoszyło się samo. Niech ów Szag-szag zaprzeczy temu, jeżeli ma czelność.

— Słyszeliśmy tutaj zeznanie niepodejrzanego świadka, nadzorcy trzód królewskich, a liczni widzieli, jak biegłeś za baranem. Wiemy także, że nie wróciłeś potem do orszaku i nie przyprowadziłeś zwierzęcia. Pojmany, podałeś inne imię.

— Mówiłem już, że z lęku przed karą.

— Lecz powiedz, co czyniłeś od chwili ucieczki zwierzęcia do chwili twego pojmania? Wskaż ludzi, którzy cię widzieli lub mówili z tobą.

Zbladłem. Czułem, jak czoło wilgotnieje mi od potu.

— Odszedłem od orszaku, najmędrsi. Słońce poraziło moją głowę i szukałem cienia. Nie wiem, kto mnie widział, bo nie mówiłem z nikim.

— Chcesz, byśmy w to uwierzyli?

— To jest prawda.

— Pisarzu, przypomnij, jak brzmi prawo.

Człowiek, który twierdzi, że był gdzieś czy czynił cokolwiek, winien postawić świadków, którzy widzieli go lub z nim mówili

— recytował monotonnie przez nos pisarz. — Jeśli nie postawi świadków, jest winien, nawet gdyby przysięgał Wielką Przysięgą prawdę swoich słów.

— Słyszałeś, Entemeno?
— Tak, najmędrsi.
— Więc mówisz, że nikt cię nie widział i nie mówił z tobą?
— Nie. Wszyscy obecni w dolinie towarzyszyli orszakowi i padłszy na twarze uczestniczyli w odejściu najdostojniejszej do Kur. Ja nie widziałem nikogo.

Sędziowie przez chwilę naradzali się szeptem między sobą.

— Tak więc udowodniono oskarżonemu kłamliwe przyjęcie cudzego miana, świętokradcze wmieszanie się w orszak, mimo iż zna prawo, i kradzież bądź usiłowanie kradzieży ofiarnego zwierzęcia. Tłumaczenia rzeczonego oskarżonego są wykrętne i niejasne. Nie potrafi wytłumaczyć, dlaczego przyłączył się do orszaku, dlaczego postraszył zwierzę i pobiegł za nim, dlaczego zniknął z ludzkich oczu i dlaczego podawał różne imiona. Zgromadzenie uważa zatem winę Entemeny, syna złotnika Etamuzu, za udowodnioną.

Nie mogłem się spodziewać niczego innego. Zresztą biegnąc do pałacu wiedziałem przecież, co mnie czeka. Znałem prawo i mimo to wróciłem, a jeśli uczyniłem tak, to jedyną moją obroną było milczenie.

Jeżeli wszelako człowiek oskarżony tnie może postawić świadków, co czynił — przypominał pisarz sądowy — należy pilnie rozważyć jego słowa, by wiedzieć, czy uczynił to, co uczynił, w porywczości, gniewie, z zemsty, z chęci zysku czy innych powodów.

— Mów — skinął na mnie sędzia.

— Nie mam nic więcej na swoją obronę — powiedziałem. — Uczyniłem to, co uczyniłem, z płochej ciekawości, głupoty i

strachu przed karą z ręki mego ojca.

— W słowach tego młodzieńca czuje się fałsz — sędzia zwrócił się do Zgromadzenia, podniósł oskarży-cielsko dłoń. — Albowiem stara się zataić fakt kradzieży ofiarnego zwierzęcia.

— Pozwólcie mi wytłumaczyć, najmędrsi — wstałem, starałem się mówić bardzo głośno i wyraźnie, by przekonać wszystkich, że nie mam nic do zatajenia i ukrycia. — Wielu w mieście zna mego ojca. Ci, którzy go znają, wiedzą, że posiada liczne trzody, a ja jestem jego jedynym synem. Czy lew, który może wybierać pomiędzy zdobyczą, będzie szedł przez góry i pustynie, by porwać małą jaszczurkę? Nie zaprzeczam, że złamałem prawo i udając pałacowego sługę szedłem między tymi, którym dano prawo iść za żałobnym wozem. Uczyniłem to, powtarzam, z ciekawości i pustoty i przyjmuję w pokorze karę, jaką wasza mądrość zechce mi wyznaczyć. Wszelako nie zamierzałem porwać nic z ofiarnych darów! Zwierzę spłoszyło się z winy niezręcznego pasterza, a ja biegłem za nim, chcąc je pojmać i na powrót przyprowadzić! Gdyby nie zmęczenie i nadmierna parność powietrza, byłbym zaiste tak uczynił. Czując się jednak znużony, spocząłem w chłodnym cieniu skały i tam ów Szag-szag znalazł mnie i wskazał nadzorcy trzód jako złodzieja.

— Prawdą jest, że rzeczony Entemena nie uciekał — oświadczył nadzorca. — Aczkolwiek wydawał się być spłoszony i przelękniony moim nadejściem. Widziałem to nie tylko ja, ale i wszyscy, którzy byli wtedy wraz ze mną.

Znowu sędziowie naradzali się półgłosem między sobą.

— Prawdą jest, że dom twego ojca Etamuzu jest jednym z pierwszych w mieście. Prawdą jest także, że na szlachetnym drzewie wyrasta często cierpki owoc. Nie przekonałeś nas swymi słowami. Co było czarne, czarnym pozostało.

Przez grupkę widzów ktoś się gwałtownie przepychał, ogarniając wokół siebie szeroki płaszcz. Był to czcigodny Adda-kalli. Struchlałem.

— Przypadkowo przechodząc tędy jąłem się przysłuchiwać rozprawie. Pozwólcie, najmędrsi — tu skłonił się gronu sędziów — że dodam swoje słowo do słów syna złotnika.

— Wysłuchamy z uwagą słów twoich, czcigodny.

— Słyszałem, jak syn złotnika mówił wam, że nie braknie w jego domu niczego i jego ręce nie są chciwe cudzego dobra. Wszelakoż wiem, że złotnik królewski nie otrzymał zapłaty za ostatnie złotnicze wyroby i wysłał swego syna, by przewiedział się o możliwość wynagrodzenia. Zwleka także z wykonaniem innych pilnych zamówień, z czego wnoszę, że nie posiada już w zapasie złota i srebra, by wykonać, co mu zlecono. Ją sam czekam na zamówioną pieczęć wiele dni ponad ustalony termin.

Nienawidziłem Adda-kalli. Był zły i fałszywy.

— Zdarza się — ciągnął dalej Adda-kalli — że ojciec daje dorastającemu synowi pieniądze na jego rozrywki, kupuje mu kosztowne szaty i naszyjniki, karmi zbytkownymi przysmakami i otacza pięknymi niewolnicami, które cieszą jego oczy. Przyjmijmy, że syn złotnika przywykł do zbytku, bo jest jedynakiem, i mógł pełną garścią czerpać ze spichlerza i kiesy swego ojca. A cóż się stało, gdy ojcu zajrzał w oczy chwilowy niedostatek? Czy syn złotnika stanął przy warsztacie swego ojca i pomagał mu w pracy? Czy wyszedł na pole z rydlem i motyką? Czy czerpał wodę z kanałów, by napoić pola? Nie, nie czynił tego. Widziałem, jak kręcił się po dziedzińcach pałacu, co, jak wiemy wszyscy, jest surowo wzbronione mieszkańcom miasta, w dniu, gdy opuściła nas najdostojniejsza królowa. A oczy jego błyszczały jak oczy szakala węszącego za żerem. Widziałem dobrze. To wszystko, co chciałem powiedzieć.

Skłonił się, a sędziowie uczynili mu miejsce między sobą. Zasiadł między nimi i wlepił we mnie oczka zapłynięte tłuszczem.

Byłem jak nieumiejętny pływak, który postanowił na nadmuchanej owczej skórze przebyć odnogę rzeki, a gdy skóra namoknie i pocznie tonąć, rzuca się jeszcze, bije wodę rękami i nogami, ale wszystko na próżno, bo toń pochłania go i zakrywa chyża fala.

— Osądzamy, że Entemena, syn złotnika Etamuzu, jest winien zarzucanych mu czynów.

Stało się. Mimo wszystko dopłynąłem do jakiegoś brzegu. Nin-dada i Lugal-azida są ocaleni. Karę poniosę ja. Poczułem, jak przenika mnie szybki dreszcz. Tak bardzo się obawiałem, że jakieś moje nieopatrzne słowo odsłoni oczom sędziów część

prawdy, podobnie jak błyskawica rozświetla nagle czerń nocy i pozwala widzieć to, co w ciemności było zakryte dla oka. Drżałem w sobie, że wśród widzów lub świadków znajdzie się człowiek, który przejrzał mnie i domyśla się prawdy. Nic takiego nie nastąpiło. Osądzono mnie jako zwykłego złodzieja. Zdecydowano, że złamałem prawo, ale nie popełniłem świętokradztwa, gdyż nie podążyłem do grobowej skały za orszakiem i nie byłem świadkiem ceremonii Wielkiego Sądu. Nie dowiedziono mi, że miałem wspólników lub byłem z kimkolwiek w zmowie.

Nie pamiętałem tylko, jaka kara grozi za takie występki, bo w szkole nigdy nie interesowałem się kodeksem i nieraz oberwałem od nauczyciela trzciną za nieuwagę.

— Powstań, Entemeno, synu Atamuzu. Za twoją winę i występki możesz zostać ukarany tylko śmiercią. Otworzyłem usta, ale nie krzyknąłem.

ROZDZIAŁ XI

W którym jeszcze raz przekonujemy się, że nie zawsze to, co jest czarne, naprawdę jest czarne, a to, co jest białe, jest naprawdę białe

Czcigodni sędziowie — małe oczki Adda-kalli omiotły mnie od stóp do głów szybkim, chytrym spojrzeniem — lituję się nad młodością tego chłopca. Być może naprawdę nie zdawał sobie sprawy z tego, co czyni, gdy sięgał po własność bogów. Jest lekkomyślny i bezrozumny z racji swojej niedojrzałości. Widocznie nigdy nie zaznał sprawiedliwej kary, być może rodzice pobłażali występkom jedynaka. Wszelakoż ufam, że pod silną, acz sprawiedliwą ręką danym mu będzie zrozumieć swoją winę. Jeżeli wyrazicie zgodę, czcigodni, dam za niego zapłatę w jęczmieniu i uczynię z niego niewolnika swego domu. Targnąłem się gwałtownie.

— Nie! — zawołałem. Nikt nie słuchał.

— Będzie to postępek miłosierny i godny pochwały — powiedział ten sędzia, który mnie przesłuchiwał. — Prawo jest surowe, ale ten chłopak jest jeszcze bardzo młody i pod ręką rozumnego pana odpokutuje swoją winę. Jednak, pozwól sobie powiedzieć, czcigodny, że opłata za skazanego nie może być wniesiona w jęczmieniu. Jeśli w swojej szlachetnej dobroci postanowiłeś ocalić jego życie, opłata musi zostać wniesiona w miedzi, srebrze lub złocie.

Nie słyszałem dalszych targów, bo spętano mnie i popędzono do pomieszczenia pałacowych niewolników. Rozpacz i radość mieszały się nawzajem we mnie. Cóż znaczył mój los, jeżeli Nin-dada i Lugal będą się cieszyli blaskiem Utu i wspominali mnie do końca życia. Szkoda, że się nigdy nie dowiedzą, jak umiałem milczeć i bez lęku, z podniesionym czołem, przyjąłem wyrok. Nie byłem już słaby i tchórzliwy, jak tamtej nocy, gdy

szukałem ratunku dla Nin, ani jak wtedy, gdy szedłem z orszakiem i przysięgałem sobie, że uwolnię Lugala, chociaż rozumiałem dobrze, że nic dla niego nie mogę uczynić. Teraz uczyniłem dla niego i dla Nin-dady to, co chciałem. Dzięki mnie zostali uratowani powtórnie. Dobrze, że moi czcigodni rodzice nie znają mego losu. Zraniłbym ich serca i naraził na wielkie niebezpieczeństwo. Żal mi tylko, że ojciec i matka nie dowiedzą się nigdy, dlaczego znalazłem się w żałobnym orszaku i dlaczego zostałem oskarżony. Ludzie powiedzą im, że zostałem osądzony i skazany za złamanie prawa i kradzież, a oni zapłaczą i przeklną wyrodnego syna, który okazał się ich niegodny i okrył ich głowy hańbą. Nie dowiedzą się nigdy, że chciałem ocalić przyjaciela i za swoje milczenie odkupiłem życie i spokój dla naznaczonych i tych, którzy im pomagali.

Niewolnicy pałacowi przyjęli moje pojawienie się bez ciekawości i bez współczucia.

— Za długi?

— Nie.

— Jeniec?

— Nie.

— Skazany przez Zgromadzenie na niewolę?

— Nie.

— Kupiony?

— Też nie.

Moje krótkie odpowiedzi zaciekawiły ich.

— Dobrze, możesz nie mówić, skąd się tutaj wziąłeś. Po prawdzie lubimy wiedzieć, z kim będziemy dzielili posłanie i jadło, ale jeśli kładziesz pieczęć na swoje wargi, nie wypytujemy zbytnio.

— Poczekaj — przerwał przemawiającemu inny niewolnik. — Ja chyba znam tego młodzieńca. Przychodziłeś często na dziedziniec pałacu, prawda? Widywałem cię też przy źródle. I myślałem sobie, że musisz należeć do znakomitego domu, bowiem policzki twoje lśniły od tłuszczu, a szaty miałeś cienkie i haftowane. „O, temu nic nie brakuje do szczęścia" — mówiłem sobie patrząc na ciebie.

— To prawda — poparł go wysoki woźnica. — Ja go też widy-

wałem. Przychodził do tej małej niewolnicy noszącej wodę w dzbanie, do Nin.

Serce zaczęło mi szybko uderzać o żebra. Znacie może taką dziecinną zabawę, w której odgaduje się, gdzie został ukryty jakiś przedmiot? Początkowo szukający błądzi tu i tam, odgaduje na oślep, ale przychodzi taka chwila, że wystarczy mu już tylko wyciągnąć dłoń, by odnaleźć kryjówkę. Ci niewolnicy byli tak właśnie blisko, niebezpiecznie blisko mojej tajemnicy.

Ten, który przemówił pierwszy, zajrzał mi ciekawie w twarz. Spuściłem powieki, jakbym się bał, że zdradzi mnie nagły błysk oczu.

— Więc przychodziłeś do Nin? Lubiłem tę małą jak własną córkę. Była ładna i wesoła. Często nuciła. Smutno się zrobiło na dziedzińcu, kiedy odeszła do Krainy, Z Której Nie Ma Powrotu.

Odetchnąłem z ulgą. Odchodzili od kryjówki, w której schowałem swoją tajemnicę.

— Tak to już jest na świecie — mówił woźnica dalej — że jeśli ktoś nie ma krewnych, którzy mogą go wykupić, jest zawsze skazany na najgorszy los. Szkoda małej i jej piosenek. Śpiewa je teraz w Kur nosząc wodę dla naszej zmarłej królowej.

— Tak — powiedziałem. — Słyszałem o jej losie.

— Wielu z nas wybrano. Biednemu zawsze wiatr dmucha w oczy. Ci, którzy mają wiele ziemi i własne domy, powiadają, że odejście do Kur to wielki zaszczyt, ale sami nie przysyłają na dziedziniec swoich synów i córek, by kapłani naznaczyli ich czoła.

— Pewno zamierzałeś kiedyś wykupić tę małą? — spytał mnie woźnica. To pytanie znowu naprowadzało ich prosto na moją tajemnicę.

Przez mgnienie ważyłem słowa odpowiedzi.

— Nie myślałem o tym. Mój ojciec sam decyduje o mojej przyszłości. Nigdy go nie pytałem, jaką dziewczynę mi wybierze.

— Pochodzisz z rodziny, która kupuje niewolników. Jak więc znalazłeś się między nami?

Pomyślałem sobie, że i tak będą niedługo wiedzieli, jaka droga przyprowadziła mnie tutaj. Zresztą tego nie miałem zamiaru się zapierać. Liczyłem i na to, że poprzez nich wiadomość do-

trze do domu moich rodziców.

— Zostałem oskarżony o zbezczeszczenie żałobnego orszaku. I jeszcze o kradzież ofiarnego zwierzęcia. Młody woźnica gwizdnął. Roześmiałem Się niewesoło.

— Może czcigodny Adda-kalli poruszony litością weźmie mnie do swego domu. Właśnie po to odesłano mnie z dziedzińca, bym nie słyszał, ile jest warte moje życie.

Spojrzeli na mnie ze współczuciem.

— Na pewno twoja wina jest wielka i Zgromadzenie wydało mądry i sprawiedliwy wyrok — młody woźnica położył mi dłoń na ramieniu, chciał mnie pocieszyć, a ja byłem mu za to wdzięczny. — Ale widziałem, jak dźwigałeś dzban z wodą za małą niewolnicę, nie możesz być przeto człowiekiem nadętym pychą, jak świński pęcherz. Powiem ci tylko tyle, że lepiej zginąć niż zostać niewolnikiem w domu czcigodnego Adda-kalli. Ci, których to spotkało, opłakują krwawymi łzami dzień, w którym przekroczyli próg jego domu.

Zacisnąłem mocno pięści, aż zbielały kostki moich palców. Przeczuwałem to. Nie wierzyłem ani przez chwilę w litość i miłosierdzie Adda-Kalli. Równie dobrze mógłbym uwierzyć, że serce polującego lwa jest pełne litości dla dławionej przez niego owcy.

— Mogę wybrać śmierć.

Odpowiedziało mi milczenie. Stary niewolnik pokiwał powoli głową.

— Nic nie możesz wybrać. Nie masz własnej woli. Należysz do Zgromadzenia lub do tego, kto cię wykupi. Nie wybierzesz sobie ani życia, ani śmierci.

Wcale nie chciałem śmierci z wyboru. Mogłem ją przyjąć tylko jako nieuchronną konieczność, gdyż była to cena mojego milczenia, ale nie chciałem jej naprawdę, gdy mogłem wybierać między nią a życiem. Gdy się żyje, jest jeszcze zawsze iskra nadziei. Zresztą chciałem żyć i ze względu na moich czcigodnych rodziców. Oni mnie przecież kochali. Byłem też potrzebny Nin.

Kiedy jesteś syty i szczęśliwy, nie cenisz smaku chleba ani smaku wody. Nie myślisz o tym, że chleb syci twój głód, a woda gasi pragnienie. Dopiero gdy zbłądzisz na suchej pustyni, gdy

zjesz ostatni kęs chleba i z bukłaka wypijesz ostatni łyk wody, zaczynasz rozumieć, co utraciłeś.

Moi czcigodni rodzice kochali mnie, a ja wciąż zasmucałem ich serca. Nigdy nie byłem chlubą nauczyciela, nigdy przełożony szkoły nie wygłosił do mnie słów pochwały. Okłamywałem ich. Uciekałem często z lekcji i od domowych zajęć. Traciłem czas na błahe zabawy. Nie ufałem im, ukrywając przed ich wzrokiem swoje myśli i pragnienia. A oni byli przy mnie przez te wszystkie lata i osłaniali mnie przed wszelkim złem, tak jak ogrodnik osłania wątłe sadzonki przed palącym wiatrem z pustyni.

— Niech będzie, co ma być — westchnąłem.

Nie było mi danym długo pozostawać w pomieszczeniu dla pałacowych niewolników. Zabrano mnie stąd.

— Weź sobie tego oto Entemenę, syna Etamuzu — wygłosił formułę najstarszy sędzia. — A was obecnych biorę na świadków, że zapłacono za niego dobrą cenę i że jego panem jest odtąd czcigodny Adda-kalli, członek Rady Królewskiej, ozdoba i chluba naszego miasta.

Wokół ust Adda-kalli błąkał się cień uśmiechu. Tak uśmiechają się złe demony na płaskorzeźbach świątyni. Ten uśmiech drwi sobie ze wszystkiego.

— Odprowadźcie go do mego domu — rozkazał. — I dobrze związcie.

Jeszcze nie domówił tych słów, gdy pojawił się przed sędziami mój czcigodny nauczyciel. Był zadyszany. Opaska, zwykle związana w kunsztowny węzeł, opinała byle jak jego biodra, rozwiązane rzemienie sandałów wlokły się za nim po ziemi.

— Wybaczcie, najmędrsi — wysapał. — Doszły mnie wieści, że sądzono sprawę pewnego młodzieńca, którego jestem nauczycielem. Gdym o tym posłyszał, rzuciłem wszystko i przybiegłem, by dać świadectwo prawdzie.

— Ta sprawa została już rozsądzona.

— Bywa, że zgubimy klejnot i drepczemy wkoło miejsca, w którym wypadł nam z zanadrza. I nie odnajdujemy go, chociaż przetrząsnęliśmy wszystkie zakamarki. Zdarza się też, że przypadkowy przechodzień odnajduje nam zgubę, okazuje się, leża-

ła cały czas w najbardziej widocznym miejscu. Przeto niech będzie mi wolno powiedzieć wszystko, co wiem.

Sędziowie nie wydawali się zachwyceni przybyciem i słowami mego czcigodnego nauczyciela, ale nie mogli mu rozkazać odejść ani zamilknąć.

— Mów, co ci wiadomo, Wielki Bracie.

— Chłopak, którego osądziliście, zataił prawdziwy powód swego przyłączenia się do żałobnego orszaku.

Nogi ugięły się pode mną i byłbym niechybnie upadł na kamienie, gdyby nie rzemienie, którymi przytrzymywali mnie niewolnicy Adda-kalli. Chwytałem powietrze otwartymi ustami, jak dusząca się ryba, a pot ściekał mi mokrą strugą po czole. Wszystko przepadło! Znalazł się świadek moich poczynań! Jestem zgubiony! Ja i wszyscy ze mną związani. Przez jedno mgnienie pomyślałem o Lugalu. Czyżby on wydał? Nie, to niemożliwe.

Nie mogłem przemówić, odeszły mnie wszystkie siły.

— Co zataił? — spytał jeden z sędziów.

— Niedługo przybędzie tutaj ojciec tego młodzieńca. Posłałem po niego. Nim jednak przybędzie, pozwólcie, najmędrsi, że przywołam przed wasze szlachetne oblicza świadka, który mówił z oskarżonym.

Nie rozumiałem słów nauczyciela. Czułem, że brak mi powietrza. Zajęczałem, a ten jęk był ledwie dosłyszalny, chociaż mnie wydał się straszliwie głośny.

— Przyzwalamy — skinął sędzia. — Niech stawi się świadek.

Straciłem przytomność.

Gdy się ocknąłem w dusznym, mrocznym pomieszczeniu, pierwszą rzeczą, jaką poczułem, było to, że rzemienie wżarły się w moje napuchnięte dłonie sprawiając mi nieznośny ból. Nie wiedziałem, gdzie jestem. Nie pamiętałem nic.

Z trudem zebrałem rozpierzchające się myśli, uciekały przede mną na wszystkie strony jak spłoszone owce. Nin? Nin jest w moim domu. Lugal? W każdym razie nie zszedł do grobowego podziemia. Rodzice? Zaraz, zaraz... Kto to mówił, że mój ojciec wkrótce przybędzie? Aha. Stawałem przed sądem, bo oskarżył mnie ten pastuch trzód królewskich, Szag-szag. To przez niego

kręciłem żarna i byłem bity biczem. Nie, to nie tak. Albo dobrze, właśnie tak. Najpierw kręciłem żarna i byłem bity, a potem mnie skazano na odejście do Krainy, Z Której Nie Ma Powrotu. Jeszcze trochę wysiłku, Entemeno. Ktoś cię wykupił. Tak, oczywiście. Adda-kalli mnie wykupił, chcąc mnie uczynić swym niewolnikiem. A potem przyszedł czcigodny nauczyciel. Ach, tak, to on zdradził mnie! Co się stało z Nin? Bogowie, co się stało z Nin! Z rodzicami! Z Lugalem! Trzeba im biec na ratunek...

Próbowałem się podnieść, ale upadłem. Związano mnie jak

barana przeznaczonego na rzeź.

Krzyknąłem raz i drugi, a potem krzyczałem bez przerwy tak, że zabrakło mi tchu w piersiach. Nikt się nie zjawił.

Poczołgałem się na brzuchu po moim więzieniu. Niewielka, ciasna komora. Wąskie wejście do niej było zastawione ciężkimi dzbanami. Nie mogłem ich ruszyć z miejsca, chociaż napierałem na nie głową jak atakujący byk.

Krzyczałem wciąż, aż zupełnie osłabłem od tego krzyku. I wtedy rozpłakałem się. Łzy ciekły mi po policzkach. Powtarzałem:

— Matko, matko...

Z trudem zdusiłem te niemęskie łzy. Czołgałem się dalej po komórce szukając czegoś twardego, o co mógłbym przetrzeć krępujące mnie więzy. Nic nie znalazłem, ale odkryłem, że ściany owej komory były obłożone słomą i skórami. Wysiłek spowodował, że zaczęło mi huczeć w skroniach i zobaczyłem w mroku latające czerwone płomyki. Znowu straciłem przytomność.

Odzyskałem ją, gdy zaświecono mi w oczy jaskrawym płomieniem kaganka. Oślepiony, mrugałem powiekami, nie widziałem twarzy człowieka, który trzymał światło, dostrzegłem tylko jego rękę, podobną do nie wypieczonego placka. Na wskazującym palcu błyszczał kosztowny pierścień. Inne ręce trzymały moje ramiona, przygniatając mnie do ziemi. Próbowałem się szarpać, ale byłem żałośnie słaby.

— Pij — podsunięto mi do warg dzban.

Odtrąciłem naczynie nagłym rzutem głowy, napój rozlał się po mojej szyi i piersi. Jak błyskawica przeleciała mi myśl o świętym napoju. Więc to tak jest? Nie będę pił! Chcę przyjąć swój los świadomie, czuć i widzieć wszystko do końca.

— Stawia opór, panie — powiedział ten, który przytrzymywał moje ramiona. — Co mam czynić?

Tamten z kagankiem, którego twarz była niewidoczna w mroku, roześmiał się chrypliwie.

— Pij — powtórnie podsunięto mi dzban do ust. Zaciąłem z całej siły zęby. Nie zmuszą mnie. Słyszałem kiedyś, że święty napój niektórym rozwiązuje język, nakazuje wyznawać głośno najtajniejsze zamysły. Ja będę milczał. Nie powiem ani słowa.

— Pij!

— Nie będę pił! — wychrypiałem przez zaciśnięte zęby.

— Nie? To się okaże! — Ten, który trzymał moje ramiona, wyłamał mi je do tyłu, przykląkł na mojej piersi. W ręku miał sztylet. Widziałem go dobrze. Ale nie znałem jego twarzy, na pewno nie spotkałem go nigdy. Zresztą to nie było ważne. Nie bałem się. Niech się stanie, co ma się stać, byle prędzej. Zamknąłem oczy.

Omyliłem się. Ów człowiek sztyletem podważył moje zęby i rozchylił je. Lano mi płyn w usta, dusiłem się nim. Przemocą zmuszono mnie do wypicia całego napoju.

— Musisz się wzmocnić, chłopczyku.

Drgnąłem. Już poznałem ten głos. Człowiek z kagankiem to Adda-kalli. Byłem więc w domu Adda-kalli! Byłem jego niewolnikiem! Lecz tamto zeznanie nauczyciela czy było tylko tworem wyobraźni? Pamiętałem już wyraźnie jego zadyszany głos, obojętność sędziów, słowa o świadku, który zna prawdziwy powód mego przyłączenia się do orszaku... Może to demony zaćmiły mój rozum, igrały ze mną, jak igra kot z pochwyconą myszą? Mozę rzucono na mnie urok? A może jestem bardzo chory i gorączka podsuwa mi przed oczy fałszywe obrazy, tak jak to się dzieje z wędrowcami na pustyni, którzy zamiast płowego piasku widzą życiodajny cień drzew i chłodny bieg wody? Co jest prawdą, co kłamstwem?

A jednak nie myliłem się. Byłem w domu Adda-kalli i to on przemawiał do mnie.

— Tak, tak, musisz się wzmocnić. Nie pozwolę ci osłabnąć z głodu i pragnienia. Tego by mi nie darował twój ojciec. Adda-kalli nie wystawia byle czego, o tym wiedzą kupcy nawet zza Wielkiego Morza. I nie łudź się, że sobie rozbijesz twoją pustą głowę o ściany. O tym też pomyślałem. Bądź posłuszny, pij i jedz, kiedy ci każą, i wzmacniaj siły głębokim snem.

Gdyby to nie Adda-kalli przemawiał do mnie, chyba bym pomyślał, że to ktoś uratował moje życie, by oddać mnie ojcu. Ale czułem w jego głosie fałsz, jak wyczuwa się gorzki smak lekarstwa w słodyczy miodu. Nie odpowiedziałem mu ani słowem, zamknąłem oczy i udawałem nieprzytomnego.

— Spij sobie, śpij — mruknął Adda-kalli. — Jesteś dla mnie wart tyle złota, ile sam ważysz. Baluku — zwrócił się do sługi — odpowiadasz głową za tego niewolnika. Ma być karmiony do syta trzy razy dziennie. Jeżeli nie będzie chciał jeść z dobrej woli, karmcie go siłą. Nie żałujcie mleka ani chleba. Poza tym od czasu do czasu masz wchodzić tutaj i patrzeć, czy nie potargał więzów.

— Co mam czynić, gdy poprosi o rozluźnienie pęt? — zapytał sługa Baluku.

— Zamknąć uszy na jego prośbę. Nic się nie stanie, jak pęta trochę zetrą skórę. Nie ubędzie mu urody — Adda-kalli zaśmiał się rechotliwie.

Nie rozumiałem nic, a nawet nie starałem się rozumieć. Stało się coś zdumiewającego. Z jakichś nieznanych powodów świadek wskazany przez nauczyciela nie stanął przed sędziami. A może stanął, a oni nie dali wiary jego słowom. Nie dręczyła mnie obawa o własny los, ale poświęciłbym z radością wszystko, by się dowiedzieć, czy Nin, moi rodzice i Lugal są bezpieczni. O ile ta cała historia z nauczycielem nie była tylko majakiem zesłanym na mnie przez złośliwe demony.

Tymczasem Adda-kalli zbierał się do wyjścia. Rzucał mi ukośne spojrzenia, było widoczne, że chce jeszcze coś powiedzieć, ale waha się widząc mój bezwład. Poruszyłem się i jęknąłem. Niech mówi, może rozświetli swymi słowami mroki nocy, która była wokół mnie.

Miałem słuszność, Adda-kalli postawił kaganek i zapytał:

— Ile żądano za tę dziewczynę?

Poruszyłem kilkakrotnie wargami (mój język z trudem obracał się w ustach) i szepnąłem z nienawiścią:

— To kłamstwo!

— Bacz, bym nie zmienił mojej dobroci w surowość. Nie wyprzesz się. Może nie chodziłeś z ojcem do świątyni? Może nie proponowaliście za nią zapłaty w zbożu, bydle i klejnotach?

— Nic nie wiem o żadnej dziewczynie.

— Sama o tym mówiła Zgromadzeniu.

Czasem bywa tak, że tonąc rzucasz się rozpaczliwie w wodzie, że braknie ci już sił, a kurcz ściska twoje ręce i nogi. Żegnasz się

już z życiem, gdy nagle widzisz obok siebie zbawczy konar niesiony prądem rzeki. Jeszcze jeden wysiłek, i już jesteś uratowany.

Tak było i teraz. Dziewczyna, która stanęła przed sędziami, nie mogła być Nin-dadą. Prędzej uwierzyłbym w to, że bogini Inanna porzuciła lekki lii i spłynęła z obłoków, by świadczyć przeciwko mnie. Przed Zgromadzeniem stanęła jakaś inna dziewczyna. Nieopatrzne słowa Adda-kalli trochę rozjaśniły gęsty mrok, w którym tonąłem. Jakaś inna dziewczyna świadczyła przeciw mnie, a jest to dziewczyna, którą Adda-kalli chciałby mieć dla siebie, inaczej nie pytałby mnie, ile za nią żądano.

— Skoro wiesz wszystko — szepnąłem niewyraźnie — po co mnie wypytujesz?

— Wysoko mierzyłeś, mój mały. Powiedz, ona chce odejść? Wyraziła zgodę? A ile żądają za nią wykupu?

Teraz, kiedy wiedziałem, że to nie była Nin, odetchnąłem spokojniej. Było możliwe, że zaszła jakaś pomyłka, która nas uratowała. Wszystko jedno, kto się pomylił. Ważne było, że Adda-kalli wierzy w coś, co się w ogóle nie zdarzyło. Nie miałem zamiaru wyprowadzać go z błędu.

— Jesteś człowiekiem bogatym i potężnym — powiedziałem — i każda cena, jaką wymienię, jest jak ziarnko piasku wobec twego dostatku. Jeśli chcesz ją kupić, sam spytaj, ile trzeba dać zboża, bydła i klejnotów. Nam żądania wydawały się zbyt wygórowane.

Wyraźnie się ucieszył.

— Zaraz tak przypuszczałem. Złotnik nie jest tak głupi, żeby zaspokajać wszystkie zachcianki swego szalonego syna. Więc powiadasz, że wykupne było zbyt wysokie?

— Tak.

— I pewno wtedy postanowiłeś ją porwać?

Znowu zrobiłem się czujny. W miękkiej łapce kota kryją się ostre pazury. Niedorzeczne słowa mogły być tylko podstępem.

— Nie.

— To o czym z nią rozmawiałeś podczas uroczystości?

— Nie rozmawiałem.

— Porzuć te próżne wykręty. Sama mówiła, że odwołałeś ją na

bok i rozmawiałeś z nią. Nie zachęcałeś jej do ucieczki?

— Nie.

Już wiedziałem, że chodzi o tę tancerkę ze świątyni, o Abisimti. Adda-kalli chciał ją uczynić niewolnicą swego domu. Myśli, że ona mi sprzyja. Dobrze, niech tak myśli. On mnie nienawidzi, ale jego nienawiść zaprowadziła go na fałszywy trop i jest teraz jak głodna hiena, która szuka żeru w jałowych piaskach. Postanowiłem umocnić Adda-kalli w przekonaniu, że mój czcigodny ojciec chciał kupić dla mnie lub nawet dla siebie Abisimti. To oddalało domysły od Nin-dady. Zaraz, a ten świadek i mowa nauczyciela? Adda-kalli musiał słyszeć zeznanie. Czyżby ktoś podpatrzył moje spotkanie z Abisimti? Znowu poczułem drobny dreszcz. Byłem jak człowiek, który uciekając przed płomieniem wpadł w głęboką wodę.

— Nic nie wiem — powtórzyłem.

— Jeszcze otworzysz usta i będziesz błagał, bym cię słuchał! — warknął Adda-kalli. — Ja jestem twoim panem.

Odwróciłem od niego twarz.

— Baluku, pilnuj go jak oka w głowie! — Adda-kalli poczuł się widocznie znudzony tą rozmową. — Odpowiadasz swoją głową za niego.

Odszedł, a za nim wysunął się niewolnik sprawdziwszy uprzednio pęta na moich rękach i nogach.

Zostałem w półmroku sam. Miałem wiele czasu i mogłem spokojnie przemyśleć to, co wiedziałem, i to, czego nie wiedziałem.

A więc, po pierwsze, wiedziałem, że moi rodzice już znają mój los. Z jakiegoś powodu zawiadomił ich o tym mój czcigodny nauczyciel. Jeśli zaś to uczynił, są dwa wyjaśnienia jego postępowania. Albo chciał mnie osłonić przed karą, ale tę możliwość odrzuciłem zaraz (byłem raczej jego utrapieniem, wiele razy smagał mnie trzciną i wiele razy skarżył się na mnie memu czcigodnemu ojcu), albo chciał mnie pogrążyć w oczach sędziów. I choć było to podłe, ta możliwość była najprawdopodobniejsza. Mogło chodzić o Lugala. Czcigodny nauczyciel chował go w swoim domu, karmił swoim chlebem i patrzył w jego serce. Jeżeli zaś wiedział, że Lugal spotkał się ze mną i wziął na

siebie piętno naznaczonych, serce jego opiekuna mogło się wzburzyć gniewem przeciw mnie. Sprowadził jakiegoś świadka przed Zgromadzenie. Kto mógł być tym świadkiem? Abisimti, oczywiście. Adda-kalli powiedział, że ta dziewczyna stanęła przed sędziami. Ona jedna znała moją tajemnicę!

Zagryzłem wargi tak mocno, że aż poczułem smak krwi.

A jednak trudno uwierzyć, by Abisimti mogła mnie wydać. Zrobiła dla mnie wiele. Ocaliła Lugala, chociaż nikt nie prosił jej o to. Podniosła dłoń na własność bogów i przez to związała się z moim losem. Nie, Abisimti nie mogła świadczyć przeciwko mnie.

W takim razie przybyła przed sędziów, by mnie bronić. A jeśli przybyła, by mnie bronić, to znaczy, że działała w porozumieniu z moim czcigodnym nauczycielem. To takie dziwne. Ale tak właśnie musi być. Nauczyciel nie jest moim wrogiem, chociaż zawsze myślałem, że jest mi niechętny. Jest moim przyjacielem.

Patrzyłem szeroko otwartymi oczami w mrok i rozmyślałem nad tym, że nie widzi się złota utajonego pod szarą warstwą kamienia. Trzeba dopiero ostrego dłuta, by błysnęło, ukryte, i byś wiedział, co posiadasz.

Nauczyciel i Abisimti zatem bronili mnie, ale dlaczego znalazłem się w domu Adda-kalli? Dlaczego nie uwolniono mnie od winy albo nie pozwolono memu czcigodnemu ojcu zapłacić za mnie zwyczajowej kary? Ojciec na pewno zapłaciłby bez wzdragania.

A w te gorączkowe rozmyślania wplątywała się myśl o Nin, małej Nin u kolan mojej matki. Jakże ją musi boleć serce, gdy myśli o mnie. O, gdybym mógł być z nią razem. .

Zapytam tego Baluku, gdy przyjdzie podać mi pokarm, jak to się stało, że Adda-kalli jest moim panem.

Bez sprzeciwu pozwoliłem sobie podać do ust jęczmienne placki i kawał sera. Patrzyłem w twarz Baluku podobną do rzeźby z kamienia, jakie stoją w świątyni przed obliczem boga, i zastanawiałem się, jak zmusić go do rozmowy.

— Co ze mną uczynią? — spytałem najgłupiej w świecie, nic mądrzejszego bowiem nie przyszło mi do głowy. — Boję się.

Baluku milczał.
— Nie wiesz?
Nie raczył nawet spojrzeć na mnie.
— Demony odebrały ci mowę?
Ale i na to nie otrzymałem odpowiedzi.
Dopiero wychodząc powiedział do mnie przez ramię:
— Zakazano wszelkich rozmów. Milcz, jeśli ci życie miłe.

Tak więc nie dowiedziałem się nic, ale w słowach Baluku wyczułem coś groźnego. Adda-kalli wypytywał mnie o tancerkę, kazał karmić i poić, oświadczył, że jestem dla niego wiele wart, ale jego słowa były pełne fałszu i złości. Mógł mnie przykuć do ściany i morzyć głodem, gdyby chciał mojej śmierci, mógł mi kazać kręcić kamienie żaren albo zginać się od wschodu do zachodu Utu nad czerpakami kanałów, jeśli chciał uczynić ze mnie najnędzniejszego ze swoich niewolników. Nie uczynił tak. Trzyma mnie w ciemnicy, ale każe tuczyć jak gęś przeznaczoną na stół królewski. To wszystko było zagmatwane jak pęk wodorostów albo jak kolczaste gałęzie krzewów rosnących na rudych stokach. Nie rozumiałem przyczyny, nie widziałem początku ni końca. Drżałem od niepewności i powrócił znowu lęk o Nin i Lugala. Gdybym chociaż wiedział, że oni są bezpieczni... Lecz nie miałem tej pewności i przeżywałem obawę i strach o nich raz jeszcze.

Ciemność była wokół mnie. Błądziłem po niej bezradny i zagubiony jak jagnię odbite od stada. Coraz straszniejsze myśli mnie osaczały, nie potrafiłem ich odegnać. Mamrotałem zaklęcia przeciwko demonom, wzywałem półgłosem pomocy bogów i czułem łzy bezsilności spływające po policzkach.

O oznaczonych porach przychodził posępny Baluku, karmił mnie i poił. Kiedy odwracałem twarz, zmuszał mnie siłą do przyjęcia pożywienia. Jednego razu rozluźnił moje więzy i pozwolił mi zrobić kilka kroków od ściany do ściany, ale ja nie mogłem chodzić, tak osłabłem i nieznośnie bolały mnie rany od rzemieni. Noc poznawałem po tym, że nikt się u mnie nie zjawiał, a dzień był mierzony dzbanami napoju i misami jadła. Wreszcie straciłem poczucie czasu i już nie wiedziałem, czy leżę w tym mroku zaledwie kilka dni, czy wiele miesięcy. Adda-kalli

nie przyszedł więcej. Może zapomniał o mnie. Nie pragnąłem jego widoku, ale nie chciałem zginąć w tej cuchnącej komórce. Czasami krzyczałem głośno, ale moje wołanie huczało tylko między ciasnymi ścianami i nie sprowadzało ratunku.

Przypomniałem sobie stare pieśni, których uczyliśmy się w szkole, opowiadania o królach, bogach i bohaterach. Powtarzałem sam sobie nazwy leczniczych roślin, pożytecznych minerałów, zwierząt żyjących na ziemi. Recytowałem głośno przepisy prawa i reguły gramatyczne. Rozwiązywałem w pamięci zadania, których kiedyś nie potrafiłem obliczyć nawet z pomocą garści kamyków. To, co sobie przypominałem, było dla mnie ratunkiem i ukojeniem, przepatrywałem chciwie zakamarki swojej pamięci, jak myśliwy przepatruje zastawione sidła na płowe przepiórki, i zdumiony odnajdywałem tam rzeczy, które, jak sądziłem, zasypał dawno pył zapomnienia. Bałem się, że jeśli pozostanę sam na sam ze swymi myślami, oszaleję i zacznę wyć jak zwierzę.

Czasami litościwy sen sklejał me powieki i wtedy widziałem nasz dom oblany łagodnym światłem poranka, ręce mojej matki ubielone mąką, mały młoteczek w dłoni mego ojca, stukający o złotą blachę, roześmiane oczy Nin i wodę przelewającą się przez brzeg ciężkiego dzbana. Potem demony szarpały delikatną tkaninę snu i znów wlokłem się w żałobnym orszaku za skrzypiącym wozem, znów połykałem łzy bezsiły i szukałem bezskutecznie Lugala wśród białych zasłon okrywających piętno naznaczonych. Leżałem twarzą w pyle i czekałem, aż spełni się najstraszniejsze. Demony wirowały w swym potwornym tańcu, głos wysoki jak skwir polującego sępa rzucał zwycięski okrzyk w pobladłe niebo.

Bywało jeszcze gorzej, bo pod zamkniętymi powiekami dostrzegałem bladą twarz Nin-dady, jej oddech świszczał jak oddech zaszczutego zwierzęcia, kroplisty pot zraszał jej czoło. Nin była chora, bardzo chora, groziło jej wielkie niebezpieczeństwo, a ja nie mogłem nawet dotknąć jej ręki.

Albo widziałem mroczne wnętrze świątyni i Lugala leżącego w prochu przed najstarszym kapłanem, Tym, Który Wie Wszystko, szybki gest ręki i już wleczono Lugala na najwyższy taras.

Śniło mi się, że biegnę za nim po nie kończących się schodach, już, już będę przy nim, gdy nagle zapadałem się w czarną przepaść. Spadałem w nią bez końca, dręczony straszliwym lękiem, a gdy miałem już roztrzaskać głowę o dno — otwierałem oczy i wiedziałem, że to był tylko sen.

Od więzów napuchły mi kostki rąk i nóg, nie czesane włosy spadały zmierzwioną grzywą na czoło, cuchnąłem od brudu i potu. Marzyłem, by skoczyć w fale rzeki i spłukać w niej swe ciało.

Któregoś dnia posłyszałem ciche stąpanie bosych nóg na korytarzyku prowadzącym do mojej komórki. Ktoś skradał się ostrożnie i prawie bezszelestnie. Wytężyłem słuch. Jakże było odmienne to stąpanie od ciężkich kroków Baluku!

Ale nim te kroki zdążyły dojść do mnie, usłyszałem znajome tupanie Baluku i jego ostry głos:

— Gdzie! Tam zabroniono!

Krótkie szamotanie i przerażony cienki głos zaczął błagać:

— Nie oskarżaj mnie przed panem. Nie wiedziałem, że tam nie wolno. Bądź litościwy!

Pomyślałem sobie, że ktoś, jakiś nieznany przyjaciel, postanowił dotrzeć do mnie, by dodać mi odwagi, ale nie wiedziałem, czy naprawdę tak było. W każdym razie tego dnia twarz Baluku była jeszcze bardziej zacięta i nieprzyjazna niż zawsze.

Nie ośmieliłem się zapytać go, kogo przychwycił w mrocznym korytarzu, zresztą i tak nie udzieliłby mi odpowiedzi, był głuchy na mój głos, słyszał tylko słowa Adda-kalli, swego pana.

To zdarzenie przekonało mnie wszakże, że ktoś myśli o mnie, że nie jestem całkiem samotny i zapomniany. Z dnia na dzień czekałem pojawienia się kogoś przyjaznego, kto mógłby uspokoić moje lęki, szepnąć, że wszyscy są bezpieczni, że w mieście zapomniano już o odejściu najdostojniejszej Szubad do Kur. Ale nikt się nie zjawiał mimo mego oczekiwania, na próżno w mrocznych długich godzinach wytężałem słuch, by dosłyszeć raz jeszcze ostrożne stąpanie. Zamiast oczekiwanych kroków, po ubitej glinie podłogi tupały stopy Baluku, jak ciężkie stępy miażdżące ziarno.

Tego dnia, o którym mówię, przypomniałem sobie hymn o

naszym mieście, którego uczyliśmy się kiedyś w szkole. Pamiętałem jeszcze dobrze chłostę trzciną, którą nauczyciel ukarał mój brak pilności. Powtarzałem słowa:

Ur, miasto szczęśliwe,
Ur, miasto bogate,
Wodami zewsząd oblane wielkimi,
W cień błogi obfite,
Zieloną ma szatę,
Ur, miasto najsłodsze na ziemi.
Tam woły potężne,
Tam woły rogate,
Co w jarzmie pług ciężki uciągną bez trudu,
Szły orząc zagony,
By plony bogate
Zapewnić dla bogów i ludu.
Tak Enlil, bóg dobry,
Tak Enlil wspaniały
Nauczył, jak jęczmień uprawiać i proso.
Rósł bób, soczewica
I zboża szumiały,
Więc wdzięczność okażmy niebiosom...

Nie dokończyłem recytacji, bo oto usłyszałem wyraźnie, najwyraźniej głos mego ojca! Odpowiadał mu Adda-kalli, a ojciec podnosił głos coraz bardziej, tak że słyszałem każde słowo.

— Czego chcesz jeszcze? — wołał mój ojciec, a w jego głosie drżał gniew i oburzenie. — Czy mało ci tego, co ofiarowuję? Chciałeś złota i klejnotów i przyniosłem ci je. Sprzedałem część pola, wymieniłem je na kruszec, dostałeś go. Nie zataiłem ani jednej blaszki złota. Zwróciłem ci stokroć to, co wydałeś, by wykupić mego syna. Nie, zaprawdę więcej uczynić nie można!

Nie dosłyszałem odpowiedzi Adda-kalli.

— Mało? — wybuchnął mój ojciec. — Mało? Chcesz mnie uczynić nędzarzem!

Adda-kalli powiedział coś przyciszonym głosem.

— Nie mów o miłosierdziu! — krzyknął z nowym gniewem

mój ojciec. — Wykorzystałeś nieszczęście, jakie na nas spadło, by wydrzeć mi cały dobytek! Takie jest twoje miłosierdzie!

— Zacietrzewiasz się, Etamuzu — teraz i Adda-kalli podniósł głos. — Idź na plac przed świątynię i spytaj ludzi, oni ci powiedzą, że jestem litościwy, idź do kapłanów, którzy odrzekną: „Jeden jest sprawiedliwy mąż w naszym mieście", i wymienią ci moje imię.

— Wydzierasz mi ostatni okruch kruszcu, a ja nawet nie wiem, czy syn mój jest jeszcze pomiędzy żywymi.

— Żyje i jest upasiony jak karmna świnia z moczarów. Będziesz mógł przekonać się o prawdzie moich słów, gdy ty sam lub ktoś z twego domu przyniesie brakujące złoto.

— Nie uczynię tego, póki na własne oczy nie zobaczę żywego Entemeny.

— Więc go nigdy nie zobaczysz. Daję ci dwudniowy termin. Gdy do zachodu Utu nie przyniesiesz oznaczonej zapłaty, Entemena zniknie na zawsze. To jest moje ostatnie słowo.

Chociaż strasznie się bałem ranić serce swego ojca, krzyknąłem z całej siły:

— Ojcze, wybacz!

— On jest tutaj! — zawołał mój ojciec. — Chcę go widzieć!

— Teraz mi chyba wierzysz, Etamuzu. Tak, jest w moim domu twój syn, ale nie zobaczysz go. Myślisz, że nie wiem o tym, że nasłałeś tu swego niewolnika, by uwolnić Entemenę?

— Kłamstwo! Nikogo nie nasyłałem. Oddaj mi syna!

— Dostaniesz go, jak przyniesiesz złoto!

— Jesteś najnikczemniejszym z ludzi!

— Krzycz sobie do woli, Etamuzu. Nie zyskasz na tym ani jednej miary jęczmienia. Usłyszałeś moje ostatnie słowo. Pamiętaj, że mam twego syna w ręku i uczynię z nim podług swojej woli. Jeżeli chcesz mieć go jeszcze pod swoim dachem, radzę ci, byś nie mieszkając dostarczył mi umówioną zapłatę. Baluku, wyprowadź złotnika!

— Ojcze, ojcze — szlochałem wtulając głowę w glinę podłogi. — Ojcze, obyś mi mógł wybaczyć!

Więc Adda-kalli okazał się miłosierny tylko dlatego, że chciał wydrzeć cały majątek mego ojca. Znał sędziów i mógł mnie wy-

kupić, bo oni drżeli przed członkiem Rady Królewskiej i jednym z najbogatszych kupców w naszym mieście. Oto skąd Adda-kalli czerpie swoje bogactwo! U niego nawet łzy i rozpacz zmieniają się w sztabki srebra i złota.

Nie mogłem pozwolić, by z mej winy rodzice zostali biedakami bez dachu nad głową, mozolącymi się nad cudzym zagonem. By byli jak ci mieszkańcy lepianek z rozsypującego się błota, zabijający kijem piaskowe jaszczurki w trosce o napełnienie swego garnka. Adda-kalli był okrutny i tchórzliwy. A ja byłem bezbronny i bezsilny. Mogłem tylko płakać gorzkimi łzami i dręczyć się rozmyślaniem.

ROZDZIAŁ XII

W którym okazuje się, jaka ofiara jest potrzebna, by serca ludzkie były spokojne

Szarpnięto mnie za kark, jak nieposłusznego kozła, i wstałem na nogi. Chwiałem się niczym źdźbło trzciny pod podmuchem wiatru, aż wreszcie przyklęknąłem.

— Weź go — rozkazał Adda-kalli swemu słudze Baluku. — Daj mu czystą odzież, uczesz mu włosy i obmyj go.

Posępny Baluku pospieszył wypełnić rozkaz swego pana. Dałem się pokornie obmyć i odziewać w czyste szaty. Namaszczono mnie nawet oliwą i skropiono wonnościami. Później poprowadzono mnie gdzieś, a raczej ciągnięto, gdyż moje bezsilne nogi odmawiały posłuszeństwa.

W przestronnej izbie obok Adda-kalli siedzieli dwaj mężczyźni, cudzoziemcy. Nie pojmowałem ich szybkiej, gardłowej mowy. Gdy wepchnięto mnie, wstali i obejrzeli mnie dokładnie, jakbym był bydlęciem wystawionym na sprzedaż. Dotykali moich ramion, zaglądali mi w zęby, odwinęli moje powieki do góry, by obejrzeć oczy. Zdawali się być zadowoleni z tych oględzin.

— Powiedz czcigodnym kupcom, że niewolnik jest starannie wykształcony — odezwał się Adda-kalli do trzeciego mężczyzny. Teraz dopiero go zauważyłem. Siedział pod ścianą i nie patrzył w moją stronę. — Chodził wiele lat do szkoły. Zna zaklęcia skuteczne przeciwko demonom. Potrafi leczyć choroby. Śpiewa pieśni. Umie zapisywać znaki i liczby.

Tłumacz przełożył. Tamci dwaj mężczyźni zamachali rękami i zaczęli czegoś bardzo głośno dowodzić.

— Cena, której żądasz za tego młodzieńca, wydaje się czcigodnym kupcom zbyt wygórowana. Przy okazji zapytują, czy będą dzisiaj mogli obejrzeć tę tancerkę. Patesi ich miasta oczekując

jej niecierpliwi się. Dziewczyna miała być dostarczona do końca pierwszych żniw jęczmienia — przekładał tłumacz. — Zgodziliśmy się na twoje warunki. Zarobisz na niej dużo złota, ale nie chcemy i nie możemy dłużej czekać.

— Jeszcze trochę cierpliwości — powiedział Adda-kalli chytrze przymykając oczy. — Zaraz zjawi się ktoś, od kogo zależy pomyślne załatwienie tej sprawy.

I gdy domawiał te słowa, Baluku wprowadził mego ojca, za ojcem postępował Arnu uginając się pod brzemieniem skórzanego wora.

Padłem na twarz. Ojciec postąpił ku mnie i położył mi rękę na włosach. Ta ręka drżała, jakby mój ojciec nie był silnym mężczyzną, a starcem podeszłym w latach.

— Żyjesz, synu — wyszeptał łamiącym się głosem. Chciałem odpowiedzieć, ale przerwał mi Adda-kalli:

— Hej, złotniku! Wystarczy tych czułości. Widzisz sam, że twój chłopak jest cały i zdrowy. Czy przyniosłeś zapłatę?

— Tak. Weź ją, a ja zabiorę syna.

— Jesteś tak prędki, jak wichry noszące Iszkura. Nie, złotniku. Syna możesz odebrać, gdy spełnisz jeszcze jeden warunek.

Ojciec pobladł, pot skroplił się na jego czole, a ściągnięte brwi zbiegły się w jedną grubą linię.

— Jaki? — spytał chrapliwym głosem.

— Bardzo prosty. Chcę mieć w swoim domu tancerkę imieniem Abisimti. Znacie ją dobrze, prawda, ty i twój syn! Możesz więc zabrać syna, jeżeli ta Abisimti przyjdzie tutaj. Zrozumiałeś, złotniku?

Pięści mego ojca zacisnęły się w dwa silne kułaki.

Wyprostował się i rzekł głosem zduszonym wściekłością:

— Ograbiłeś mnie, a jeszcze ci mało. Powiadam ci — nie.

— A wiesz, co się stanie?

— Oddaj mi syna!

— Nie unoś się gniewem, złotniku — tłumacz w międzyczasie przekładał kupcom półgłosem wszystko, co było mówione. — Zapłata, przyznaję, jest wygórowana, ale czyż ośmieliłbym się żądać mniej za jedynaka jednego z najznakomitszych obywateli naszego miasta? Za chłopca silnego, starannie wychowanego i

wykształconego? Widzisz, ci czcigodni kupcy dadzą zaraz za niego dobrą cenę. Być może wywiozą go później dosyć daleko, to już ich sprawa i nie zamierzam się do tego wtrącać. Nie mogę ich martwić odmową.

— Ty chciwy psie! — jęknął ojciec i objął głowę w rozpaczy rękami.

— Przecież nie mówię, że twój syn musi się stać własnością tych czcigodnych mężów. Ja zapłacę za tę dziewczynę, ale ty musisz tak uczynić, by zgodziła się porzucić świątynię i przyjść do mego domu. To chyba nie będzie trudne? Powiedz jej, że twój syn czeka. Zresztą powiedz jej, co uważasz za stosowne. Chcę ją widzieć pod moim dachem.

Gdyby nie skrępowane dłonie, rzuciłbym się na Adda-kalli tak, jak rzuca się piaskowy zając na wygłodniałego lisa, widząc, że nie ma żadnej ucieczki. Rozumiałem, co przeżywa mój ojciec.

— Pozwól mi — powiedziałem do Adda-kalli — pozwól mi zamienić parę słów z mym czcigodnym ojcem na osobności.

— Nie. Jeżeli masz coś do powiedzenia, mów głośno.

— Ojcze — wyszeptałem suchymi wargami. — Czy wszyscy w domu są zdrowi? Czy moja czcigodna matka wybaczy mi kiedykolwiek to, co uczyniłem? Czy serce wasze odwróciło się ode mnie?

— Twoja czcigodna matka pobladła od troski. Przelała morze łez przez ciebie. Nowa niewolnica — serce zabiło mi szybciej, ojciec potrafił mi przekazać wiadomość o Nin — jest dla niej jak oddana córka. Chorowała i jeszcze teraz nie wychodzi na światło dzienne.

— Mówcie do rzeczy — wtrącił grubiańsko Adda-kalli. — Powiedz ojcu, niewolniku, by pospieszył nie mieszkając do świątyni, bo inaczej niedługo będziesz się cieszył jego widokiem. Czcigodni kupcy nie mają zbyt wiele czasu.

— Ojcze — powiedziałem przytulając wargi do jego ręki — nie sprowadzaj dziewczyny. Pozwól, niech Adda-kalli sprzeda mnie w niewolę. Nie napełniaj swoim zbożem jego spichrza, a ciężko zapracowanym złotem jego kiesy. Ja jestem szczęśliwy, jeśli wy nie odwróciliście się ode mnie.

— Nie mogę cię oddać obcym, Entemeno! — jęknął ojciec.

— No, dosyć będzie tego gadania. Daj złoto i dziewczynę, Etamuzu, i wynoście się obaj. Chyba że wolisz słuchać głupich rad tego wyrostka, wtedy oddam go kupcom. Będziesz sobie mógł zabrać to, co dzisiaj przyniosłeś, złotniku, bo to, co wpłaciłeś uprzednio, i tak przepadnie. Chyba jasno się wyrażam?

Tłumacz, który przekładał wszystko kupcom, zwrócił się nagle do Adda-kalli i powiedział:

— Czcigodni kupcy polecili powiadomić cię przez moje usta, że są uczciwymi ludźmi i nie kupią tego chłopaka.

— Co? Coś powiedział?

— O ile dobrze zrozumieli twoją rozmowę z tym przybyszem, masz zamiar zbyt dobrze obłowić się na tej transakcji. Widzą, że ta dziewczyna jest tak daleko od twoich rąk, jak dalekie są góry od tego miasta. W takim razie sami udadzą się do świątyni i zapytają, czy dziewczyna zechce pójść z nimi. Nie potrzebują twego pośrednictwa. Wprowadziłeś ich w błąd.

— Powiedz im — syknął Adda-kalli — że prędzej zdejmą gwiazdy z nieba, niż dostaną dziewczynę! Tylko ten chłopak lub jego ojciec mogliby ją zmusić, by zrzuciła szaty kapłanki.

— Czcigodnym kupcom nie podoba się to wszystko.

— A mnie się podoba? Czyż nie próbuję od miesięcy wszystkiego, by zmusić do uległości dziewczynę? Czy nie przyobiecuję jej losu godnego bogów? Czy nie przyjąłem na siebie wykupnego, jakie naznaczyli kapłani? To wy kupne zniszczy mnie, uczyni ze mnie nędzarza!

— Czcigodni kupcy pragną ci przypomnieć przez moje usta, że cena, jaką podałeś, wprawiła ich w osłupienie. Nasz najczcigodniejszy patesi będzie musiał opróżnić swój skarbiec, by odkupić od nas tę dziewczynę. Jest to zresztą interes tak niepewny, jak znaki kreślone na piasku. Serce patesiego mogło się już obrócić w tym czasie ku innej kobiecie. Czcigodni kupcy mogą zamiast zysku ponieść ciężką stratę.

Zauważyłem, że przelotny uśmiech przemknął po twarzy mego ojca.

— To niemożliwe! — zawołał Adda-kalli. Teraz jego ręce trzęsły się z podniecenia. — Ja zaraz będę miał dziewczynę... ja...

Obcy pokiwali głowami, pogładzili brody i obojętnie odwrócili się. Widocznie uznali, że dalsza rozmowa jest już tylko stratą czasu.

Zrozumiałem teraz, że Adda-kalli nie tylko postanowił ograbić mego ojca, ale przy okazji chciał ubić doskonały interes. Sądził, że Abisimti posłucha mego wezwania. Nie wiedziałem, skąd mu to przyszło do głowy, ale tak właśnie sądził. To tłumaczyło jego chęć wykupienia mnie od kary. Takie było jego miłosierdzie! Sprowadził kupców i uczynił tak, jakby przykładał memu ojcu ostrze noża do piersi. Sądził, że ojciec zgodzi się na wszystko

widząc, że mogę być sprzedany obcym przybyszom. Mądrze to wymyślił chytry i chciwy Adda-kalli! Bardzo mądrze!

— Teraz ja ci coś powiem — odezwał się ostro mój ojciec do Adda-kalli. — Nie przyprowadzę tej dziewczyny. Niech czcigodni kupcy sami układają się o jej wykupienie. Weź kruszec, jaki ci ofiarowuję, i oddaj chłopca.

Adda-kalli słuchając tych słów zachowywał się jak niespełna rozumu. Wyrywał sobie włosy, szarpał na sobie odzież i syczał jak rozgniewany wąż.

— Odmawiasz? Odmawiasz, złotniku! Więc ci powiem, że wolę zachłostać twojego syna lub każę go zesłać do kamieniołomów, gdzie marnie zginie!

— Ofiarowuję ci za niego złoto. Wziąłeś już wiele, weź resztę.

— Nie chcę! Chcę, byś przyprowadził dziewczynę!

— Nie pomnażaj swoich złych czynów. Przyobiecywałeś go uwolnić, gdy wyrównam ci straty. Zapłaciłem. Przyobiecywałeś go oddać, gdy ci przyniosę złoto i klejnoty. Przyniosłem. A ty każesz mi jeszcze przyprowadzić dziewczynę. Gdy przyprowadzę dziewczynę, każesz mi przynieść sobie Ziele Dające Nieśmiertelność, a zatrzymasz sobie mego chłopca, by móc dalej ciągnąć zysk z mej boleści. Albo go sprzedasz, by do bogactwa otrzymanego ode mnie dołączyć jeszcze zapłatę od handlarzy niewolnikami. Nie wierzę ci! Czcigodni mężowie — tu mój ojciec zwrócił się w stronę milczących cudzoziemców — niech będą świadkami, że moje ręce są czyste.

Obcy wysłuchali z uwagą słów tłumacza.

— Czcigodni kupcy — tłumacz zwrócił się do Adda-kalli — są oburzeni. Mieli cię dotąd za rzetelnego człowieka, który ma jedno słowo i jeden język w ustach. Rozkazują mi, bym ci powtórzył, że chcą zabrać swoje towary z twoich składów i nie będą już więcej zajeżdżali pod dach twego domu.

Gdyby w Adda-kalli trafił w tej chwili grom, nie zauważyłby tego. Pobladł jak wełna wybielona słońcem, wytrzeszczone oczy prawie wyszły mu na wierzch.

— Co? Co? — bełkotał.

Cudzoziemscy kupcy wstali i wyszli nie obdarzając

Adda-kalli nawet spojrzeniem. Adda-kalli pobiegł za nimi, po-

tknął się i zawrzeszczał:

— Baluku, zatrzymaj ich! Powiedz, by wrócili... Niewolnik zerwał się i pospieszył w ślad za odchodzącymi.

— Zniszczyli mnie! Zniszczyli! — jęczał Adda-kalli narzuciwszy na czoło skraj płaszcza. — Oby was dotknęły choroby, oby wasze członki wyschły, obyście stracili wzrok...

Potem nagle skoczył do mnie i począł bić zaciśniętą pięścią.

— To ty mi przyniosłeś nieszczęście! — jęczał. — Zgiń więc...

Uchylałem głowę przed ciosami pęta uniemożliwiały mi obronę.

Mój ojciec podszedł szybko do szalejącego Adda-kalli i odtrącił jego ramię tak łatwo, jak odtrąca się kamień leżący na drodze.

— Nie śmiej podnosić ręki na mojego syna! — odepchnął Adda-kalli ode mnie. — Nie kłam, że jesteś biedakiem. Weź tylko to, co przyniosłem! Wystarczy, byś miał czym otrzeć łzy.

W Adda-kalli zabulgotało jak w bukłaku wypełnionym śmietaną. Jeszcze chciał coś powiedzieć, ale widok pękatego wora zamknął jego usta.

Wyciągnął rękę.

— Nie — powiedział mój ojciec. — Będziemy spisywali twój zysk dopiero wtedy, gdy przybędzie pisarz. Nie wierzę ci.

W tej chwili powrócił pochmurny Baluku.

— Kazali mi iść precz.

Adda-kalli na znak rozpaczy rozdarł szatę.

— Arnu, idź po pisarza — polecił mój ojciec. Powiem krótko, że przybyły pisarz odnotował według wszelkich reguł sztuki przekazanie Entemeny, niewolnika Adda-kalli, złotnikowi Etamuzu w zamian za złoto. Obaj mężowie wycisnęli swoje pieczęcie pod umową tocząc je długo i starannie po miękkiej glinie.

Zdjęto mi pęta. Stałem się znowu sobą, Entemeną, synem złotnika, wolnym człowiekiem!

Byłem oszołomiony, nie rozumiejący, niepewny. Wielka radość wypełniała moje serce. Szedłem przy boku ojca, zataczając się z osłabienia, oślepiony białym żarem słońca (w zamknięciu moje oczy przywykły do mroku), oniemiały. Z tyłu za nami człapał Arnu.

— Skręć, Entemeno — ojciec skierował mnie w inną stronę, niż prowadziła droga do naszego domu. — Będziemy musieli porozmawiać.

Od tej chwili, gdy on trzymał rękę na moich włosach, a ja całowałem jego dłoń, nie powiedzieliśmy do siebie ani słowa. W milczeniu patrzyłem, jak Adda-kalli ogląda wykup, jak pisarz kreśli rylcem po swoich tabliczkach, jak zdejmują mi pęta i kładą moją dłoń w rękę ojca na znak, że stanowię jego własność. Ojciec też milczał, tylko jego wargi drgały lekko.

W pobliżu świątyni usiedliśmy w wątłym cieniu figowca. Arnu odszedł. Byliśmy tylko my dwaj, cień drzewa i puszyste obłoki na niebie.

— Posłuchaj mnie, synu — ojciec mówił z trudem, głos jego dźwięczał głucho, jakby ze środka ogromnego dzbana. — Nie składam na ciebie brzemienia mego gniewu, nie przeklinam cię, choć przyczyniłeś wiele cierpienia swojej matce i mnie, swemu ojcu. Był taki czas, że wyrzekłem się ciebie, była taka chwila, że wygnałbym cię bez namysłu spod swego dachu, gdybyś się ośmielił przestąpić próg domu...

— Ojcze — wtrąciłem cicho — ja wcale...

— Gdybym nie uwierzył twojej czcigodnej matce, nie rozmawialibyśmy teraz. Przekonała mnie wielkim błaganiem i płaczem, wstałem z popiołu i otarłem łzy, którymi opłakiwałem twoje odejście. Rzekłem do twojej matki, by nie płakała, bo uczynię dla ciebie wszystko, co będę mógł uczynić. Dojrzały mąż ma tylko jedno słowo, Entemeno, już kiedyś ci to powiedziałem.

— Ojcze pozwól, że ci wytłumaczę...

— Później wysłucham twoich słów, Entemeno, a teraz ty pozwól, bym wypowiedział to, co jest w moim sercu. Gdy przybyłem, było już za późno, Adda-kalli przekupił sędziów i wziął cię do swego domu — ojciec przesunął w zamyśleniu ręką po policzku. — Potem dowiedziałem się, czego żąda Adda-kalli, i poczułem się słaby. Ale mężczyzna ma tylko jedno słowo. Przyjąłem jego warunki.

— Ojcze — powiedziałem cicho — życia mi nie starczy, bym mógł ci wypłacić za twoją dobroć.

— Chcę, byś mnie dobrze zrozumiał. Nie pragnąłem dla siebie zaszczytów ani bogactwa, to, co posiadałem, było twoją własnością. Pragnąłem, by twoje ręce były białe i delikatne, byś nie zaznał pracy cięższej niż kreślenie znaków na miękkiej glinie. By ludzie pokazywali cię swoim synom mówiąc: „Oto jest najmądrzejszy pisarz w naszym mieście, Entemena, syn złotnika Etamuzu. Jacy szczęśliwi rodzice, którzy dali swemu synowi tak wielką mądrość w dziedzictwie.

— Ojcze, ja chętnie...

— Słuchaj dalej, synu. Pragnęliśmy oboje z twoją czcigodną matką, byś był sprawiedliwy i wiedział, co jest czarne, a co białe, co jest dobre, a co złe.

Ze świątyni doszło nas powolne dudnienie bębnów. Drgnąłem.

— Ojcze, widziałem bogactwa, jakie dałeś Adda-kalli za moją wolność. Powiedz mi, skąd je wziąłeś?

— Właśnie ci o tym mówię, Entemeno. Nie będziesz już pisarzem ani poborcą. Nie zasiądziesz w Radzie u boku najczcigodniejszego króla. Nikt nie będzie wychwalał twojej mądrości.

Twarz ojca poszarzała, widziałem głębokie bruzdy na jego czole i gorzką fałdę przy ustach, nie było tych zmarszczek przed dniem, w którym postanowiłem zmienić los i odebrać bogom małą Nin-dadę. To ja byłem im winien, jak i siwym włosom na skroni mego ojca.

— Nie mamy już domu na wzgórzu, synu. Taka była cena twego wykupu.

— A warsztat? A pola? A stada? — pytałem bez tchu.

— Jesteśmy ubogimi ludźmi, synu.

Ojciec powiedział to prosto i zwyczajnie. Pojąłem.

— Nie jestem tyle wart! Nie powinieneś był tego czynić, ojcze! Byłem złym, nieposłusznym synem!

— Złamałeś prawo, Entemeno, ale ja nie potrafiłem wyrzucić cię ze swego serca. — Starał uśmiechać się. — Widzisz, razem z tobą podzielę karę, jeśli bogowie nas ukarzą.

Złamał w ręku suchą gałązkę.

— Całe życie pracowałem, byś nigdy nie zaznał niedostatku.

Poczułem, jak dławią mnie łzy. Jeszcze chwila, a rozpłaczę się

głośno, jak mały chłopiec.

— Ja będę pracował! Pozwól tylko... — powiedziałem.

Poczułem dłoń ojca na swoich włosach.

— Ja się nie troszczę o siebie, mój synu. Boli mnie serce, że nie mogę ci dać teraz tego, o czym marzyłem przez tyle lat. Myślałem, że... to już nieważne. Tak widocznie postanowili bogowie, a nam pozostało przyjąć w pokorze ich wyroki.

Teraz dopiero w pełni zrozumiałem, jak wielka była miłość moich rodziców. Łzy, których nie mogłem powstrzymać, popłynęły z moich oczu.

— Nie płacz, synu. Łzy nie przystoją dojrzałemu mężczyźnie. Choćby to były nawet łzy wzruszenia.

Długo jeszcze siedzieliśmy u stóp figowca, czułem rękę mojego ojca na swoim czole. Świątynia płonęła w blasku słońca jak ogromna góra wzniesiona z barwnych głazów. Jej szczyt dotykał nieba, puszyste obłoki przesuwały się ponad nim, jak stada białorunnych owiec. Głucho huczały bębny.

— Co mam czynić, ojcze?

— Została mi działka ziemi. Będziesz ją uprawiał.

— A ty? A matka?

— Ja nie mogę porzucić warsztatu. Nawet najobfitsze plony nie cieszą mnie tak, jak nawlekanie misternych ogniw, jak wykuwanie delikatnych kwiatów i dzikich zwierząt. Każdy złotnik w mieście chętnie powierzy mi pracę.

Wyciągnął przed siebie ręce w drobnych bliznach po oparzeniu gorącym metalem, poszarzałe od drobnych opiłków, twarde jak blacha, która pod jego palcami przybierała kształt naszyjników, bransolet, pieczęci, diamentów.

— Kocham swoją pracę, nie porzucę jej. A matka uczyni, jak zechce. Wszelako nie zapominaj, Entemeno, że jesteś dorosłym człowiekiem i będziesz musiał żyć sam. Nie jesteśmy wieczni, Entemeno. Rodzice są jak tarcza osłaniająca pierś wojownika, lecz trzeba umieć walczyć i wtedy, gdy topór zdruzgoce tarczę. Musisz to zrozumieć.

Otarłem łzy rozmazując po twarzy wraz z nimi kurz.

— Jesteś za dobry, ojcze. Zarzucasz zasłonę na moje przewiny.

— Gdy powiedziałem, że jesteś moim synem, wziąłem tym sa-

mym twoją winę i na siebie. Nie mów o tym więcej, bo ja już wyrzekłem swoje słowa. Nie bądźmy jak ludzie, którzy opłakują do dzisiejszego dnia domy, które zabrał Wielki Potop za życia ich pra-pradziadków. Niech ci błogosławią bogowie, bez względu na to, jaki jesteś. Niech twoją winę pokryje wieczny mrok niepamięci. Niech nawet odbitym echem nie wraca do naszych uszu.

Podniosłem się i nagle stała się rzecz bardzo dziwna. Ojciec objął mnie mocno i ucałował. Nie czynił tego od czasu, gdy stałem się uczniem. Może pieścił mnie tak, kiedy byłem małym dzieckiem, ale nie pamiętałem tego. Odkąd sięgałem pamięcią, ojciec był zawsze surowy i powściągliwy w okazywaniu swoich uczuć.

— Serca ludzkie są spokojne — powiedział ojciec — gdy ludzie postępują tak, jak nakazują bogowie i sprawiedliwość. Nie mogłem postąpić inaczej. A ty, Entemeno, otrzyj oczy. Nie możesz się tak pokazać ani twojej matce, ani dziewczynie.

ROZDZIAŁ XIII

W którym kończy się historia Nin i Entemeny, a także ich przyjaciół

Żegnaj, Entemeno — powiedziała do mnie Abisimti. — Wyjeżdżam z miasta i już nigdy tutaj nie wrócę.

— Mój dom jest zawsze twoim domem, Abisimti.

— No, widzisz, że mnie kochasz. Ćwierkają o tym wszystkie ptaki i gruchają gołębie.

Spłonąłem rumieńcem i jak zawsze, kiedy jestem speszony, zacząłem przygładzać włosy.

— Nie żartuj ze mnie, Abisimti.

— Zapytaj Adda-kalli, czy to są żarty. Przysięgam, że uwierzył w każde słowo, jakie wypowiedziałam przed Zgromadzeniem. Wytrzeszczał na mnie oczy jak żaba na bociana, sapał jak zgoniony bawół, a serce podskakiwało w nim jak kawał pnia huśtany przez falę. Na pewno sobie wtedy pomyślał: „Mam w ręku tego chłopaka, bo ona go kocha i uczyni wszystko, by go ratować". Widziałam w jego oczach, że tak właśnie myśli, i śmiałam się w duchu z niego, chociaż wcale nie było mi wesoło. Możesz mi wierzyć, że nie było!

Bo Abisimti grając rolę bogiń i demonów nauczyła się odtwarzać doskonale wszystkie uczucia. Niczym było dla niej udać wielką radość czy rozpacz, zmusić widzów, by uwierzyli, że jest ptakiem, wiatrem czy promieniem Utu.

— Powiedz mi, Abisimti, jak to się stało, że opuszczasz miasto? Przecież nie chciałaś?

— Dlatego, że odmówiłam Adda-kalli opuszczenia świątyni. Nie jestem owcą na targowisku. Skoro patesi przysłał do mnie swoich wysłanników, wiem, że nie rzuca słów na wiatr. Patrz, jakie mi przynieśli dary. Nawet twój ojciec nie robi piękniejszych klejnotów. Czy widzisz inną drogę, Entemeno, jeśli chcę

odejść od stóp bogów? On mnie pokochał naprawdę.

— Możesz przecież wrócić. Nin i ja będziemy szczęśliwi, gdybyś zechciała z nami zamieszkać.

— Cieszę się, że ktoś będzie pamiętał o mnie. Ale chciałam cię o coś prosić, Entemeno.

— Wiesz, że uczynię wszystko. Aż do śmierci jestem twoim dłużnikiem, Abisimti.

Z pochyloną głową kreśliła na ziemi patykiem jakiś rysunek, ale zaraz zatarła go stopą, gdy spojrzałem z ciekawością.

— Może cię zdziwi moja prośba, Entemeno, ale pożegnaj ode mnie Lugal-azidę!

— Dlaczego nie uczynisz tego sama? Lugal przyjdzie na twoje wezwanie, więcej, przyleci na skrzydłach.

— Nie chcę z nim mówić — odwróciła twarz. — Powiedz mu, że jestem szczęśliwa. Że mam nadzieję, że i on będzie szczęśliwy.

— Powtórzę mu to.

— I jeszcze coś. Powiedz mu, że ciągle przypominam sobie opowieść o pasterzu Dumuzi i rolniku Enkimdu. Pamiętasz ją chyba?

Zrobiłem mądrą minę, chociaż wcale nie znałem tej opowieści.

— Uhum. Powtórzę.

— Mam nadzieję, że Lugal ją pamięta. Powiedz mu o tym. Koniecznie. I bądź szczęśliwy, Entemeno, ty i twoja dziewczyna.

Powstała, by odejść, ale nim odeszła naprawdę, powtórzyła z naciskiem:

— Pamiętaj, Entemeno. Opowieść o Dumuzi i Enkimdu.

Powtórzyłem jej słowa Lugalowi. Przyszedł do nas, do naszej małej chaty wśród pól, ulepionej z błota na podobieństwo ptasiego gniazda, poczerniałej od pór deszczowych i słonecznych skwarów.

Wylewałem wodę czerpakiem na grzędy, spękana od gorąca ziemia chciwie piła wilgoć, gdzieś głęboko spały jęczmienne ziarna czekając swego przebudzenia. Minęło już sporo czasu od chwili, gdy zamieszkiwałem wraz z Nin w tej chatynce. Praca rolnika zawsze wydawała mi się łatwa i lekka, dopóki nie mu-

siałem sam chodzić za pługiem i skopywać grząd motyką. To wcale nie takie proste, by posiać ziarno akurat na głębokość dwóch palców i przykryć je nie za cienką i nie za grubą warstwą ziemi, strzec je od żarłocznych ptaków i szkodników polnych, złożyć w odpowiednim czasie ofiarę bogini myszy i poić bruzdy odpowiednią ilością wody. A ile jest zmartwień, kiedy wątłe, zielone kiełki przebijają się przez ciężkie grudy ziemi!

Nachylałem się nad nimi patrząc z troską, czy ich zieleń nie bieleje lub nie powleka się barwą krwi. Gdyby tak się stało, zbiory byłyby stracone.

Albo ogród przy chacie. Miałki piasek naniesiony z pustyni dusił małe roślinki, bób, soczewica, fasola czerniały i umierały

pod jego brzemieniem. Gdy go odgarniałem, wyrywałem z ziemi słabiutkie sadzonki. Dopiero później za poradą sąsiadów zaplotłem płot osłaniający grzędy. A po żniwach zasadzę wokół ogrodu żywopłot z zielonych krzewów i wtedy będę mógł się śmiać z najgwałtowniejszych wiatrów!

Nasi sąsiedzi byli ludźmi cichymi i pracowitymi. Nie interesowali się ani mną, ani Nin. Pozdrawiali nas, gdy przechodzili obok naszej chaty, i czasem, widząc moją niezaradność, dawali mi półgłosem dobre rady. Nin wcale nie musiała osłaniać twarzy chustami, zresztą chyba nikt nie poznałby w tej ogorzałej dziewczynie małej pałacowej niewolnicy. Ludzie z pałacu nie przychodzili na pola, ludzie z pól nie chodzili na pałacowe dziedzińce. Mogliśmy żyć spokojnie.

Za Nin biegała biała kózka, nie opuszczała jej nawet wtedy, gdy Nin zbierała suchy nawóz na pastwiskach czy nosiła snopy wysuszonej trzciny. W miarę możności starałem się pomóc jej w tych pracach. Już o świcie zakładałem jarzmo na grzbiet powolnego bawołu i wyruszałem w pole. Wystarczyło mi podnieść głowę, by zobaczyć wąski słup dymu wzbijający się w niebo, znak, że Nin już roznieciła ogień i gotuje posiłek.

Moja matka przychodziła do nas często i pomagała Nin w domowym gospodarstwie. Lugal-azida także odwiedzał nas, o ile pozwalały mu na to zajęcia w szkole. Przychodził najczęściej przed zapadnięciem mroku.

— Nie częstuj mnie jabłkiem granatu, siostro — uśmiechnął się do Nin. — To strawa umarłych. Miałem jej dosyć, nim urodziłem się na nowo.

— Jak dobrze, że Wielki Brat powołał cię z powrotem do świata żywych!

— Nawet nie wiesz, jak dobrze, siostro. Gdyby nie to, że mogłem się urodzić na nowo, nigdy bym nie został pisarzem. Nie potrafiłbym żyć bez nauki — wyznał odwracając głowę. — Bez zapisanych cegiełek i tabliczek jestem niczym, a gdy mogę czerpać z ich mądrości, wzlatuję jak orzeł nad ziemię, widzę rzeczy zakryte, pojmuję tak wiele. I coś jeszcze. Czasem myślę, że umiałbym ułożyć pieśń taką, by ludzie ją śpiewali, lub spisać opowieść, którą powtarzano by z ust do ust...

— Często żałuję, że nie zagłębiłem się w mądrość, jak ryba zagłębia się w otchłanie wód. Teraz jest za późno.

— Bracie — spytała mała Nin — przecież jesteś cudzoziemcem, człowiekiem nieznanego rodu i pochodzenia. Czy możesz ująć w dłoń pisarską trzcinę?

— Jestem synem Wielkiego Brata.

— Co?

— Usynowił mnie, gdy wróciłem między żyjących. Mogę zostać teraz pisarzem, gdyż jestem wolnym człowiekiem i synem wolnego człowieka.

— Cieszę się twoją radością, Lugal-azido.

— Tobie, bracie, zawdzięczam bardzo wiele. I Abisimti. Czasem myślę, jak wiele ludzi pomogło Nin i mnie, chciałbym wtedy po stokroć im dziękować, chciałbym, żeby wiedzieli, że jestem im oddany jak własny syn, a nawet więcej...

Teraz przypomniałem sobie słowa Abisimti.

— Kapłanka kazała mi przekazać słowa pożegnania. Dwa razy prosiła mnie o to.

Lugal wyraźnie pobladł, wyglądał tak, jakby jego twarz przysypano nagle szarym popiołem.

— Opuściła nasze miasto? Na zawsze?

— Tak. Tak powiedziała.

— Czy... czy nie mówiła nic więcej?

— Prosiła, byś nie zapomniał baśni o pasterzu Dumuzi i rolniku Enkimdu. Ale ja nie znam tej opowieści.

— Nic dziwnego — Lugal uśmiechnął się z pobłażaniem. — Mogę ci dokładnie powiedzieć, co robiłeś tego dnia, gdy Wielki Brat czytał nam tę opowieść. Dokładnie pamiętam. Łowiłeś ryby. Ale czy jesteś pewny, że ona... że Abisimti mówiła właśnie o tej opowieści?

— Jeśli mówię, że coś jest czarne, to na pewno jest czarne. Wiem, co mówię.

— Opowiedz nam tę baśń, bracie.

— Dobrze, Nin.

Zmierzchało się, po niebie płynęła wąska łódź Nan-na, podobna tym czółnom ze związanych pęków trzciny, które żeglują po naszej rzece. Pachniała zwilżona ziemia. W zagrodzie za naszą

chatką pobekiwała sennie biała kózka Nin-dady.

— Świat był jeszcze bardzo młody, dopiero niedawno bogowie wydźwignęli go z mulistych głębin Przedwiecznego Morza — zaczął Lugal-azida.

Małe ognisko przed progiem zasnuwało zagony płożącym się dymem. Przy ogniu przykucnęła na piętach Nin, zawisła zasłuchanymi oczami na ustach Lugala. Moja czcigodna matka krzątała się w głębi chaty, w półmroku, słabo rozjaśnionym pełganiem ognia, bielały jej pracowite ręce.

— Świat był jeszcze bardzo młody, bogowie nie zdążyli go jeszcze zaludnić istotami stworzonymi na swój obraz i podobieństwo. Ale już jęczmień czekał na sierp żeńca, owce na pasterza, silne woły na poganiacza, już fasola wspinała się po żerdziach, a palmy chwiały koronami nad strumieniem wód. Skradały się lwy, bawoły racicami tratowały łąki, uciekały płochliwie gazele.

I dlatego bogowie porzucili swoje siedziby pod chmurami i zeszli na ziemię. Paśli trzody, kopali motyką zagony, przędli wełnę, wyrabiali sery, piekli chleb. Musieli tak czynić, gdyż jeszcze z wilgotnego błota nie ulepili pierwszego człowieka.

Jedni bogowie zamieszkali w miastach i tam uprawiali rzemiosła, inni nie opuszczali żyznych pól, mozoląc się nad radłem i czerpakiem.

„Doszłaś już do lat, Inanno, kiedy powinnaś sobie wybrać małżonka i zamieszkać w jego domu" — rzekł promienny Utu do swej siostry Inanny, najpiękniejszej ze wszystkich bogiń, której uśmiech był jak słodki miód, a oczy jak dwa jeziora.

„Kogo wybrałeś dla mnie, bracie?"

„Starają się o ciebie Enkimdu, bogaty rolnik, mieszkający w pięknym domu u bram miejskich, i Dumuzi, pasterz. Obaj złożyli swoje dary."

„I kogo wybrałeś, bracie?"

„Dumuzi okrywa się cuchnącą skórą, wygniata serki z owczego mleka, mieszka w walącym się szałasie, nocami obchodzi swe stada i płoszy lwy kołatką i krzykiem."

„Kogo wybrałeś, bracie?"

„Enkimdu ma wielki dom, w tym domu zaciszne izby. Jego

komory są pełne ziarna, fasoli, soczewicy. Nosi ciepły płaszcz i cienką szatę. Jego ozdoby są ze złota i klejnotów. Pije piwo i słodkie wino. Nocami śpi spokojnie na miękkim posłaniu."

„Kogo wybrałeś, bracie?"

„Nie odgadłaś, siostro?"

„Odgadłam."

„Zgadzasz się?" „Tak."

„Przegnamy przeto pasterza Dumuzi. Niech zabiera swoje dary i idzie precz. Zawołamy rolnika Enkimdu i wyprawimy ucztę weselną. Włóż najpiękniejsze szaty, Inanno, i raduj się."

Gdy przyszedł pasterz Dumuzi, przegnano go.

„Idź sobie stąd, pasterzu. Inanna, najpiękniejsza z bogiń, święci swoje gody z bogatym Enkimdu."

Odszedł wygnany pasterz. Stopy zawiodły go pod wielki dom rolnika Enkimdu.

„Wyjdź, Enkimdu!"

„Kto mnie woła?"

„Ja. Pasterz Dumuzi."

„Nie wyjdę do ciebie. Nie mówię z kimś, kogo cały majątek stanowi pięć kulawych owiec i pastuszy kij. Nie zwykłem tracić czasu na rozmowy z obdartusami."

Stał Dumuzi przed wielkim domem Enkimdu! Ściskał w garści pastuszy kostur, wąż gniewu kąsał jego serce.

„Może mam tylko pięć kulawych owiec, ale ty, Enkimdu, jesteś tchórzliwy jak brzuchaty zając!" „Nie słyszę słów tego obdartego pastucha!" „Zaraz je usłyszysz."

I pasterz Dumuzi wszedł do komory, gdzie Enkimdu na miękkim posłaniu zażywał wywczasu.

„Nie chciałeś wyjść do mnie, więc przyszedłem do ciebie. Weź radło i zmierz się ze mną."

Zaszczękał zębami Enkimdu, nie nawykły do walki, utuczony z nadmiaru jadła.

„Nie żartuj, pasterzu. Mów, o co chodzi."

„Oddaj mi Inannę."

„Jej brat przyjął moje dary. Nie mogę jej oddać." „To walcz o nią." „Przyjdź jutro." „Nie. Walcz zaraz."

„Zjadłem obfity posiłek. Mam krótki oddech. Daj mi spokój."

Aż posypały się iskry z oczu pasterza. A jego gniew przeraził bogatego Enkimdu.

„Uśmierz swą porywczość, pasterzu. Założę szaty i spytam pięknej Inanny, którego z nas woli."

„Dobrze — powiedział pasterz Dumuzi. — Spytamy. Niech sama wybierze."

Piękna Inanna, najpiękniejsza ze wszystkich bogiń, przyjęła swoich zalotników pod cienistym drzewem. Wysłuchała ich uważnie.

„Co możesz mi przyrzec?" — spytała Enkimdu.

„Dam ci cienkie szaty i podwójne bransolety na nogi."

„A ty?" — spytała Dumuzi. „Wełnę, którą uprzędziesz." „Co mi dasz jeszcze, Enkimdu?" „Biały chleb, słodkie wino, gęsty miód." „A ty, Dumuzi?"

„Mleko, które sama wydoisz, i zwierzynę, którą w lasach upoluję."

„Czy masz jeszcze coś dla mnie, Enkimdu?"

„Dom, niewolnice, pachnidła, lutnię, której głos brzmi słodziej niż śpiew ptaka."

„A ty, Dumuzi?"

„Szałas i szum trawy, gdy wiatr ją pieści."

„Czy to wszystko, Enkimdu?"

„Tak, najpiękniejsza."

„Czy to wszystko, Dumuzi?"

„Nie, najpiękniejsza."

„Co jeszcze?"

„Dam ci swoją siłę, będziesz spała spokojnie w moim szałasie, dam ci swój trud, nigdy nie zabraknie ci mleka ani wełny, dam ci moją odwagę, nigdy w twych oczach nie będzie łez, i dam swoją miłość, przejrzysz się w moich oczach jak w spokojnej wodzie i zobaczysz, że jesteś najpiękniejsza."

Wybrała Inanna pasterza Dumuzi, odszedł ze wstydem bogaty Enkimdu, zabrał ze sobą swoje hojne dary.

Radował się pasterz nad brzegiem rzeki, skubały wełniste owce bujne trawy, skakały beztrosko małe jagnięta. W szałasie zamieszkała Inanna i przędła białą wełnę. Ziemia była szczęśliwa, bo oni byli szczęśliwi, aż do chwili, gdy najpiękniejsza z bo-

giń, Inanna, zapragnęła poznać tajemnice Podziemnego Świata i odeszła od pasterza Dumuzi, przystrojona w swój czarodziejski pas, błyszczący bliźniaczymi kamieniami nantuz.

Lugal-azida skończył recytować opowieść, siedzieliśmy zasłuchani, zamyśleni.

— Dlaczego przypomniałeś nam tę opowieść, bracie? — szepnęła mała Nin.

— Bo mamy ją pamiętać. Ja, on i ty, siostro.

— Dlaczego?

— Nie domyślasz się?

W ciszy gdzieś daleko rozległo się skomlenie szakala, srebrny Nanna sunął swą łodzią coraz wyżej i wyżej, obłoki jak fale rozstępowały się przed jej dziobem.

— Słuchaj, Lugal-azido, i ty, Nin. Szkoda, że ci, którzy będą żyli za wiele, wiele lat, nie będą mogli posłuchać opowieści o naszych losach. Może już wtedy nikt nie będzie znaczył niczyjego czoła krwawym piętnem...

— Może...

— Może już nikt nie będzie słaby wobec woli bogów, jak ślepe szczenię szakala?

— Może...

— Może nikt nie będzie przeklinał wyroków, od których nie ma ucieczki?

— Może...

Znowu zapadła wielka cisza.

— Ludzie będą znali nasze losy — Lugal-azida przerwał milczenie. — Będę spisywał wszystko, co mi powiesz, Entemeno, a ręka moja nadąży za twoimi słowami.

— Uczyń tak, bracie! — zawołała Nin i cała rozjaśniła się uśmiechem. — Niech ci opowiedzą Entemena i jego czcigodna matka, Wielki Brat i inni. A ty zapiszesz wiernie wszystkie ich słowa.

— Tak, spisz nasze dzieje, Lugal-azido — potwierdziłem — lecz ukryj je dobrze, powierz je głębiom ziemi, by nie dojrzało ich złe oko nieprzyjaciela. Niech je odnajdą inni ludzie, szczęśliwsi niż my. I niech je czytają.

— Niech się dowiedzą — wtrąciła moja matka — że są złe i

nieposłuszne dzieci i dzieci dobre, radujące serca swoich rodziców.

Łódź Nanna zniknęła za chmurami, zrobiło się ciemno. Tylko lekki poblask żaru rozświetlał nasze twarze, gdy tak siedzieliśmy przed progiem chaty wokół ogniska. Tam gdzieś za krańcem równiny, niewidoczne dla naszych oczu, drzemało miasto, jak ogromny smok, jego paszczą był czarny pałac, jego skrzydłami świątynia, wspinająca się do samych obłoków.

— Zapiszę każde słowo, jakie powiecie — zapewnił nas półgłosem Lugal-azida. — Nie znajdziecie staranniej spisanej opowieści od kraju Uri na północy aż do kraju Martu na południu. A teraz żegnajcie, bracie i siostro. Spijcie spokojnie. Bogowie zamknęli swoje oczy. Jest noc, a po nocy nadejdzie znowu świt.

NASZA KSIĘGARNIA

lesiojot